

**knut hamsun**

**glód**



KNUT HAMSUN

# GŁÓD

Przełożył Franciszek Mirandola

Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej

Wydawnictwo Poznańskie

Poznań 1974

Tytuł oryginału: Sult  
Opracowanie graficzne Emilia Freudenreich

# Rozdział 1

Było to w czasach mego głodowania i włości po Chrystianii, owym mieście, które każdego musi naznaczyć swym piętnem...

Nie śpiąc leżałem na mym poddaszu, słyszałem, że zegar gdzieś pode mną wybił szóstą, było dość jasno, a ludzie chodzili po schodach w górę i na dół. W pobliżu drzwi mej izdebki, wytapetowanej starymi numerami „Dziennika Porannego”, mogłem odczytać obwieszczenie dyrekcji latarni portowej, zaś trochę dalej w lewo anons, zalecający świeży chleb piekarni Fabiana Olsena.

Otworzywszy oczy zacząłem z nawyku dumać nad tym, czy mnie dziś czeka coś miłego. W ostatnich czasach działo mi się źle i raz po raz musiałem nosić ruchomości do lombardu, co mnie denerwowało i uczyniło niecierpliwym. Kilka też razy byłem zmuszony spędzić dzień w łóżku z powodu zawrotów głowy, czasem tylko wpadało mi pięć koron za artykuł do któregoś z pism.

Rozjaśniało się coraz to więcej, mogłem już z łatwością odczytywać anonsy aż do małych, szyderczych literek: „Skład bielizny dla zmarłych” czcigodnej mamzel Andersen „w ulicy Wałowej na prawo”. To zajęło mnie tak, że wstałem dopiero wtedy, gdy posłyszałem osiem uderzeń zegara.

Otwarłem okno i wyjrzałem. Zobaczyłem sznur do suszenia bielizny i kawałek pola, dalej zaś czarne rumowisko po spalonej kuźni, które uprzętało kilku robotników. Oparty łokciami na desce okiennej, gapiłem się na niebo i stwierdziłem na pewno, że dzień będzie pogodny. Nadeszła jesień, chłodna pora, kiedy to wszystko zmienia barwę i przemija. Rozgwar uliczny wywabił mnie z pustego pokoju, którego podłoga chwiała się za każdym krokiem, a podobnego do wilgotnej, niesamowitej trumny. Nie było tu porządnego zamka ani pieca. Zazwyczaj kładłem w nocy pod siebie skarpetki, by je trochę do rana osuszyć. Jedyłą miłą tu rzeczą był stary, czerwony fotel na biegunach, na którym drzemałem wieczorami, dumając o tym i owym. Gdy było wietrzno, a brama stała otworem, przez podłogę i ściany dochodziły dziwne poświsty, a „Dziennik Poranny” przy drzwiach pękał i odpadał kawałami.

Podszedłem do zawiniątka przy łóżku sądząc, że znajdę tam coś na śniadanie, ale było puste, przeto wróciłem do okna.

Oczywiście, myślałem, na nic się nie zda poszukiwanie zajęcia! Odmówiono mi już tyle razy, dając to połowiczne obietnice, to rzucając wprost: „Nie!” Tyle przeżyłem daremnych nadziei, tyle poczyniłem wysiłków, kończących się niczym, że odwaga moja zesłała na psy. Pretendowałem ostatnio do posady inkasenta, ale spóźniłem się, a przy tym nie miałem pięćdziesięciu koron kaucji. Zawsze zjawiała się jakaś przeszkoda. Zgłosiłem się do straży pożarnej. Pół setki ludzi stało w przedsionku wypinając piersi, by sprawić wrażenie siły i nieustraszonego męstwa. Urzędnik oglądał kandydatów, dotykał ich ramion i zadawał pytania. Mnie minął potrząsając głową i mówiąc, że okulary czynią mnie niezdatnym. Wróciłem bez okularów, stałem z namarszczonymi brwiami starając się nadać oczom wyraz ostry niby noży, ale urzędnik mijając mnie znowu, uśmiechnął się tylko. Poznał mnie oczywiście. Najgorzej trapiło mnie, że ubranie niszczało szybko, nie pozwalając mi przedstawić się nigdzie jako porządny człowiek.

Staczałem się z przedziwną, systematyczną jednostajnością. W końcu zostałem pozbawiony wszystkiego, nie miałem już grzebienia ani książki dla pocieszenia się w smutku. Przez całe lato siadywałem po cmentarzach lub w parku Zamkowym, pisząc artykuły do dzienników o różnych rzeczach. Były to wieści o przedziwnych wynalazkach, fantazje, koncepcje niespokojnego umysłu, które mnie kosztowały długie godziny wysiłku, albowiem brałem tematy najcudaczniesze, ale nigdy rzeczy tych nie przyjmowano. Skończywszy jedno, brałem się do drugiego, nie dając się zniechęcić odmową redakcji, i mówiłem sobie, że przecież kiedyś postawię na swoim. Czasem w istocie miałem szczęście i kiedy się udało, zdobywałem pięć koron za półdzienną pracę.

Odstąpiłem ponownie od okna, wziąłem ze stojącej na stołku miednicy trochę wody i zwilżyłem spodnie na kolanach chcąc w ten sposób nieco odnowić wytarty materiał. Potem jak zawsze włożyłem do kieszeni ołówki i papier i nie chcąc zwracać uwagi gospodyni ześliznąłem się cicho po schodach. Przed kilku dniami minął czas zapłaty komornego, na które nie stało grosza.



Była dziewiąta. Rozbrzmiewał zwyczajny chorał poranny, złożony z głosów ludzkich, tętentu, stąpań i trzaskania biczów dorożkarzy. Ten rozgwar zaraz mnie ożywił i poweselałem trochę. Miałem zgoła co innego na myśli niż przechadzkę po świeżym powietrzu. Cóż obchodziło powietrze moje płuca? Wszakże byłem silny jak mocarz i mogłem na barkach podźwignąć wóz. Ogarnął mnie przedziwny nastrój radosnej beztroski. Obserwowałem mijanych ludzi, czytałem plakaty, pochwyciłem jakieś spojrzenie, rzucone z przejeżdżającego wozu tramwajowego, pozwalałem działać na siebie każdej drobnostce, wszystkim przypadkowym rzeczom, które jawiły się na mojej drodze i przepadały po chwili...

Ach, gdybyż w tak pogodny dzień człowiek miał coś do zjedzenia! Owładnęło mną wrażenie wesołego ranka, uczułem ogromne zadowolenie i bezwiednie zacząłem nucić półgłosem. Przed wystawą masarza stała kobieta z koszem i spekulowała na temat kiełbasy na obiad. Spojrzała mi w oczy, gdym przechodził. Miała jeno jeden ząb sterczący z przodu. W ciągu ostatnich dni byłem zdenerwowany i przewrażliwiony, toteż twarz ta wydała mi się wstrętne. Ząb sterczał z warg niby mały palec, a spojrzenie, jakim mnie ogarnęła, nie wyrażało niczego innego poza – kiełbasą. Straciłem od razu apetyt i zadławiło mnie w gardle. Doszedłszy do bazarów napiłem się przy studni trochę wody. Spojrzałem na wieżowy zegar kościoła Zbawiciela – była dziesiąta.

Powędrowałem dalej bez celu, nie troszcząc się o nic, przystanąłem bez powodu na rogu, a potem skręciłem nie wiadomo po co w boczną ulicę. Płynąłem z falą, kołysany wesołym rankiem, nie bacząc na kierunek, na równi z innymi szczęśliwymi ludźmi, a duszy nie przesłaniał mi żaden cień.

Przez dziesięć minut kroczył przede mną jakiś stary, kulawy mężczyzna. Niósł zawiniątko i ruszał zamasyście całym ciałem chcąc iść jak najprędzej. Słyszałem, jak sapał z wysiłku, i przyszło mi na myśl, że mógłbym mu pomóc w dźwiganiu pakunku. W Graensenstraede spotkałem Hansa Pauli, skłonił mi się i przebiegł spieszenie. Gdzież tak podążał? Nie miałem zamiaru prosić go o pożyczenie korony, chciałem też w najbliższych dniach odesłać mu pożyczoną przed kilku tygodniami kołdrę. Gdy tylko otrząsnę się z biedy, za nic nie ścierpię, abym miał być komuś dłużny kołdrę. Może już dziś nawet zacznę artykuł o zbrodniach przyszłości, wolności woli czy na inny ciekawy temat, tak że otrzymam co najmniej dziesięć koron... Myśl o tym artykule przejęła mnie takim zapalem, że rad bym był zaraz rozpocząć go? czerpiąc z przepelnionego mózgu.

Postanowiłem wyszukać stosowny kątek w parku Zamkowym i nie spocząć, dopóki nie skończę.

Ale koślawiec kroczący przede mną rzucał się dalej obrzydliwymi ruchami i ogarnął mnie gniew, że muszę go mieć ciągle przed oczami. Zdawało mi się, że podróż ta będzie trwać wiecznie. Może obrał sobie ten sam cel i nie przestanie mnie dręczyć. W podrażnieniu zaczęło mi się zwidywać, że na każdym rozstaju staje chwilę badając, któredy zamierzam pójść, a potem podrzuca swój tobolek i rusza całą mocą, by się nie dać wyprzedzić. Szedłem patrząc na tę pokraczną istotę, ogarniała mnie coraz to większa gorycz, a cały urok czystego, pięknego poranku topniał i staczał się w tę brzydotę. Wyglądał jak szkaradny wielki owad, co gwałtem chce utorować sobie drogę przez świat i dla siebie samego zająć cały chodnik. Dotarłszy do najwyższej wzniesionego miejsca i nie chcąc się z tym pogodzić, stanąłem przed wystawą sklepową, by mu dać czas do odejścia. Gdym jednak po kilku minutach ruszył dalej, kulawiec był znowu przede mną, bo razem ze mną stanął jak przykuty. Zrobiłem bez namysłu kilka potężnych skoków, dogoniłem go i uderzyłem po ramieniu.

Zatrzymał się. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

– Grosik na mleko! – powiedział przekrzywiając na bok głowę.

Tak? Ładnie się zasypał! Przeszukałem kieszenie i rzekłem:

– Na mleko... hm... ano... Krucho w tych czasach jakoś z gotówką. Zresztą nie wiem, czyś pan istotnie w potrzebie.

– Od wczoraj nic nie miałem w ustach... – powiedział. – Nie posiadam ani Öra, a nie mogłem też dostać pracy.

– Czyś pan rękodzielnik?

– Tak, jestem iglarz.

– Co?

– Iglarz. Zresztą umiem też robić buty.

– To co innego! – zawołałem. – Proszę tu poczekać parę minut. Postaram się panu o pieniądze, o kilka Örów.

Szybko przebiegiem Pilestraede, gdzie jak wiedziałem na pierwszym piętrze mieszkał jeden Żyd, pożyczający na zastaw. Wszedłszy do bramy ściągnąłem pospiesznie kamizelkę, zwinąłem, wsadziłem pod pachę, ruszyłem na schody i zapukałem. Potem skłoniłem się i rzuciłem kamizelkę na stół.

– Półtorej korony! – rzekł lichwiarz.

– Dobrze, dziękuję. Gdyby nie to, że przyciasna, nie rozstawałbym się z nią.

Otrzymałem pieniądze i kwit i wróciłem na miejsce. Pomysł z kamizelką był istotnie wyśmienity. Dostałem mnóstwo pieniędzy na śniadanie, a do wieczora mogłem skończyć traktat o zbrodniach przyszłości. Od razu życie wydało mi się weselsze i pospieszyłem do kulasa, by się go pozbyć.

– Proszę! – powiedziałem mu. – Cieszy mnie, żeś pan się do mnie zwrócił.

Kulas wziął pieniądze i zaczął mnie mierzyć oczyma. Czemuż tak stał i gapił się? Miałem wrażenie, że bada moje spodnie wytarte na kolanach, i ta bezczelność oburzyła mnie. Czyż drab myślał, że jestem w istocie tak biedny, jak wyglądam? Czyliż, rzecz można, nie zacząłem już niejako artykułu za dziesięć koron? Zresztą nie bałem się o przyszłość, niejedno bowiem miałem w zanadrzu. Cóż mogło obchodzić tego zgoła obcego człowieka, że w tak pogodny ranek rozdaję jałmużnę? Zgniewało mnie jego spojrzenie i postanowiłem go zburzyć. Wzruszyłem ramionami i rzekłem:

– Mój człowieku, macie niemiły zwyczaj oglądania kolan tego, kto wam daje koronę.

Oparł głowę o mur i otworzył usta. Zebraczy jego mózg pracował, widocznie doszedł po chwili do przekonania, że go w jakiś sposób chce wykpić, i oddał mi monetę.

Tupnąłem o bruk i kazałem mu zatrzymać pieniądze. Czyż myślał, że na darmo zadałem sobie tyle fatygi? Zresztą być może, że mu winien tę koronę. Tak, przypomniałem sobie o dawnym długu i zapowiedziałem mu, że ma przed sobą człowieka na wskroś uczciwego. Krótko i węzłowato – pieniądze to jego własność... O, nie ma za co dziękować... do widzenia!

Poszedłem wyzbywszy się nareszcie dręczyciela. Byłem swobodny. Wszedłem ponownie w Pilestraede i stanąłem przed sklepem spożywczym. Wystawa była pełna smakołyków, postanowiłem tedy wejść i kupić coś na drogę.

– Kawalek sera i bułkę ! – powiedziałem rzucając pół korony na ladę.

– Za wszystko sera i bułkę? – spytała z ironią kupcowa nie patrząc na mnie.

– Za całe pięćdziesiąt örów! – odparłem nie zmieszany wcale.

Otrzymałem co trzeba, pozdrowiłem nader uprzejmie kupcową i udałem się prosto do parku przez górę Zamkową. Znalazłem pustą ławkę i oddałem się jedzeniu. Doskonale mi zrobiło. Od dawna nie miałem tak obfitej biesiady i ogarnął mnie nastrój spokojnego dosyту, jak na przykład po długim płaczu. Odwaga wzrosła, nie wystarczało mi już teraz pisać o czymś tak prostym i zrozumiałym jak zbrodnie przyszłości – tego mógł się domyślić lub znaleźć w książkach byle kto. Uczułem, że stać mnie na większy wysiłek, i postanowiłem dać rozprawę o filozoficznym poznaniu w trzech rozdziałach. Tu mi się nastęrczała, oczywiście, sposobność unicestwienia kilku nędznych sofizmatów Kanta... Ogarnął mnie tedy wielki zapał, gdym jednak dobył rekwizytów pisarskich, okazało się, że nie mam ołówka, który jak sobie przypomniałem, został w kieszeni kamizelki.

U licha, jakżeż wszystko szło opacznie! Zakląłem kilka razy i zacząłem chodzić po ścieżce nerwowo tam i z powrotem. Wokół było cicho. Kilka jeno nianiek toczyło wózki w pobliżu Pawilonu Królowej, zresztą nie widać było żywego ducha. Wzburzony biegałem przed mą ławką wściekając się na niemożność napisania artykułu w trzech odcinkach, z tego jeno powodu, że brakło mi w kieszeni kawałka dziesięcioörowego ołówka. Postanowiłem iść na Pilestraede i prosić o jego zwrot. I tak miałem czas napisać sporo, zanim spacerowicze zapełnią park. Od rozprawy tej zawisło tak dużo... może nawet szczęście wielu ludzi... kto wie? Powiedziałem sobie, że przysłużę się niejednemu młodemu, żadnemu wiedzy człowiekowi. Po namyśle odstąpiłem od zamiaru atakowania Kanta. Mogłem przecież uniknąć tego, niedostrzegalnym niemal zwrotem dotarłszy do problemu czasu i przestrzeni. Natomiast powiedziałem sobie, że nie daruję Renanowi... temu staremu, prowincjonalnemu klesze... Szło o sporządzenie artykułu o tyłu a tyłu szpaltach, a parło mnie do tego głównie powłóczyście spojrzenie gospodyni, spotkanej w przeddzień na schodach, tak powłóczyście, że mi zepsuło cały dzień ćmiąc swobodę umysłu. Trzeba z tym skończyć, pomyślałem i opuściłem park udając się do zakładu zastawniczego.



Schodząc ze wzgórza Zamkowego minąłem dwie damy, a w przelocie musnąłem rękaw jednej z nich. Spojrzałem. Miała pełną, nieco bladą twarzyczkę, ale nagle rozplomieniła się przecudnie, pewnie pod wrażeniem zasłyszanego mimochodem słowa czy jeno myśli własnej. A może dlatego, że ją dotknąłem? Wydatne jej piersi zafalowały, a dłoń ścisnęła silniej rękojeść parasolki. Coś się z nią działo.

Stałem i wielce zdziwiony puściłem damy przodem. Byłem podniecony, zły na siebie z powodu przygody z ołówkiem, a przy tym nieswojo mi się jakoś zrobiło po szybko połkniętym jedzeniu. Nagle, dziwnym zwrotem myśli nabrałem ochoty przestraszenia owej damy i rozgniewania jej moim natręctwem. Dogoniłem ją tedy, minąłem, a potem spojrzałem prosto w twarz. Stoję, patrzę jej w oczy i wymyślam naraz nigdy nie zasłyszane, nerwowo, ślisko brzmiące imię: Ylajali! Gdy się znalazła tuż przy mnie, powiedziałem:

– Zgubi pani książkę.

Słyszałem bicie własnego serca, gdy wymawiał te słowa.

– Książkę? – spytała ze zdumieniem swą towarzyszkę i poszła dalej.

Złośliwość moja wzrosła i powlokłem się za nimi. Wiedziałem, że robię szalone głupstwo, ale byłem bezwolny. Szał mnie ponosił, tak że musiałem pełnić wszystko, co mi poddawał. Uświadamiając sobie w pełni swoją głupotę, robiłem za plecami damy najidiotyczniejsze miny. Mijałem ją raz po raz i kaszlałem z wściekłością. Krocząc potem o kilka kroków przed nią, czułem na plecach jej spojrzenie i kuliłem się ze wstydu. Po chwili doznałem wrażenia, że jestem gdzieś daleko, zgoła gdzie indziej, i że to nie ja sam stąпам po trotuarze i kulę się.

W kilka minut później moja dama znalazła się przy księgarni Paschy. Stałem już przed pierwszym oknem wystawowym, postąpiłem naprzód i rzekłem znowu:

– Zgubi pani książkę.

– Nie... jaką książkę? – spytała trwożnie. – Czy wiesz, o jakiej książce mówi ten pan?

Zatrzymała się, ja zaś syciłem okrutnie duszę tym zmieszaniem i bezradnością. Myśl jej nie ogarnia mych desperackich słów. Nie ma przy sobie książki, nie ma ni kartki, a mimo to sięga do kieszeni, spogląda na swe ręce i na ulicę poza sobą, słowem, wyteża wrażliwy mózdzek dla domyślenia się, o jakiej książce mówię. Twarz jej to blednie, to czerwienieje, zmienia wyraz, z piersi wyrywa się głośny oddech, a nawet guziki jej sukni patrzą na mnie jakby osłupiałe.

– Dajże pokój – powiada towarzyszka – widzisz przecież, że pijany!

Zatraciłem w tej chwili wszelkie samopoczucie i zostawałem pod władzą przedziwnych wpływów, mimo to jednak uświadamiałem sobie najdokładniej każdy szczegół. Widziałem brunatnego psa w srebrzystej obroży, biegnącego w poprzek ulicy ku Tivoli, służącą o zakasanych rękawach, myjącą okno na pierwszym piętrze w głębi ulicy, słowem, nic nie uszło mej uwagi, a każda rzecz lśniła, jakby zabłysła nagle wokół mnie przejasna jakaś światłość. Stojące przede mną damy miały błękitne pióra i szkockie wstążki na kapeluszach i wyglądały na siostry.

Zboczyły do składu nut Eislera, zatrzymały się i mówiły coś do siebie, a ja też przystanąłem. Potem zawróciły, minęły mnie, skręciły w ulicę Uniwersytecką i poszły wprost na plac Św. Olafa. Kroczyłem tuż za nimi. Jedna z nich obróciła raz głowę i spojrzała na mnie z przerażeniem i ciekawością jednocześnie, ale nie dostrzegłem ani niechęci, ani też ściągania brwi. Zawstydzony cierpliwością, z jaką znosiła moje natręctwo, spuściłem oczy. Nie chciałem damom sprawiać dłużej przykrości, rad jeno przez wdzięczność iść za nimi spojrzeniem i patrzeć, aż gdzieś wejdą i znikną.

Dotarwszy do wielkiego, trzypiętrowego domu, noszącego liczbę 2, obróciła się ponownie, po czym obie weszły do wnętrza, ja zaś, stojąc oparty o latarnię pod studnią, nasłuchiwałem ich kroków, które ustały na pierwszym piętrze. Odstąpiłem o krok, spojrzałem w górę i nagle zdziwiony wielce spostrzegłem, że ruszają się firanki. Otwarto okno, wyjrzała głowa i dziwnie spoglądające oczy spoczęły na mnie.

– Ylajali! – zawołałem półgłosem i zaczerwieniłem się.

Czemuż to nie wzywała pomocy? Czemu nie strąciła mi na głowę wazonika z kwiatem, czemu nie posłała kogoś, by mnie odpędził? Staliśmy tak dobrą minutę patrząc na siebie. Myśli krążyły pomiędzy ulicą i oknem, a nie padło słowo. Obróciła się zwolna, a ja uczułem lekkie wstrząśnienie. Zobaczyłem ramię i plecy znikające w głębi, a owa powolność podkreślała coś jakby pozdrowienie. Zmysły moje pojęły to dobrze i uczułem natychmiast przedziwne rozradowanie. Obróciłem się i ruszyłem w dół ulicą.

Nie śmiałem już patrzeć w okno, nie wiedziałem nawet, czym przeszedł pod domem raz jeszcze, ale kwestia ta czyniła mnie coraz to bardziej niespokojnym i zdenerwowanym. Pewnie stała tam śledząc każdy mój ruch, a owo obserwowanie dawało mi się dotkliwie we znaki. Prostując się z wysiłkiem, chodziłem dalej, ale w nogach zaczęło mi strzykać, a mimo wysiłku okazania się zgrabnym kroczyłem coraz to chwiejniej. Chcąc przybrać wygląd człowieka spokojnego i obojętnego, machałem bezmyślnie ramionami, spluwałem i zadzierałem nosa, ale nic nie pomagało. Czułem ustawicznie w karku śledzące mnie oczy, a ciało przenikały dreszcze. Uciekłem w końcu w boczną ulicę chcąc dotrzeć do Pilestraede i odebrać ołówek.

Wydano mi go bez trudności. Lichwiarz przyniósł kamizelkę, obszukałem kieszenie, znalazłem kilka kartek zastawniczych, zabrałem je i podziękowałem uprzejmemu przedsiębiorcy. Pociągał mnie coraz to bardziej, toteż umyśliłem dać mu o sobie jak najlepsze wyobrażenie. Zawróciłem od drzwi i podszedłem znowu do lady sklepowej, jakbym czegoś zapomniał. Winienem był temu człowiekowi jakieś wyjaśnienie czy wiadomość, niezawodnie. Zacząłem nucić, by zwrócić jego uwagę, potem zaś podniosłem ołówek.

– Nie przyszłoby mi – powiedziałem – nawet do głowy iść aż tak daleko po marny kawałek ołówka, gdyby nie to, że jest to przedmiot specjalny i bardzo ważny. Wygląda niepozornie, a jednak uczynił mnie on tym, czym jestem, i zapewnił stanowisko w świecie...

Umilkłem. Kupiec podszedł do lady.

– Ach, tak? – spytał przyglądając mi się ciekawie.

Oświadczyłem spokojnie, że tym właśnie ołówkiem napisałem trzytomową rozprawę o filozoficznym poznaniu, i spytałem, czy coś o tym słyszał.

Wydało mu się, że istotnie słyszał coś o takim dziele.

– Otóż właśnie ja jestem jego autorem! Nie zdziwi pana tedy – powiedziałem – że czuję pewne przywiązanie do tego zrynka ołówka. Ma dla mnie wartość niemal człowieka, małego człowieczka. – Potem wyraziłem przedsiębiorcy serdeczną podziękę za jego uprzejmość i zapewniłem, że o nim nie zapomnę – ...Tak, tak... słowo... zawsze dotrzymuję, a pan tego wart. Do widzenia!

Ruszyłem ku drzwiom, stąpając tak dumnie, jakbym mógł naprawdę rozdawać wybitne stanowiska, a przedsiębiorca ukłonił mi się dwukrotnie. Przy wyjściu obróciłem się raz jeszcze i powiedziałem mu. – Do widzenia!

Na schodach spotkałem kobietę z torbą w ręku. Widząc mą nadętą minę przytuliła się do ściany, ja zaś bezwiednie sięgnąłem do kieszeni, by jej coś dać. Nic nie znalazłszy, straciłem rezon i przeszedłem mimo ze zwieszoną głową. Za chwilę usłyszałem, że puka do przedsiębiorcy. W drzwiach była krata, poznałem brzęk, jaki wydawała pod dotknięciem palca.

Słońce świeciło na południowej stronie i dochodziła dwunasta. Całe miasto było na nogach, zbliżał się czas przechadzki, a roześmiany tłum pozdrawiających się ludzi płynął ulicą Karola-Jana. Przycisnąłem łokcie do boków, skuliłem się i minąłem pospiesznie i niepostrzeżenie kilku znajomych, obserwujących publiczność u narożnika uniwersytetu. Poszedłem zadumany ku górze Zamkowej.

Ach, ci ludzie... lekko, wesoło poruszali jasnymi głowami płasząc przez życie niby przez salę balową! Nie było troski w zadnych oczach, brzemie nie uciskało ich ramion, a dusze były pewnie wolne od smętnych myśli i tajemnego bólu. A oto ja kroczyłem pośród nich młody i teraz właśnie zdecydowany, zapomniawszy już, jak wygląda szczęście. Lubowałem się tą myślą czując, jaka mnie dotknęła krzywda. Czemuż w ostatnich miesiącach los tak srogo mnie prześladował? Straciłem całkiem pogodę ducha. Co krok doznawałem najdziwniejszych przykrości. Siadłszy na byle jakiej ławce czy postawiwszy gdzieś nogę, natrafiłem na drobne, przypadkowe, a dręczące bagatelki, wciskające się w myśl i rozpraszające siły na wszystkie strony. Przemykający chyłkiem pies lub żółta róża w butonierce jakiegoś pana przenikały mnie i zajmowały długo. Coś mi się stało! Czyż ten jegomość wskazał na mnie palcem? Czemuż, jeśli już musiało tak być, nie ma kogoś w Ameryce Południowej? W gruncie rzeczy było coraz dziwniejsze, że właśnie mnie wybrał sobie Bóg na ofiarę dla swych figli. Dziwna to zaprawdę metoda – przeskakiwać cały świat, by akurat mnie dosięgnąć. Wszakże istniał jeszcze, u licha, właściciel antykwariatu, Pascha, i ekspedient okrętowy, Hennechen!



Szedłem, dumałem nad tą kwestią i gromadziłem nader poważne zarzuty przeciw samowoli Stwórcy, karzącego mnie za winy wszystkich ludzi. Nawet gdy znalazłem wolną ławkę i usiadłem, pytanie to nie pozwalało mi zająć się czym innym. Od pamiętnego dnia w maju, kiedy zaczęły się moje utrapienia, czułem wzrastającą ciągle niemoc, tak że osłabłem niezdolny wieść się w zamierzonym kierunku. Do wnętrza mej duszy wcisnął się tłum szkodliwych stworzeń i wydrążył ją całą. Czyżby Bóg zamierzał zniweczyć mnie całkiem? Wstałem i zacząłem biegać przed ławką.

Czułem w całym ciele niewymowny ból, szarpało mnie nawet w ramionach, tak że nie mogłem ich trzymać w normalnej pozycji. Ciężkie jedzenie sprawiało mi również dolegliwości, byłem przesycony, wzburzony i krążyłem tam i z powrotem, nie patrząc na ludzi snujących się koło mnie niby cienie. W końcu moją ławkę zajęli dwaj panowie, którzy zapalili cygara i zaczęli głośno gadać. Ogarnięty złością chciałem ich zaczepić, ale po namyśle ruszyłem na drugi koniec parku i znalazłszy ławkę usiadłem.

Myśl o Bogu zajęła mnie znowu. Uznałem, że bardzo źle czynił wchodząc mi w drogę, ile razy starałem się o zajęcie, i niwecząc wszystko, mimo że szło przecież jeno o chleb powszedni. Zauważyłem dobrze, że ile razy głodowałem dłużej, mózg mi niejako wypływał z głowy i w czaszce czyniła się próżnia. Głowa była lekka, nie czułem jej całkiem, znikał ciężar z ramion, zaś oczy, gdy na kogoś patrzył, rozwierały się zbyt szeroko.

Siedząc na ławce dumałem o wszystkim, coraz to bardziej rozgoryczony udręką, zadawaną mi przez Boga. Obrął złą metodę, jeśli sądził, że mnie w ten sposób pociągnie ku sobie i uczyni lepszym. Patrząc w niebo przez łązy buntu, powtórzyłem to cicho, a dobitnie, by wiedział raz na zawsze.

Przyszły mi na myśl szczątki wiary dziecięcej, rytm Biblii rozdzwonił się w głowie, rozmawiałem sam z sobą półgłosem i przechyliłem drwiąco na bok głowę. Po cóż miałbym się troszczyć o żarcie i picie oraz o to, w co oblekę ów wór z molami, zwany ciałem, skoro mam ojca w niebie, który opiekuje się mną zarówno jak wróblami i czyni mi łaskę dotykając mnie swoim palcem? Ów palec boski wetknięty z lekka w sieć moich nerwów, wywołał pewien nieład w drutach. Potem Bóg wyjął palec i oto zostały na nim drobniutkie niteczki nerwów. Po owym palcu została dziura, została rana w mózgu po palcu boskiej opatrności. Uczyniwszy to ojciec niebieski pozwolił mi odejść, nie dotykał mnie już i nie uczynił mi nic złego. Poszedłem sobie spokojnie z ową dziurą pewny, że Pan, który jest Bogiem na wieki wieków, nie uczyni mi nic złego...

Wiatr przyniósł kilka akordów muzycznych z Gaju Studenckiego, minęła tedy druga. Dobyłem papier chcąc pisać. Jednocześnie wypadła mi z kieszeni książeczka abonamentowa golarza. Policzyłem kartki – było jeszcze sześć. – Dzięki Bogu – powiedziałem bezwiednie – będę mógł golić się jeszcze przez pewien czas i wyglądać porządnie! – Zaraz wpadłem w weselszy nastrój wobec posiadania czegoś takiego, starannie wygładziłem kartki i schowałem książeczkę.

Ale pisać nie byłem w, stanie. Po kilku wierszach ustałem, nie przychodziło mi nic do głowy, myśli były gdzie indziej, nie mogłem się zdobyć na żaden konkretny wysiłek. Wszystko oddziaływało na mnie i rozpraszało, odbierałem ustawicznie coraz to inne wrażenia. Na papierze siadały muchy lub małe komary i przeszkadzały. Dmuchałem coraz to mocniej, ale bez skutku. Takie małe bestie zapierają się zawsze, robią się ciężkie i walczą z podmuchem, tak że im się wyginają cienkie nożęta. Nie podobna ich usunąć, bo zawsze znajdą punkt oparcia dla niedostrzegalnych pazurków na przecinku czy chropowatej powierzchni papieru i siedzą niewzruszalnie, dopóki nie uznają za właściwe pójść sobie gdzie indziej.

Przez pewien czas byłem zajęty obserwowaniem owych potworków. Siedziałem skrzyżowawszy nogi. Nagle od strony kwietników doleciało kilka wysokich tonów klarnetowych, a myśli me skierowały się w inną stronę. Zmartwiony niemożnością pisania schowałem papier i oparłem się o poręcz ławki. W tej chwili odzyskałem bystrość myśli, mogłem bez znużenia śledzić każdy problem do końca. Spoglądając po piersiach i nogach dostrzegłem rytmiczne ich drgania za każdym uderzeniem pulsu. Podniosłem się trochę i doznałem nagle najdziwniejszego wrażenia, jakim przeżywałem kiedykolwiek. Nerwy me doznały wstrząsu, jakby w nie uderzyła kaskada światła. Dostrzegłem trzewiki i wydały mi się dobrymi znajomymi. Poczulem, że odnajduję straconą część własnego ja, świadomość odzyskanego samopoznania przenika me zmysły, napływają mi łzy do oczu, a od trzewików płynie coś niby fala szeleszczącego wiewu. – Słabość!... – powiadam sobie twardo i zaciskam pięści... – Słabość! – Nazwałem się głupcem i z powodu tych uczuć z całą świadomością drwiłem z siebie, przemawiałem surowo i rozumnie i zaciskałem oczy, by zdusić łzy. Jakbym nie widział dotąd własnych trzewików, zacząłem studiować ich wygląd, mimikę przy poruszaniu stopy, kształt, zniszczone wierzchy i zauważyłem, że fałdy oraz białe szwy nadają im pewien wyraz i fizjonomię. Coś z mego ja przeszło w tę trzewiki, coś zwróciło się przeciw memu ja, była to jednak

częstka mnie samego...

Siedziałem igrając przez pewien czas z tymi spostrzeżeniami. Nadszedł mały stary człowieczek i zajął drugi koniec ławki. Siadając sapnął kilka razy i powiedział :

– Tak... tak... tak... tak... tak... tak... tak jest!

Na dźwięk jego głosu wicher jakiś wymiółł mi wszystko z głowy, porzuciłem trzewiki i doznałem wrażenia, że moje dotychczasowe pomieszenie datuje się od bardzo dawna, sprzed roku czy dwu, tak iż znika z pamięci. Siadłem prosto i przyjrzałem się starcowi.

Nic mnie nie obchodził, nic a nic! Trzymał w ręce gazetę obróconą ogłoszeniami na zewnątrz, a w gazecie było coś zapakowane. Zaciekawiony nie mogłem oderwać oczu od gazety i wpadła mi szalona myśl, że owa gazeta mogła być jedyną w swoim rodzaju, nie znano dotąd czegoś podobnego na świecie... Poruszyłem się niespokojnie. Ciekawość poddała mi przypuszczenie, że mogą tam być dokumenty lub niebezpieczne akta, skradzione w archiwum. Zamajaczył mi jakiś tajemny traktat... sprzysiężenie...

Staruszek siedział cicho i dumał. Czemuż to nie trzymał jak wszyscy gazety tytułem na wierzch? Czyż to był podstęp? Zdawało się, jakby za nic w świecie nie chciał wypuścić pakunku z dłoni ani powierzyć nawet własnej kieszeni. Byłbym się założył o własną głowę, że w tym coś jest.

Patrzyłem w powietrze doznając wielkiego pomieszania, gdyż nie sposób było przeniknąć tej mistycznej sprawy. Przeszukałem kieszenie chcąc dać coś staruszkowi i przy tej okazji wszcząć rozmowę. Dobyłem książeczkę z abonamentem golarza, ale schowałem ją z powrotem. Nagle zdobyłem się na krańcową bezczelność, uderzyłem po pustej kieszeni na piersiach i rzekłem:

– Czy mogę panu służyć papierosem?

O nie... podziękował... nie palił, musiał zaprzestać dla oszczędzania oczu... był niemal ślepy... W każdym razie jednak dziękował nader uprzejmie.

Spytałem, czy od dawna cierpi na oczy. Pewnie nie może czytać... nawet dzienników?

Niestety, nawet dzienników!

Spojrzał na mnie. Chore oczy były powleczone białawą skórką, wyglądały szklisto i czyniły bardzo niemiłe wrażenie.

– Pan nietutejszy? – spytał.

– Tak! – odparłem i zadałem pytanie, czy może przeczytać bodaj tytuł dziennika trzymanego w ręce.

– Z trudem. Zresztą zaraz spostrzegłem, że pan cudzoziemiec, po akcencie mowy. Słuch posiadam doskonały i nocą, gdy wszyscy śpią, słyszę przez ściany oddechy ludzi. Ale coś chciałem rzec... Gdzie pan mieszka?

Od razu w mojej głowie zarysowało się kłamstwo. Łgałem bezwiednie, bez zamiaru ani ubocznej myśli.

– Na placu Św. Olafa, numer 2.

– Doprawdy? – Staruszek znał każdy kamień bruku tego placu. – Jest tam studnia, kilka słupów z latarniami, drzewo... – pamiętał każdy szczegół. – Jakiż jest numer pańskiego mieszkania?

Chciałem skończyć i wstałem podniecony żądzą zobaczenia tytułu gazety. Tajemnica musiała być odkryta za wszelką cenę.

– Jeśli pan nie może czytać, dlaczegóż tedy...

– Numer drugi?... – rzekł nie dostrzegając mego niepokoju. – Znałem swego czasu wszystkich mieszkańców tego domu. Jakże się zwie gospodarz pański?

Zmyśliłem na poczekaniu jakieś nazwisko chcąc się go pozbyć i wyrzuciłem je dla zaspokojenia dręczyciela.

– Happolati! – powiedziałem.

– Happolati... tak! – rzekł kiwając głową i nie tracąc ani jednej sylaby trudnego słowa.

Spojrzałem zdumiony. Siedział poważny, zadumany. Ledwo wyrzekłem głupie nazwisko, staruszek zaspokoił się nim, jakby je znał dobrze. Położył pakiet na ławce, a mnie przebiegł dreszcz ciekawości. Dostrzegłem na gazecie kilka tłustych plam.

– Czy pański gospodarz jest żeglarzem? – spytał bez cienia ironii. – Zdaje mi się, słyszałem, jakoby był żeglarzem.



– Żeglarzem? Ach... pan ma pewnie na myśli brata? Tu idzie o pana J. A. Happolati, agenta handlowego.

Myślałem, że na tym będzie koniec, ale dziwny staruszek przystał na wszystko.

– Słyszałem, że to ma być dziwny człowiek! – rzekł ostrożnie.

– O, zaiste spryciarz zeń wielki, kupiec zawołany, pośredniczy w eksporcie porzeczek do Chin, piór i pierza rosyjskiego, handluje skórą, masą drzewną, atramentem...

– He... he... he... do diaska! – przerwał mi rozweselony.

Rzecz zaczynała być ciekawa. Porwany sytuacją łągałem coraz to bardziej, stwarzając różne cudactwa. Siadłem zapominając o gazecie i tajnych dokumentach. Łatwowierność staruszka rozzuchwalała mnie. Postanowiłem obełgać go bezlitośnie i w sposób niedościgniony przepędzić gdzie pieprz rośnie.

Spytałem, czy słyszał o elektrycznym śpiewniku, wynalezionym przez Happolatiego.

– Co? Elekt...?

– Tak! Śpiewnik o elektrycznych, świecących literach. Jest to przedsięwzięcie genialne. Miliony koron kapitału obrotowego, własne odlewnie, drukarnie w pełnym biegu, tłum mechaników... coś około siedmiuset osób, tak słyszałem...

– Tak... tak... – zgodził się starzec cichym głosem. Nie rzekł nic ponadto. Wierzył w każde me słowo, ale nie dziwił się wcale. Byłem rozczarowany, bo chciałem go obezwładnić szalonymi pomysłami.

Powiedziałem jeszcze kilka desperackich błag hazardując na oślep. Szepnąłem, że Happolati był przez dziesięć lat ministrem w Persji.

– Pan pewnie nie docenia moich słów – dodałem.

– Być ministrem w Persji to znacznie więcej niżli tutaj królem, to coś, o ile pan wie, jak być sułtanem. Ale Happolati dał wszystkiemu radę i nie potknął się ani razu.

Potem powiedziałem mu o Ylajali, córce Happolatiego, księżniczce, bogini, posiadającej trzysta niewolnic, spoczywającej na łożu usłanym żółtymi różami, zaręczając, że istoty równie pięknej nie ma na świecie. Niech mnie Bóg skarże, jeśli widział coś podobnego w życiu.

– Hm... tak jest piękna? – rzekł starzec z roztargnieniem i zapatrzył się w ziemię.

– Piękna? Ha... urocza, słodka jak grzech. Powieki niby surowy jedwab, ramiona bursztynowe. Spojrzenie jej to pocałunek, a głos przenika w serce niby prąd żaru wina! Jest po prostu zjawą niebiańską, zaręczam, postacią z baśni!

– Tak... tak... – rzekł staruszek trochę oszołomiony.

Spokój ten zaczął mnie nudzić. Własne słowa podnieciły mnie, tak że mówiłem całkiem serio. Znikły mi z myśli skradzione dokumenty i tajny traktat z tym czy innym obcym mocarstwem. Płaski pakiet leżał pomiędzy nami na ławce, ja zaś nie doznawałem wcale ochoty obejrzenia go. Zajęły mnie własne myśli, miałem przed oczyma dziwne zjawy, krew uderzała mi do głowy, śmiałem się w głos.

Staruszek chciał widać odejść. Macał wkoło siebie, potem zaś spytał, by nie urwać zbyt nagle.

– Podobno ten Happolati posiada rozległe dobra?

Jakże mógł ślepy, nieznośny karzeł posługiwać się zmyślonym przeze mnie nazwiskiem, tak jakby było rzeczywiste i widniało na każdym z kramów miasta? Nie potknął się o żadną sylabę, nie zapomniał litery. Nazwisko to wżarło się w jego mózg i momentalnie zapuściło korzenie. Byłem rozgniewany i rozgoryczony na tego człowieka, którego nic nie wyprowadzało z równowagi i nie czyniło podejrzliwym.

– Nic o tym nie wiem! – zawołałem z wściekłością.

– Wiedz pan tylko raz na zawsze, że zwie się wedle początkowych liter Jan Arendt Happolati!

– Jan Arendt Happolati... – powtórzył zdziwioną mą gwałtownością i umilkł.

– Powinien by pan zobaczyć jego żonę! – krzyknąłem groźnie. – Nie ma chyba grubszej... Pan myśli zapewne, że nie jest tak gruba?... Ha?

– Czemuż by nie? Wierzę. Człowiek jak on...

Odpowiedział łagodnie, jakby się bał sprzeciwić i pobudzać mnie do gniewu.

– Do diabła! – wrzasnąłem w końcu. – Czyż sądzisz, człeczko, że siedzę tu i okłamuję cię? Sądzisz pewnie, że nie ma wcale żadnego Happolatiego na świecie. Nie widziałem dotąd tak bezczelnego i złośliwego starca. Co to za szatan cię opętał? Myślisz pewnie też, że masz przed sobą nędzarza w ostatniej odzieży, nie posiadającego papierośnicy napelnionej po brzegi? Nie przywykłem do takiego traktowania i niech pan sobie zanotuje raz na zawsze, że nie pozwolę nikomu na świecie, by mi ubliżał tak zuchwale!

Starzec wstał i otwarty usta słuchał moich szaleńczych słów. Gdym skończył, porwał swój pakiet i odszedł prędko, pobiegł niemal drogą małymi, starczymi kroczkami.

Zostałem na miejscu i patrzyłem na plecy odchodzącego, które zdawały się zniżać i opadać. Nie wiem czemu, ale nabrałem przekonania, że nie widziałem jeszcze równie nieuczciwych i zbrodniczych wprost pleców, toteż nie żał mi było, że sklął przed odejściem tego człowieka...

Dzień się chylił, słońce zstępowało, pośród drzew zaczął szeleścić wiatr, a piastunki zgrupowane opodał, obok bariery, zaczęły toczyć wózki w stronę domów. Wzburzenie moje opadało coraz bardziej, byłem teraz spokojny i śpiący. Chleb spożyty obficie przestał mi dokuczać. W doskonałym nastroju rozparty na ławce zamknąłem oczy, zacząłem drzemać i już zasypiałem na dobre, gdy nagle uczułem na ramieniu dotknięcie strażnika parkowego i posłyszałem słowa:

– Tu spać nie wolno...

– Ach... prawda! – zawołałem wstając. Od razu uświadomiłem sobie fatalne położenie. Trzeba było koniecznie coś wymyślić, jąc się czegoś. Nie udało mi się znaleźć zajęcia. Polecenia, jakie mi dano, postarzały się już, zresztą nie pochodziły od osób wybitnych, nie miały więc wielkiego znaczenia. Przy tym ustawiczne odmowy w ciągu lata odebrały mi męstwo. Tymczasem czynsz zalegał i musiałem znaleźć jakąś radę. Mniejsza o resztę.

Bezwiednie dobyłem papier i zacząłem wypisywać datę roku 1848 we wszystkich rogach, pośrodku i na ukos. Ach, gdybyż to myśl jakaś zjawiła się nagle! Zdarzało się przecież nie raz, że niespodzianie nawiedzały mnie, mogłem świetnie szkicować całe ustępy.

Siedząc na ławce wypisywałem całymi tuzinami rok 1848 i czekałem na jakąś możliwą do zużytkowania myśl. Przelatywało mi ich mnóstwo przez głowę, ale były do niczego, przy tym zapadający mrok zasmucił mnie i uczynił sentymentalnym. Jesień nadchodziła i zaczęła obezwładniać wszystko. Pierwszy cios padł nu muchy i drobne owady. Pod drzewami w krzakach szeleści i szumi niespokojne życie, walczące ze śmiercią. Robactwo podnosi raz jeszcze głowy ponad mech, prostują się nogi, wydłużają macki, a potem nagle maleństwa padają brzuchem do góry. Każda roślina nosi odmienną, właściwą sobie cechę konania, wywołaną powiewem zimna. Żdźbła sterczą blade w słońcu, na ziemi szeleści opadłe listowie, jakby wędrowały po niej gąsienice jedwabników. Nastała jesień, przyszła w ciągu karnawału znikomości. Czerwień róż zachorzała, na krwistej barwie widnieje przedziwny, hektyczny blask.

Czuję się sam pełzającym zwierzęciem, które kona, ogarnione zniszczeniem pośród wszechzycia, gotującego się na sen. Porwany strachem wstałem, zrobiłem kilka wielkich kroków i krzyknąłem: – Nie! To się musi skończyć! – Zacisnąłem pięści, siadłem ponownie, ująłem ołówek i postanowiłem całkiem serio napisać artykuł. Na cóż by się zdało folgowanie sobie, gdy czynsz zalega?

Myśli zaczęły napływać, porządkować się zwolna i niebawem skreśliłem kilka stron dobrze skomponowanych, które mogły stanowić wstęp do wszelakich rzeczy, zarówno do opisu podróży, jak też i artykułu politycznego. Był to zaprawdę świetny wstęp do... nie wiadomo czego, czyli wszystkiego.

Zacząłem teraz poszukiwać kwestii konkretnej na dany temat, imienia jakiegoś człowieka, jakiejś rzeczy, o której mógłbym pisać, ale nie nasuwało mi się nic. Podczas tych wysiłków znowu zapanował w moim mózgu nieład. Czułem, że odmawia usług, że głowa staje się pusta, coraz pustsza, lekko jeno spoczywając na ramionach. I wrażenie to, rosnąc dalej, przemieniało się w uczucie, że jestem cały wewnątrz wydrążony.

– Boże mój i ojczy! – krzyknąłem kilka razy nie dodając nic do tych słów.

Wiatr szumiał w gałęziach, zbierały się chmury. Przez chwilę gapiłem się na papier, potem złożyłem go i włożyłem w kieszeń. Pochłodziło, a ja byłem bez kamizelki. Zapiąłem surduta aż pod brodę, schowałem ręce do kieszeni, wstałem i ruszyłem przed się.

O, gdybyż mi się było choć tym razem powiodło! Niejednokrotnie już gospodyni pytała mnie oczyma o czynsz, ja zaś musiałem kulić się i przemykać z pozdrowieniem zakłopotania. Postanowiłem, że tego już nie uczynię i za następnym takim spojrzeniem uczciwie wypowiem mieszkanie i zrobię rachunek. Nie sposób było żyć tak dalej.

U wylotu parku zobaczyłem starego karzelka, którego wściekłością zmusiłem do ucieczki. Mistyczny pakiet leżał rozłożony szeroko. Zawierał sporo różnorodnych przekąsek a starzec pożerał je chciwie. Chciałem przystąpić i przeprosić za moje zachowanie, ale odrzącił mnie jego sposób jedzenia. Chude palce niby szpony ścisnęły tłuste kęsy. Uczułem nudności i minąłem go bez słowa. Nie poznał mnie i chociaż wlepił we mnie twarde rogowate oczy, na jego twarzy nie zjawił się żaden wyraz.

Ruszyłem dalej.

Z nawyku stawałem przed rozlepionymi dziennikami szukając wolnych posad i natrafiłem szczęściem na coś stosownego. Pewien kupiec w dzielnicy Groenlandsleru poszukiwał człowieka, który by prowadził mu księgi przez parę godzin dziennie. Wynagrodzenie wedle umowy. Zanotowałem adres, pomodliłem się cicho do Boga, by mi dał to zajęcie, i uradziłem z sobą, iż zgodzę się na niższą od innych zapłatę. Gotów byłem przyjąć pięćdziesiąt örów... czterdzieści nawet... wedle okoliczności.



W pokoju zastałem na stole kartkę od gospodyni, w której prosiła, bym zapłacił komorne zaległe i następne z góry albo wyniósł się co prędzej. W zakończeniu przeproszała za to niezbędne życzenie i podpisała: „Z całą przychylnością Mme Gundersen.”

Napisałem podanie do kupca Christi w Groenlandslerze nr 31, włożyłem w kopertę i zaniósłem do skrzynki na rogu ulicy. Potem wróciłem do stacji, siadłem w krześle biegunowym i przy coraz gęstszym mroku zacząłem dumać nad tym, że coraz mi trudniej utrzymać się na powierzchni.

Zbudziłem się o świcie. Gdym rozwarł oczy, było jeszcze ciemno i po dobrej chwili dopiero usłyszałem pięć uderzeń zegara w mieszkaniu ponad sobą. Chciałem zasnąć, ale nie mogłem, leżałem tedy rozmyślając nad różnymi rzeczami.

Nagle wpadło mi parę dobrych zdań zdatnych do felietonu czy szkicu. Były to wprost mistrzowskie powiedzenia, jakich nie udało mi się dotąd znaleźć. Leżałem powtarzając słowa, czując ich wartość. Po chwili zjawilo się ich więcej. Całkiem rozbudzony sięgnąłem po papier i ołówek, leżący na stole za łóżkiem. Jakby żyła złotonośna otwarła się nagle we mnie, toczyły się wyrazy, szeregowały, grupowały, stwarzały sytuacje, sceny jedne po drugich, rosła treść, jawiły się dialogi, a duszę mą przejęła błogość niewysłowiona. Pisałem jak opętany stronę po stronie bez przerwy, a zalew myśli był tak obfity, że musiałem pomijać mnóstwo szczegółów nie mogąc ich zanotować dość szybko, mimo że pracowałem całą parą. Pisałem jakby pod przymusem, czując pełnię treści, a wyrazy przychodziły skądś spoza mnie.

Szczęście to trwało długo i zanim ustało, miałem piętnaście czy dwadzieścia kartek bitego pisma. Odłożyłem ołówek. Jeśli naprawdę rzecz miała wartość, byłem ocalony. Wskoczyłem z łóżka i ubrałem się. Rozjaśniło się tak, że mogłem już odczytać ogłoszenia dyrekcji latarni portowej przy drzwiach, zaś pod oknem tyle już było światła, że mogłem uporządkować notatki i przepisać je na czysto.

Z fantazji tych wiało tyle promiennego światła i barw, że śledząc jeden świetny pomysł po drugim nabrałem przekonania, że jest to najlepsza rzecz, jaką mi się przydarzyło czytać. Upojony radością, przejęty weselem uczułem się w niezwykle podniosłym nastroju. Zważyłem rękopis na dłoni i otaksowałem go... najskromniej... na pięć koron. Nikomu by nawet na myśl nie przyszło targować się... przeciwnie, pięć koron to czysty wyzysk... jeśli wziąć pod uwagę wartość rzeczy. Porzuciłem tę cenę. Takich romansów nie znajduje się na ulicy. Nie chcąc dawać pracy za darmo oceniłem ją na dziesięć koron.

W pokoju czyniło się coraz jaśniej. Mogłem już bez wielkiego wysiłku odcyfrować szkieletowate litery anonsu mamzel Andersen o bieliźnie dla umrzyków w „...ulicy Wałowej na prawo”. Minęło w istocie sporo czasu, od kiedy zegar wybił siódmą...

Stałem pośrodku pokoju i przyszło mi na myśl, że wypowiedzenie pani Gundersen nastąpiło w sam czas. Pokój ten naprawdę nie był odpowiedni dla mnie. Miał proste jeno, zielone firanki, w ścianach zbyt mało tkwiło gwoździ na powieszenie odzienia, a biedny, czerwony fotel na biegunach była to jeno karykatura fotela, z której można by się na śmierć zaśmiać. Dużo za niski dla dorosłego, był również tak wąski, że chcąc zeń wstać musiało się brać do pomocy zzuwaczkę od butów. Krótko mówiąc pokój nie nadawał się dla myśliciela i postanowiłem opuścić go niezwłocznie. Zbyt długo już milczałem i znosiłem niewygody w tej szopie.

Rozdęty nadzieją i radością dobywałem co chwila swój przedziwny szkic, odczytywałem go, a jednocześnie zabrałem się do przeprowadzki. Podjąłem zawiniątko, czerwoną chustkę z kilku czystymi kołnierzykami i zmiętoszoną gazetą, w której był ongiś chleb, zwinąłem koldrę i włożyłem w środek niewielki zapas czystego papieru. Potem przeszukałem wszystkie kąty, by przez niedbalstwo czegoś nie zapomnieć, nie znalazłszy zaś niczego wyjrzałem oknem. Ranek był dżdżysty, nikt się nie kręcił przy gruzach spalonej kuźni, a wyprężony sznur do wieszania bielizny ociekał wodą. Znałem to wszystko dobrze, odstaąpiłem przeto od okna, wziąłem pod pachę koldrę, po czym złożyłem niski ukłon przed ogłoszeniem dyrekcji latami portowej i anonsem mamzel Andersen i zbliżyłem się do drzwi.

Nagle przyszła mi na myśl gospodyni, którą należało uwiadomić o wyprowadzce, by się przekonała, że ma do czynienia z porządnym człowiekiem. Postanowiłem uczynić to listownie oraz podziękować Jej za te kilka dni, które przemieszkałem bezpłatnie poza terminem miesięcznym. Tak byłem pewny, że ocalałem na czas dłuższy, iż w liście przyrzekłem jej nadpłatę w wysokości pięciu koron, które złożę za parę dni przechodząc tą ulicą, by wiedziała, jak niezwykle szlachetnego człowieka gościła pod swym dachem.

Zostawiłem kartkę na stole.

Ponownie zawróciłem od wyjścia. Promienna świadomość ocalenia zachwycała mnie i czyniła wdzięcznym wobec Boga i całego świata. Ukląknęłam przy łóżku i złożyłem dzięki za dobroć Stwórcy, okazaną mi dzisiaj rana. Wiedziałem dobrze, że natchnienie, jakiego doznałem niedawno, było odpowiedzią niebios na moje wczorajsze wołanie o ratunek.

– Oto Bóg! Oto Bóg! – wołałem głośno i płakałem wzruszony własnymi słowami. Jednocześnie wyęczałem duch, czy ktoś nie idzie schodami. W końcu wstałem, ześliznąłem się cicho z wszystkich pięter i dotarłem szczęśliwie niepostrzeżony do bramy.

Ulice lśniły od rannego deszczu, gęste chmury zwisały nisko, nigdzie nie było śladu promieni słońca. Któraż mogła być godzina? Ruszyłem jak zazwyczaj do ratusza i przekonałem się, że dopiero wpół do dziewiątej. Daremne byłoby zachodzić do redakcji przed dziesiątą, a może nawet jedenastą. Musiałem tedy waleśać się przez jakiś czas i medytować nad sposobem zdobycia małego śniadanka. Nie było obawy, abym tego dnia miał iść spać na czczo. Te czasy już minęły, dzięki Bogu! Patrzyłem na nie jak na odległą przeszłość czy zły sen... Teraz droga moja wiodła wzwyż!

Kołdra ciążyła mi, a przy tym nie sposób było pokazywać się ludziom z takim tobołkiem. Cóż by pomyślano? Dumiałem nad sposobem przechowania tych rzeczy. Po chwili przyszło mi na myśl, że mogę wstąpić do magazynu Semba i kazać wszystko zawinąć w papier. Przybierze zaraz inny wygląd, osądziłem, i nie będzie mi już wstyd nosić to ze sobą. Zaszedłem tam i wyraziłem swą prośbę jakiemuś kupczykowi.

Spojrzał na kołdrę, potem na mnie i wziął wreszcie toboł wzdrygając pogardliwie ramionami. To mnie dotknęło.

– Do kroćset tysięcy!... – zawołałem. – Bądźże pan trochę ostrożniejszy! W kołdrze znajdują się dwie kosztowne wazy, które posyłam do Smyrny.

To podziałało cudownie. Każdym ruchem ciała prosił mnie teraz o przebaczenie za to, że nie domyślił się zaraz tak cennej zawartości. Gdy skończył pakować, podziękowałem mu za pomoc, jak przystało człowiekowi, który już nie raz posyłał kosztowne wazy do Smyrny. Gdym wychodził, otworzył mi drzwi.

Wąłęsałem się pomiędzy ludźmi po Stortorwie, najczęściej w pobliżu kobiet sprzedających kwiaty. Krwistoczerwone róże, lśniące w mgle poranka, kusily mnie, rad bym był porwać jedną i celem obejrzenia ich z bliska spytałem o cenę. Gdyby mi starczyło pieniędzy, postanowiłem kupić kilka, w inny sposób ratując potem równowagę budżetu.

Nadeszła dziesiąta, przeto udałem się do redakcji. Mężczyzna, zwany „Nożyczkarzem”, grzebał w stosie starych gazet. Redaktora jeszcze nie było. Na zapytanie podałem mu mój obszerny rękopis dając do zrozumienia, że jest to coś niezwykłego, i kładąc na sercu, by go wręczył osobiście redaktorowi, gdy tylko przybędzie. Oświadczyłem, że sam zajdę w ciągu dnia po odpowiedź.

– Dobrze! – rzekł „Nożyczkarz” zabierając się ponownie do gazet.

Wydało mi się, że bierze sprawę zbyt spokojnie, nie rzekłem jednak nic, skinąłem tylko obojętnie głową i wyszedłem.

Byłem wolny. Gdybyż się jeno chciało rozpogodzić! Pluta była straszna, powietrze było bezwietrzne i ciężkie. Damy chroniły się pod parasolami, a wełniane czapki mężczyzn wyglądały nader smutno. Powlokłem się znowu na rynek, oglądałem jarzyny i róże i nagle poczułem dotknięcie na ramieniu. Znajomy, zwany „Mamzel”, pozdrowił mnie życzliwie.

– Dzień dobry? – odparłem tonem zapytania, by się dowiedzieć, czego chce. Nie miałem wielkiego zaufania do pana „Mamzel”.

Spojrzał z ciekawością na świeżuteńki pakunek i spytał:

– Cóż to takiego?



– Kupiłem u Semba materiał na nowe ubranie... – odparłem obojętnie. – Nie chcę dłużej zaniedbywać się. Żle jest nie zwracać uwagi na swą powierzchowność.

Patrzył na mnie zdumiony.

– Jakże się panu powodzi? – spytał przeciągle.

– Doskonale... nadspodziewanie.

– Ma pan tedy zajęcie?

– Czy mam zajęcie? – zdziwiłem się. – Wszakże jestem buchalterem u wielkiego przemysłowca Christiego...

– A... tak... – powiedział odstępując o krok. – Bardzo mnie to cieszy. Byle tylko nie rozszarpano panu zarobionych pieniędzy... Do widzenia!

Po chwili obrócił się, zbliżył się ponownie i wskazując pakiet laską rzekł:

– Polecam panu mego krawca. Trudno znaleźć lepszego nad Izaksena. Proszę się tylko powołać na mnie.

Po cóż wtykał nos w moje sprawy? Cóż go obchodziło, którego wezmę krawca? Zawrzałem gniewem na tego powierzchownego strojnisia i przypomniałem mu dość brutalnie, że mi winien od dawna dziesięć koron. Atoli zanim jeszcze mógł odpowiedzieć, pożałowałem tego postępuku, zmieszałem się i spuściłem oczy. Korzystając z nadejścia jakiejś damy, cofnąłem się dla zrobienia jej miejsca i ruszyłem w swoją stronę.

Czymże zapłacić czas oczekiwania? Nie mogłem z pustymi kieszeniami wejść do kawiarni ani również o tej porze odwiedzić żadnego ze znajomych. Instynktownie udałem się ku miastu, strawiłem sporo czasu na łażeniu od placu targowego do Graensenu, przeczytałem „Aftenposten”, świeżo zawieszoną na słupie, zboczyłem ku ulicy Karola-Jana, zawróciłem potem i udałem się prosto na cmentarz Zbawiciela, gdzie znalazłem sobie spokojny kącik tuż obok kaplicy.

Siedziałem tam w zupełnej ciszy, drzemałem, mokłem, zasypiałem i marzyłem po trochu, a czas płynął. Czyż w istocie felieton był arcydziełem natchnienia? Czyż nie było w nim tu i ówdzie błędu? Dobrze rzecz rozważywszy musiało tak nawet być! Był pewnie przeciętny, może całkiem zgoła do niczego. Skądże wiedziałem, że nie spoczywał już w koszu? Zadowolenie moje zostało wstrząśnięte, zerwałem się i wybiegłem z cmentarza.

Dotarłszy do Ackerstraede spojrzałem na wystawę sklepową i przekonałem się, że dopiero minęła dwunasta. Popadłem w rozpacz. Miałem nadzieję, że jest daleko później, a przed czwartą nie było co zachodzić do redakcji. Losy mego felietonu napełniały mnie strasznymi przeczuciami. Im dłużej rozmyślałem, tym bardziej powątpiewałem, bym mógł sklecić coś dobrego w stanie półjawy, z mózgiem ogarniętym gorączką. Oczywiście oszukałem samego siebie i radowałem się przez cały ranek bez najmniejszej podstawy... Tak... oczywiście!

Kroczyłem żwawo drogą ku Ullevaal, minąłem St. Hanshaugen, wyszedłem na pola, potem przebrnąłem ciasne, dziwne uliczki Sagene i przez parcele budowlane i oranicę dotarłem w końcu do gościńca, ginącego w dali na widnokręgu.

Tu stanąłem postanowiwszy wracać. Rozgrzał mnie długi marsz, szedłem teraz wolno, przygnębiony. Spotkałem niebawem dwie fury z sianem. Woźnice leżeli na wierzchu i śpiewali, obydwaj bosci, o okrągłych, beztroskich twarzach. Szedłem dalej pewny, że mnie zagadną, rzucą jakąś uwagę albo wyplatają figla. Gdym się zbliżył jeden z nich spytał mnie, co niosę.

– Kołdrę! – odparłem.

– Która godzina? – spytał znowu.

– Nie wiem dobrze... – rzekłem – pewnie będzie koło trzeciej.

Roześmieli się obaj i przejechali, ale w tej chwili uczułem cios bicia na jednym uchu, a kapelusz zleciał mi z głowy. Parobcy nie mogli się powstrzymać od psikusa. Wściekły schwyciłem się za ucho, dobyłem kapelusz z rowu i poszedłem dalej. Pod St. Hanshaugen napotkany wieśniak powiedział mi, że minęła czwarta.

Już minęła czwarta! Pospieszyłem rączo ku miastu. Redaktor pewnie był od dawna i teraz właśnie odszedł. Szedłem, a raczej biegłem, potykałem się, uderzałem o pojazdy, mijałem spacerujących, szedłem w zawody z końmi, słowem, spieszyłem się jak szalony, by zdążyć na czas. Wskoczyłem w bramę, w czterech susach przebyłem schody i zapukałem.

Nikt nie odpowiedział.

Już poszedł. Już go nie ma i – pomyślałem. Nacisnąłem klamkę – drzwi nie były zamknięte, zapukałem tedy ponownie i wszedłem.

Redaktor siedział przy stole, obrócony do okna, z piórem w ręku sposobiąc się do pisania. Posłyszawszy przywitanie, wyrzucone z zadyszanych piersi, obrócił głowę, potrząsnął nią i rzekł:

– Nie miałem dotąd czasu na przeczytanie pańskiego szkicu.

Uradowany, że go jeszcze nie odrzucił, odparłem:

– Oczywiście, doskonale to rozumiem. Zresztą rzecz nie jest pilna. Przyjdę za parę dni... A może...

– Zobaczę. Zresztą mam wszakże pański adres.

Zapomniałem powiedzieć, że nie posiadam już adresu.

Audjencia była skończona, skłoniłem się i wyszedłem rozplómienny nową nadzieją. Nic nie było jeszcze stracone, przeciwnie, otwały się szanse powodzenia. Mózg mój zaczął na nowo roić o wielkiej, niebiańskiej naradzie, która powzięła uchwałę, że mam wygrać, wygrać całych dziesięć koron za felieton.

Gdybyż tylko wiedzieć, gdzie mam się schronić na noc! Myśl o owej kryjówce zaabsorbowała mnie tak bardzo, że stanąłem pośrodku ulicy. Zapomniałem, gdzie jestem, sterczałem niby samotny sygnał pośród morza, a fale płynęły wokół z łoskotem. Roznosiciel dzienników podsunął mi „Wikinga” zalecając, że jest wesoły. Spojrzałem i oprzytomniawszy spostrzegłem, że stoję pod sklepem Semba.

Zwróciłem się szybko w bok, zakryłem sobą pakiet i pospieszyłem w ulicę Kościelną przygnębiony myślą, że może mnie dostrzeżono przez okno wystawowe. Minąwszy Ingebret i teatr zwróciłem się w stronę fiordu i fortecy, siadłem na ławce i zacząłem na nowo spekulować.

Gdzież, u licha, spędzę noc?! Czyż nie ma dziury, w którą można by wleźć i przeczekać do rana? Duma nie pozwala mi wracać do opuszczonego pokoju i cofać własnych słów, odsunąłem z oburzeniem tę myśl i roześmiałem się z cicha, wspomniawszy czerwony fotel na biegunach. Przez dziwne skojarzenie wyobrażeń znalazłem się nagle w wielkim pokoju o dwu oknach przy Haegdehaugen, gdzie dawniej mieszkałem, i zobaczyłem na stole tacę, obładowaną mnóstwem bułek z masłem, które zmieniały wygląd przybierając postać uwodzicielskiego befsztyka to znów śnieżnobiałej serwety, mas chleba, a w końcu srebrnej zastawy. Drzwi się otwarły, weszła gospodyni niosąc mi nową filiżankę herbaty...

Złudy... marzenia! Wiedziałem, że dostawszy teraz coś do jedzenia uczułbym zawrót głowy, ogarnęłaby mnie gorączka i zjawilyby się owe szaleńcze koncepty, z którymi musiałem nieraz walczyć. Nie znosiłem po prostu jadła, nie miałem potrzeby jeść, a właściwość ta stanowiła mą oryginalną, przyrodzoną cechę.

Może zjawi się pomysł noclegu, gdy zapadnie wieczór. Na razie miałem czas. Zresztą stał mi otworem las i cała okolica miasta, gdzie mogłem znaleźć miejsce, zwłaszcza że nie było jeszcze mrozu.

Morze kołysało się leniwie, statki i prostackie, szerokonose galary żłobiły skiby w ołowianej powierzchni odrzucając pasma na prawo, lewo i sunęły w dal, dym kłębił się niby pierze, a łomot maszyn tętnił głucho w wilgotnym, zimnym powietrzu. Nie było słońca ani wiatru, drzewa poza mną i ławka ociekały wodą. Czas płynął. Zachciało mi się spać, byłem zmęczony i zimny dreszcz przenikał mi plecy. Po chwili uczułem, że powieki mi zapadają... nie broniłem się...

Gdym się zbudził, wokół było ciemno. Oszołomiony, przemarzły, chwyciłem pakunek i ruszyłem dalej. Szedłem coraz prędzej, by się rozgrzać, machałem rękami i pocierałem nogi odrętwiałe z zimna. Tak dotarłem do strażnicy pożarnej. Była dziewiąta, przespałem tedy kilka godzin.

Cóż miałem począć z sobą? Musiałem się gdzieś wcisnąć. Stałem gapiąc się na strażnicę i dumalem, czyby nie można dostać się na korytarz skorzystawszy z momentu, kiedy strażnik zawróci i pokaże plecy. Wszedłem na schody chcąc się wdać w rozmowę z tym człowiekiem. Podniósł zaraz halabardę, co miało oznaczać ukłon, i stanął czekając. Ale na widok szerokiego ostrza, skierowanego w mą głowę, doznałem nerwowego wstrząsu, zbrojny mąż przejął mnie takim strachem, że cofnąłem się bezwiednie. Milcząc zacząłem schodzić na dół, a tylko dla zachowania pozorów pocierałem dłonią czoło, jak gdybym czegoś zapomniał. Stanąwszy na chodniku doznałem uczucia wielkiej ulgi i jakby uszedłszy niebezpieczeństwa ruszyłem szybko przed się.

Przeziębły i głodny wędrowałem ulicą Karola-Jana klnąc głośno bez względu na to, że może ktoś usłyszeć. Pod budynkiem stortingu, zaraz przy pierwszym lwie, dziwnym skojarzeniem wyobrażeń przypomniałem sobie pewnego malarza, młodego człowieka, którego raz ochroniłem w Tivoli od policzka. Byłem potem u niego z wizytą. Klasnąłem palcami, udałem się na ulicę Nordenskjoelda i znalazłem drzwi z biletem: „E. Zachariasz Barter. Zapukałem.

Wyszedł. Cuchnął straszliwie winem i tytoniem.

– Dobry wieczór! – powiedziałem.



– Dobry wieczór! A, to pan? Czemuż u licha, zjawia się pan tak późno? Przy świetle fatalnie się przedstawia. Niedawno domalowałem stóg siana i zmieniłem kilka szczegółów. Musi pan to zobaczyć za dnia, teraz nie ma sensu.

– Nie szkodzi, mogę i teraz zobaczyć! – zapewniłem nie wiedząc zresztą, o jakim obrazie wspomina.

– Wykluczone! – odrzekł. – Wszystko wyda się żółte! Przy tym jest jeszcze inna przeszkoda. Mam dziś dziewczynkę... tak że nie sposób...

– A, jeśli tak, to istotnie nie można!

Pozegnałem go i odszedłem.

Nie było innej rady, jak iść do lasu. Szkoda tylko, że było tak mokro. Uderzyłem dłonią po kołdrze oswajając się coraz bardziej z myślą, że będę zmuszony spać pod gołym niebem. Znużony poszukiwaniem schroniska w mieście, zapragnąłem jakiegokolwiek odpoczynku i szedłem na oślep, bez myśli w głowie. Na zegarze uniwersyteckim minęła już dziesiąta. Ruszyłem przez miasto. Gdzieś w Haegdehaugen zatrzymałem się przed wystawą artykułów spożywczych. Spał tam kot obok wielkiej strucli, za nim zaś stał garnek smalcu i kilka naczyń z kaszą. Przyjrzałem się temu wszystkiemu, ale nie mając pieniędzy obróciłem się na pięcie i poszedłem dalej. Szedłem powoli, minąłem Majorstuen i po kilku może godzinach dotarłem do miejskiego lasu dębowego.

Zboczyłem z drogi i siadłem, by spocząć. Rozejrzałem się za odpowiednim miejscem, nagarnąłem na małe wzniesienie, gdzie było stosunkowo sucho, trochę wrzosów i jałowcowych gałęzi, rozwinąłem pakunek i dobyłem kołdrę. Położyłem się zaraz, byłem wyczerpany i udreńczony długą włóczęgą. Ale długo rzucałem się i wilem nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Przy tym bolało mnie trochę ucho, napuchłe od uderzenia biczem parobka, wiozącego siano, i nie mogłem na nim leżeć. Zdjąłem trzewiki i nakrywszy je papierem, w który był zawinięty pakunek, położyłem je sobie pod głowę.

Ogarnęła mnie senność i cisza. W górze tylko brzmiała wieczysta pieśń powietrza, dalekie, bezgłośne, nie milnące nigdy granie. Nasłuchiwałem długo, aż nieskończone, jakby chore drganie zaczęło mi mieszać myśli. Była to pewnie symfonia toczących się nade mną światów, śpiew przez nie intonowany...

– Tak jest, do diabła! – zawołałem ze śmiechem, by sobie dodać odwagi. – To puszczyki nocne Kanaanu!

Wstałem, położyłem się znowu, wdziałem trzewiki, laziłem po ciemku, kładłem się, walczyłem ze strachem i gniewem i zasnąłem w końcu o świtanie...

Gdym otworzył oczy, dzień był jasny i miałem wrażenie, że już niedaleko południe. Wdziałem trzewiki, zapakowałem koldrę i ruszyłem w stronę miasta. I tego dnia nie było słońca, zmarzłem jak pies, nie czułem nóg, a do oczu napływały łzy, jakbym nie mógł znieść światła dziennego.

Była trzecia. Głód zaczynał mi na dobre dokuczać, czułem się słaby i idąc wymiotowałem raz po raz ukradkiem. Skręciłem w stronę kuchni parowej, przeczytałem jadłospis i zacząłem ostentacyjnie wzruszać ramionami, jakby mięso peklowane ze słoniną nie było dla mnie odpowiednim pożywieniem. Stamtąd poszedłem na dworzec kolejowy.

Nagle dziwny zawrót ogarnął mą głowę. Szedłem dalej nie zwracając na to uwagi, ale pogarszało się, tak że musiałem przysiąść na jakichś schodach. Zaszła we mnie jakaś dziwna odmiana, coś usuwało się na bok czy rozdzierała się tkanina – jakaś firanka w moim mózgu. Odetchnąłem kilka razy głęboko i siedziałem wielce zdumiony. Nie straciłem przytomności, czułem wyraźnie pulsowanie krwi w skaleczonym uchu, a gdy nadszedł znajomy, wstałem i pozdrowiłem go.

Cóż to za nowa udręka dodana do poprzednich? Może mściło się to, że spałem na wilgotnej ziemi? A może brak śniadania wywołał ten skutek? W gruncie rzeczy taki tryb życia był nonsensem. Nie wiedziałem, na święte rany Chrystusa, czy zasłużyłem na tego rodzaju prześladowania! Przyszło mi nagle do głowy, że mógłbym zostać drabem po prostu i zastawić kołdrę. Dostawszy koronę mógłbym zjeść trzy razy obiad i utrzymać się na powierzchni, zanim coś znajdę. Hansowi Pauli nie trudno będzie coś wmówić. Ruszyłem do lichwiarza, ale zatrzymałem się u wnijscia, potrząsnąłem głową i zawróciłem.

Oddalając się, za każdym krokiem czułem większą radość z powodu zwyciężenia pokusy. Czułem się dumny ze swej uczciwości, z tego, iż mam charakter, że jestem niby biała latarnia na mętym morzu ludzkości, po którym pływa tyle rozbitych łodzi. Jakżebym mógł zastawić cudzą własność dla najedzenia się i napicia ku własnej hańbie, jakżebym mógł rzucić sobie w twarz miano złoczyńcy i spuszczać oczy przed samym sobą? Nigdy, przenigdy! Nie miałem nawet na serio tego zamiaru, nawet nie przyszło mi to właściwie do głowy. Trudno brać odpowiedzialność za każdy przelotny błysk myśli, zwłaszcza gdy tak bardzo boli głowa i gdy jest się śmiertelnie zmęczonym włóceniem cudzej kołdry.

Nie wątpiłem, że znajdzie się jakieś wyjście, gdy nadejdzie czas po temu. Prawda! Kupiec z Groenlandsleru!... Czy go napastowałem co godzina od dnia przesłania oferty? Czyż dzwoniłem doń od rana do wieczora i czyż zostałem odprawiony z kwitkiem? Może ten krok nie był zgoła daremny, może tym razem miałem szczęście? Wszakże szczęście chadza tak krętymi drogami. Poszedłem do Groenlandsleru.

Ostatnie wstrząśnienie mózgu osłabiło mnie trochę, kroczyłem więc zwolna, rozmyślając, co mam powiedzieć kupcowi... Może to poczwiec i w chwili dobrego humoru da mi koronę zaliczki na robotę, bez prośby z mej strony. Takim ludziom zdarzają się czasem dobre pomysły.

Wśliznąłem się w bramę, pośliniłem palce, natarłem trochę spodnie na kolanach, by odnowić materiał, wetknąłem kołdrę w ciemny kąt za pakę, potem przekroczyłem ulicę i wszedłem do małego sklepiku.

Jakiś człowiek kleił torebki ze starych gazet.

– Chciałbym się widzieć z panem Christi... – powiedziałem.

– Służę panu... – odparł.

Powiedziałem nazwisko i nadmieniałem, że ośmieliłem się przesłać mu ofertę, a nie wiem, jaki odniosła skutek.

Powtórzył kilka razy me nazwisko i zaczął się śmiać.

– Uważajże pan! – powiedział dobywając mój list z kieszeni. – Proszę spojrzeć i przekonać się, co pan wyrabia z liczbami. Na liście umieścił pan datę roku 1848... – zaśmiał się w głos.

Przyznałem się pokornie do bezmyślności i roztargnienia.

– Potrzeba mi – rzekł na to – człowieka nie mylącego się w liczbach. Żal mi bardzo, pismo ma pan wyraźne i list mi się również podobał, mimo to jednak...

Czekałem chwilę. Nie mogło to być chyba ostatnie słowo. Tymczasem kupiec zabrał się z powrotem do torebek.

Przyznałem się raz jeszcze, że jest to nader przykra omyłka, rzecz wprost nieznośna, która się jednak nie powtórzy. Nie sądzę jednak, bym przez to miał się stać niezdolny do prowadzenia ksiąg handlowych.

Zgodził się na me zapatrywanie i nie twierdził tak wcale, dodał jednak, że przykłada tyle wagi do ścisłości, iż zdecydował się wziąć kogoś innego.

– Miejsce jest tedy zajęte?? – spytałem.

– Tak.

– Ano, to trudno... nie da się nic zrobić!

– Nie. Przykro mi bardzo.

– Żegnam pana! – zawołałem.

Zawrzałem płomiennym, brutalnym gniewem, wziąłem pakunek z sieni, zacisnąłem zęby i pobiegłem chodnikiem rozbijając spokojnych przechodniów i nie przepaszając ich za to. Jakiś pan zatrzymał się i skarcił dość ostro me postępowanie. Wówczas krzyknąłem mu jakieś głupie słowo, podsunąłem pięść pod sam nos i odszedłem przepojony szalem, niemożliwym do opanowania. Zawołał policjanta, a ja nabrałem wielkiej ochoty dostać się w jego ręce. Zwolniłem nawet kroku, by mu ułatwić aresztowanie, ale nie przyszedł. Czyż był jakiś sens w tym utracaniu najgorętszych pragnień człowieka? Po cóż napisałem datę roku 1848? Cóż mnie to, u licha, obchodziło? I z tego to powodu musiałem wałęsać się głodując, tak że trzewia mi się kurczyły jak robaki. W dodatku nie było tego dnia nadziei na jedzenie.

Im dłużej trwał taki stan, czułem coraz to większą próżnię pod względem fizycznym i duchowym i skłonność do coraz to mniej honorowych uczynków. Łgałem jak najęty, pozbawiałem biednych ludzi czynszu za mieszkanie, nawet walczyłem z chętką zamachu na cudzą kołdrę, a wszystko to bez cienia skruchy czy wyrzutów sumienia. W duszy mej rozsiadły się czarne plamy zgnilizny, grzyby jakieś szkaradne.

A na tronie niebieskim siedział Bóg i przyglądał się bacznie procesowi mej zatury, który szedł właściwą koleją, nieustannie, regularnie, bez usterek co do czasu i reguł sztuki. Na dnie zaś piekieł sapały z niecierpliwości diabły wściekłe, że tak długo nie popełniam jakiegoś grzechu śmiertelnego, czegoś strasznego, za co by mnie sprawiedliwość boska musiała niechybnie strącić w bezdeń...

Przypieszyłem kroku, zacząłem biec jak szalony, zwróciłem się nagle w lewo i wpadłem zły i wzburzony w jasną, zdobną sień. Nie przystanęłem ani na moment, ale objąłem świadomością natychmiast cały wygląd sieni aż do drobiazgow u drzwi, dekoracji i deseniu podłogi. Wbiegłem na schody i zadzwoniłem silnie na pierwszym piętrze. Czemuż zatrzymałem się właśnie na pierwszym piętrze? Czemuż chwyciłem dzwonek najdalszy od schodów?

Ukazała się młoda dama w szarej sukni z czarnym obramieniem. Spojrzała na mnie ze zdumieniem, potem zaś potrząsnęła głową i rzekła:

– Nie, dziś nie mamy nic! – po czym zabrała się do zamykania.

Czemuż wpadłem właśnie na to stworzenie boskie? Wzięła mnie po prostu za żebraka. W jednej chwili wrócił mi chłód i spokój. Zdjąłem kapelusz i skłoniwszy się z czcią, powiedziałem udając, że nie dosłyszałem tego, co mówiła.



– Bardzo panią przepraszam za zbyt gwałtowne dzwonienie, ale nie znałem dzwonka. Mieszka tutaj podobno chory jegomość, który zamieścił w dziennikach ogłoszenie, że potrzebuje kogoś do wożenia go w wózku.

Słuchała mych bezczelnych kłamstw i zdawała się mieć wątpliwości co do mej osoby.

– Nie – powiedziała w końcu – tu nie mieszka żaden chory...

– Nie? Starszy pan, dwie godziny jazdy dziennie, po czterdzieści örów za godzinę?

– Nie.

– Powtórnie tedy przepraszam! – rzekłem. – Może go znajdę na parterze. Chciałem polecić pewnego człowieka, którego znam i którym się interesuję. Nazywam się Wedel-Jarlsberg...

Złożyłem ukłon i cofnąłem się, a młoda dama, oblana rumieńcem, stała jak skamieniała patrząc za mną, gdym zstępował po schodach.

Wrócił mi spokój i wyjaśniło się w głowie. Słowa młodej damy były mi niby zimny tusz. Do tego więc już doszło, że każdy spojrzawszy na mnie myślał: oto żebrak, któremu wynoszą jedzenie poza drzwi.

W Mollenstraede zatrzymałem się przed jakąś gospodą wdychając zapach smażonego mięsa. Położyłem już dłoń na klamce i chciałem wejść, ale namyśliłem się jeszcze w czas i odszedłem. Dotarwszy do Stortorwu nie znalazłem wolnego miejsca na spoczynek, wszystkie ławki były zajęte, obszedłem daremnie wkoło kościoła, a przy tym mruczałem do siebie: – Oczywiście... oczywiście... oczywiście!... – Ruszyłem dalej, zboczyłem do studni na rogu bazaru, napiłem się wody i powędrowałem wolno dalej, przystawając przed wystawami i badając uważnie każdy mijający mnie pojazd. W głowie czułem gorąco, dziwną jasność, w pulsach zaś tętnienie. Wypita woda zaszkodziła mi, tak że musiałem wymiotować tu i ówdzie na ulicy. W ten sposób dostałem się na cmentarz Zbawiciela. Siadłem, oparłem łokcie o kolana, złożyłem głowę na dłoniach i uczułem w tej pozycji ulgę, nie gryzło mnie już teraz w piersiach.

Tuż obok mnie leżał wyciągnięty na wielkiej płycie granitowej kamieniarz i wykuwał napis. Miał niebieskie okulary i przypominał mi żywo pewnego znajomego, pracującego w banku, spotykanego dawniej w kawiarni „Oplandske”.

Należało odrzucić wstydlivość i zwrócić się do niego mówiąc otwarcie, że źle mi się powodzi i nie mogę zarobić na życie. Mogłem mu zresztą dać abonament do golarza... Cóż u licha... Gdzież moja książeczka... sześć kartek wartości blisko jednej korony? Zacząłem jej szukać nerwowo, zdjęty strachem, oblany potem, i w końcu znalazłem na dnie bocznej kieszeni wraz z czystym papierem bezcelowo zagryzmołonym. Przeliczyłem je naprzód i wstecz kilka razy. Nie były mi potrzebne, wszakże mogłem wpaść na pomysł zapuszczenia brody, a uratowałyby mnie biała półkoronówka z kongsberskiego srebra! Bank zamykano o szóstej, mogłem tedy owego znajomego schwytać około siódmej lub ósmej pod kawiarnią.

Radowałem się tą myślą przez dłuższą chwilę. Czas mijał, wiatr szeleścił w koronach kasztanów, dzień miał się ku schyłkowi. Czyż nie wstyd zbliżyć się z sześciu jeno kartkami golarza do młodzieńca pracującego w banku? Pewnie miał w kieszeni dwie grube książeczki abonamentowe o kartkach nierównie czystszych i piękniejszych niż moje. Przeszukałem kieszenie chcąc mu jeszcze coś dać, ale były puste. Ach, prawda, wszakże posiadałem krawat niepotrzebny zupełnie, gdyż nie mając kamizelki i tak musiałem zapinać surdut aż po brodę. Zdjąłem tedy krawat, a był on wielki, tak że zakrywał pół piersi. Oczyściłem go starannie i wraz z książeczką abonamentową zapakowałem w czysty papier. Potem opuściwszy cmentarz ruszyłem pod kawiarnię.

Na ratuszu była już siódma. Chodziłem pod kawiarnią wzdłuż zielonej kraty i bystro lustrowałem wchodzących i wychodzących. Na koniec około ósmej zobaczyłem poszukiwanego. Elegancki i wyświeżony kroczył ulicą kierując się ku drzwiom kawiarni. Serce zatrzepotało mi w piersiach niby ptak, ruszyłem naprzeciw i zagadnąłem bez pozdrowienia:

– Pół koronki, jeśli łaska, drogi przyjacielu! Oto masz pan tu coś w zamian! – Zrobiłem bezczelną minę i wetknąłem mu w rękę pakiecik.

– Nie mam nic! – powiedział. – Dalibóg, nie mam!

– rozwarł w mych oczach portmonetkę i przewrócił ją. – Wczoraj wieczorem puściłem się trochę i wypłukałem się do cna. Niech mi pan wierzy, nie mam ani grosza!

– O tak, drogi panie... wierzę w zupełności! – zawołałem pewny, że nie miałyby potrzeby kłamać z powodu takiej bagatelki. Wydało mi się też, że szukając po kieszeniach miał jakby przysłonione łzami oczy. Cofnąłem się więc i rzekłem: – Przepraszam bardzo, chwilowo znalazłem się w potrzebie!

Odszedłem już dość daleko, gdy mnie zawołał chcąc oddać pakiecik.

– Niech go pan zatrzyma! – rzekłem. – To podarek! Drobiazgi to jeno... wszystko niemal, co posiadam jeszcze na tej ziemi! – Wzruszyły mnie własne słowa, tak beznadziejnie brzmiące w zapadającym mroku, i zacząłem płakać.

Wiał chłodny wiatr, chmury pędziły po niebie, wraz z nadciągającą nocą stawało się coraz zimniej. Szedłem płacząc nieustannie, wzruszony do głębi własnym losem, i powtarzałem okrzyk, który mi na nowo wyciskał łzy z oczu, tak że nie wiedziałem, czy ustaną.

– O, Boże... Boże... jakże źle ze mną... Jakże strasznie źle!

Minęła zwolna, leniwie godzina. Przez jakiś czas wałęsałem się po Torostraede, siadałem na schodach, gdy ktoś nadchodził – kryłem się do sieni, stawałem bezmyślnie przed wystawami patrząc na ludzi, snujących się z towarami i pieniędzmi, wreszcie znalazłem zaciszny kącik poza stosem desek, pomiędzy kościołem a bazarem.

Nie mogłem iść do lasu, choćby się nie wiedzieć co stało, nie miałem sił na przebycie tej nieskończenie długiej drogi, postanowiłem tutaj spędzić jako tako noc. Gdybym zanadto zmarzł, mogłem bez żadnych ceregieli pospacerować wokoło kościoła. Rozparłem się i zacząłem drzemać.

Hałas uliczny przycichał zwolna, zamykano sklepy, kroki przechodniów rozbrzmiewały coraz rzadziej, a światła w oknach gasły, jedno po drugim...

Otwarłem oczy i spostrzegłem jakąś postać przed sobą. Połyskujące guziki świadczyły, że był to policjant, twarzy jednak nie widziałem.

– Dobry wieczór! – powiedział.

– Dobry wieczór – odparłem przerażony. Czekałem trwożnie. Policjant stał chwilę bez ruchu.

– Gdzie pan mieszka? – spytał.

Z nawyku, nie myśląc wcale, podałem adres poddasza, które musiałem opuścić.

– Czym uczynił coś złego? – spytałem drżąc na całym ciele.

– O, nie! – rzekł policjant. – Sądzę tylko, że powinien pan iść do domu. Za chłodno jest, by tutaj spać.

– Tak, to prawda, zmarzłem porządnie.

Pożegnałem go i skierowałem się bezwiednie do starego mieszkania. Idąc ostrożnie, mogłem się do niego wśliznąć niepostrzeżenie. Było wszystkiego osiem schodów, a tylko dwa ostatnie trzeszczały pod nogami.

Pod bramą zdjąłem trzewiki i udałem się na górę. Panowała zupełna cisza. Na wysokości pierwszego piętra posłyszałem wolny tykot zegara i urywany płacz dziecka, poza tym nic. Znalazłem drzwi, podniosłem je nieco w zawiasach, otwarłem jak zawsze bez klucza, wszedłem i przyciągnąłem po cichu drzwi za sobą.

Wszystko zastałem po dawnemu. Firanki były odsunięte i łóżko puste. Zdołałem dostrzec na stole papier. Była to zapewne moja własna kartka do gospodyni, która tu nie weszła od czasu mej wyprowadzki. Dotknąłem białej płaszczyzny i ze zdumieniem znalazłem list. Przyjrzałem mu się, ile było można przy oknie, i znalazłem wypisane koślawo własne nazwisko. Aha, pomyślałem, to odpowiedź, zakaz używania pokoju na wypadek, gdybym wrócił.

Powoli wyszedłem na ulicę niosąc w jednej ręce trzewiki, w drugiej list, a pod pachą pakunek. Zaciskając zęby, gdy stopień trzasnął, ześliznąłem się ze schodów i stanąłem w bramie.

Wdziałem trzewiki z wolna sznurując rzemienie i odpocząłem chwilę po skończeniu tej operacji, gapiąc się przed siebie i trzymając list w ręku.

Potem wstałem i ruszyłem przed siebie.

Dostrzegłszy w „ulicy blade światło latarni podszedłem, oparłem pakunek o słup i bardzo powoli otwarłem kopertę.

Nagle zalała mnie fala światła i usłyszałem bezmyślny okrzyk radości. List był od redaktora. Przyjął mój felieton, posłał go zaraz do drukarni... poczyniwszy kilka drobnych zmian... poprawiwszy tu i ówdzie błąd pisowni... rzecz napisana z talentem... jutro się ukáže... honorarium dziesięć koron!

Śmiałem się i płakałem, skakałem po ulicy, stawałem, biłem się po kolanach, kłąłem bez żadnego powodu, wznosząc głowę w niebo, a czas mijał.

Do białego rana rozbijałem się po mieście upojony radością i powtarzałem w kółko:

– Rzecz napisana z talentem... a więc małe arcydziełko... błysk geniuszu... dziesięć koron!



## Rozdział 2

W kilka tygodni potem znalazłem się wieczorem na ulicy.

Wróciłem z jednego z cmentarzy, gdzie usiłowałem napisać artykuł do dziennika. Na robocie tej zeszło mi do dziesiątej, ściemniło się całkiem i zamknięto bramę. Byłem bardzo głodny. Owych dziesięć koron nie stało mi na długo i od trzech niemal dni i nocy nie miałem nic w ustach. Czułem osłabienie, byłem znużony pisaniem, a w kieszeni prócz złamanego scyzoryka i pęczka kluczy nie miałem nic, ani öra.

Po zamknięciu bramy powinienem był udać się do domu, do opuszczonej pracowni blacharskiej, gdzie mi pozwolono przebywać, ale czułem taką odrazę do pustki i ciemności mej stacyjki, że ruszyłem na oślep przed siebie, minąłem ratusz i dotarłem aż do portu, gdzie siadłem na ławce przy głównym dojeździe kolejowym.

W tej chwili nie trapiło mnie nic, odczuwałem spokój i patrzyłem na piękny port widniejący w zmroku. Dawnym obyczajem chciałem zabawić się odczytaniem napisanego już ustępu, który wydał się memu udręczonemu mózgowi najlepszą z napisanych kiedykolwiek rzeczy. Dobyłem rękopis i trzymając go tuż przed oczyma przebiegałem kartkę za kartką. Znużony dałem wreszcie pokój, schowałem papiery i zapatrzyłem się na morze, ścielące się cicho, granatowe, podobne do perłowej masy. Obok mnie przelatywały bezgłośnie ptaki. Nieco dalej patrolował policjant, poza nim nie było nikogo, a w porcie panowało milczenie.

Przeliczyłem ponownie swe mienie. Posiadałem złamany scyzoryk, pęczek kluczy, ale ani jednego öra. Nagle dobyłem z kieszeni papiery, prawie mechanicznym ruchem, nerwowym, bezwiednym wyszukałem czystą, nie zapisaną kartkę... lichy wie, skąd się wziął ten pomysł... zrobiłem małą tulejkę, zamknąłem starannie, tak że się wydawała pełna, i rzuciłem na bruk. Wiatr potoczył ją dalej i wreszcie legła spokojnie.

Głód żarł mi kiszki, ja zaś patrzyłem na tulejkę pełną zda się srebrnych monet i wmawiałem w siebie, że tak jest w istocie. Doprowadziłem do tego, iż siedząc wyprostowany starałem się odgadnąć kwotę. Jeśli zgadnę, myślałem... będzie moja. Wyobraziłem sobie, że na dnie leżą małe monety dziesięcioöorowe, na wierzchu zaś grube, rowkowane po brzegach korony. Cała tulejka pieniędzy! Patrzyłem wybałuszając oczy i podmawiałem się sam, by iść i skraść ją.

Nagle policjant zakaszłał, ja zaś o dziwo, uczyniłem to samo. Wstałem i zakaszlałem trzy razy, tak by usłyszał. Gdy się zbliży, niezawodnie chwyci co prędzej tulejkę. Radowałem się naprzód z figla, zacierałem ręce i kłąłem pod nosem siarczyście. Ładną pewnie zrobi minę ten drań. Niechże go diabli porwą na samo dno piekła po tym figlu! Głód upoił mnie, zataczałem się po prostu.

W parę minut później nadszedł policjant stukając podkówkami po bruku i rozglądając się wokoło. Ruchy miał powolne, bowiem cała noc była przed nim. Zobaczył tulejkę dopiero stanąwszy nad nią. Stanął i patrzył, wydała mu się Cenna... może zawierała małą sumkę?... Podniósł... Hm... lekka... bardzo lekka... Może zawierała kosztowne pióro czy ozdobę do kapelusza?... Otworzył ją ostrożnie wielkimi rękami i zajrzał do środka, ja zaś śmiałem się bijąc się po kolanach, śmiałem jak szalony. Ale z gardła nie dobył się ani jeden dźwięk, śmiech mój był cichy, hektyczny i przypominał spazm łkania...

Zadudniło znowu po bruku, policjant zwrócił się ku placowi Kolejowemu, ja zaś siedziałem z oczyma pełnymi łez i dyszałem ciężko, porwany gorączką wesołości. Zacząłem głośno mówić, opowiadałem sobie sam o tulejce, naśladowałem ruchy biednego policjanta, patrzyłem we własną próżną dłoń i powtarzałem po kilka razy, jak to kaszlał odrzucając tulejkę! Do tych słów dodawałem inne, opatrywałem je podniecającymi epitetami, przekręcałem zdania i zaostrzałem ich znaczenie. Zakaszlał: khe... khe... khe... śmiałem się.

Wysilałem się na przeróżne warianty i wesołość moja ustała dopiero po długim czasie. Potem zapadłem w miły bezwład senny, któremu nie stawiałem oporu. Ciemność zgęstniała, lekki wiatr wzburzył perlistą toń morza. Okręty o masztach rysujących się na niebie przybrały wygląd czarnych potworów, stroszących sierść i czyhających na mnie. Nie bolało mnie nic, głód przycichł, zamiast tego uczułem miłą pustkę, nie doznawałem wrażeń, rad, że mnie nikt nie widzi. Położyłem się na ławce, w tej pozycji delektując się najlepiej poczuciem osamotnienia. Umysłu nie przysłała mi żadna chmurka, żadna dolegliwość, żadna chętka ni pożądanie. Leżałem z otwartymi oczyma nie czując samego siebie, daleki wszystkiemu i szczęśliwy.

Nie przeszkadzał mi żaden ton. Łagodna ciemń skryła świat przed mymi oczyma i pogrzebała w pełnym ukojeniu. W uszach szumiała mi tylko monotennie cisza. Czułem, że gdy spłynie głęboka noc, potwory owe wessą mnie w siebie i poniosą morzem do dalekich krajów, gdzie nie ma ludzi. Zawiozą mnie do zamku księżniczki Ylajali, gdzie mnie otoczy wspaniałość, jakiej nikt jeszcze dotąd nie znał. Ona będzie siedziała w błyszczącej sali, gdzie wszystko będzie z ametystów, na tronie pokrytym żółtymi różami, poda mi, gdy wejdę, dłoń i powita jako rycerza przybywającego do jej państwa. Gdy uklęknę, wyzna, iż szukała mnie od lat dwudziestu, przyzywając do siebie każdej nocy księżycowej, płacząc, gdym był smutny, i podszeptując mi sny cudowne, gdym zasypiał... Ujmie mą dłoń i powiedzie krążgankami pełnymi wiwatujących ludzi, przez śliczne ogrody, gdzie będzie igrać i śmiać się trzysta pięknych dziewcząt, i doprowadzi do innej sali, gdzie wszystko będzie zrobione z połyskującego szmaragdu. Słońce zalewa krążganki rozbrzmiewające chóralnym śpiewem, fala woni płynie ku mnie, trzymam jej dłoń w swojej dłoni, czuję rozkosz czar w krwi, otaczam ją ramieniem, a ona szepcze: – Nie tu, chodźmy dalej. – Docieramy do czerwonej sali, gdzie wszystko jest rubinem i upojeniem, w którym tonę. Czuję jej ramię na szyi, jej oddech na mojej twarzy szepcze: – Witaj mi ukochany... całuj mnie... jeszcze... jeszcze...

Widzę z mej ławki gwiazdy przed oczyma, a myśli pędzą kędyś w huraganie światłości.

Zapadłem w sen, z którego zbudził mnie nagle policjant. Siedziałem przywołany niemiłosiernie do życia i nędzy. Zdziwiłem się zrazu głupkowato, że oto siedzę pod gołym niebem, potem jednak ogarnął mnie smutek i żal, iż jeszcze żyję. Deszcz spadł podczas mego snu, przemokłem na wskroś i czułem ostry chłód w członkach. Ciemność tak się zwiększyła, że z trudnością mogłem dostrzec stojącego przede mną policjanta.

– Taaak! – powiedział. – Wstańże pan...

Podniosłem się niezwłocznie, byłbym również usłuchał, gdyby mi się kazał położyć. Byłem przygnębiony, bezsilny, a w dodatku odczułem zaraz głód.

– Niechże pan zaczeka, głupcze jeden!... – zawołał za mną policjant. – Zostawił pan kapelusz... Taaak... teraz może pan iść...

– Wydało mi się zaraz, żem czegoś zapomniał... – wyjąkałem półprzytomnie – dziękuję... dobranoc!

Ruszyłem chwiejnie w drogę.

Ach, gdybyż choć odrobinka chleba! Taki cudny, mały żytni bocheneczek, który można pogryzać idąc ulicą. Głód mnie dręczył, pragnąłem śmierci. Szedłem dumając nad takim chlebem, który by można właśnie teraz jeść. Roztkliwiłem się i zapłakałem. Moja nęcza nie miała końca. Nagle stanąłem, tupnąłem w bruk i zakląłem. Jakże to mnie nazwał? Głupcem? Pokażę ja temu draniowi, co znaczy nazwać kogoś głupcem! Zawróciłem biegiem pieniać się ze złości. Po chwili potknąłem się i upadłem, ale nie zważając na to wstałem i popędziłem dalej. Dotarwszy do placu dojazdowego zesłałem do tego stopnia, że nie mogłem zawlec się do portu. Wśród drogi minął także gniew. Stanąłem dysząc ciężko. Czyż nie było obojętne, co powiedział taki sobie prosty policjant? No tak... ale nie sposób znieść wszystko obojętnie!... To prawda, przerwałem sobie... tylko... trzeba zważyć, że nie stać go na nic innego! Uznałem to usprawiedliwienie za wystarczające i powtórzyłem sobie, że widać nic stać go na nic innego. Zawróciłem ku miastu.



Miły Boże! – pomyślałem ze złością. – Do czegoż to możesz dojść? Co to ci przyszło na myśl latać po nocy wśród deszczu! Głód żarł mnie straszliwy, tak że nie miałem chwili spokoju. Przełykałem raz po raz ślinę, by się nasycić, i trochę zelżało. Niedostateczne odżywianie w ciągu kilku tygodni odebrało mi siły. Marzyłem o pięciokoronówce, która by pozwoliła mi przetrwać ten okres niedostatku, tak by się wzmocnić, zanim nadejdzie drugi. Najgorzej było z plecami, klucia w piersiach mogłem się pozbyć na chwilę przy pomocy kaszlu lub skulenia się, ale na plecy i ramiona nie było rady.

Dlaczegoż, u licha, nie czyniło się wokoło mnie jaśniej? Wszakże miałem takie samo prawo do życia jak antykwariusz Pascha i ekspedytor okrętowy Hennechen. Wszakże miałem barki jak olbrzym i parę silnych rąk do pracy, tak że nawet starałem się o rąbanie drzewa w Mollenstraede celem zarobienia na życie. Staralem się o mnóstwo zajęć, słuchałem mnóstwa wykładów, pisywałem artykuły i po całych dniach i nocach uczyłem się jak szalony. Żyłem przy tym jak skąpiec, chlebem i mlekiem w chwilach dostatku, Chlebem, gdy miałem mało, a głodowałem, gdy nie miał nic. Wszakże nie mieszkałem we wspaniałych apartamentach o mnóstwie komnat, ale na poddaszu warsztatu blacharskiego, z którego zeszłej zimy wszyscy uciekli, bo śnieg padał do wnętrza. Nie mogłem się zorientować w tym wszystkim.

Dumałem o tych sprawach po drodze, bez śladu złośliwości, zawiści lub goryczy.

Stałem pod składem farb i usiłowałem odczytać napisy na szczelnie zamkniętych puszkach. Ale było zbyt ciemno. Rozgniewany na siebie za ten nowy, niemądry koncept, zapukałem kilka razy w szybę i poszedłem dalej. Po chwili ujrzałem w ulicy policjanta, przyspieszyłem kroku, zbliżyłem się doń i powiedziałem bez żadnego powodu:

– Jest dziesiąta.

– Nie, jest druga! – odparł zdumiony.

– Jest dziesiąta... dziesiąta! – zawołałem wściekły, zacisnąłem pięści i przystąpiwszy blisko powtórzyłem:

– Niech pan sobie zapamięta, że jest dziesiąta... dziesiąta!

Stał namyślając się przez chwilę, patrzył na mnie osłupiały, potem zaś rzekł z cicha:

– W każdym razie, sądzę, czas, byś pan wrócił do domu. Czy odprowadzić pana?

Dobroć ta rozbroiła mnie, uczułem łzy w oczach i odparłem pospiesznie:

– Nie, dziękuję panu. Za długo widać byłem w kawiarni. Dziękuję stokrotnie!

Przyłożył dłoń do hełmu, gdym odchodził. Dobroć jego oszołomiła mnie i zapłakałem z żalu, że nie posiadam pięciu koron, by mu je dać. Przystanąłem patrząc, jak idzie swoją drogą, uderzyłem się w czoło i płakałem coraz to mocniej w miarę, jak się oddalał. Wypominałem sobie moje ubóstwo, przezywałem się najrozmaiciej, wymyślałem dziwaczne a ubliżające wyzwiska i obsypywałem się nimi. Trwało to aż do samego domu, a gdym stanął pod nim, spostrzegłem, że zgubiłem klucze.

– Oczywiście... – rzekłem do siebie z goryczą... – dlaczegoż bym nie miał zgubić kluczy? Mieszkam w domu mieszczącym na parterze stajnię, a na piętrze warsztat blacharski. Bramę zamykają na noc i nikt a nikt nie może mi otworzyć. Dlaczegoż bym wobec tego nie miał zgubić kluczy? – Byłem mokry jak pies, głodny, odrobinę głodny, a także bolały mnie trochę... śmiesznie mnie bolały kolana. Czemuż bym tedy nie miał zgubić kluczy? Właściwie wszyscy powinni by się wynieść z domu do Akry w chwili, gdym przyszedł chcąc wejść do wnętrza. Roześmiałem się zatwardziały głodem i poczuciem upadku.

Słyszałem uderzenia kopyt końskich i widziałem w górze me okno, ale nie mogłem otworzyć bramy i wejść. Znużony i rozgoryczony postanowiłem wrócić do portu i szukać kluczy.

Deszcz zaczął znowu padać i niebawem uczułem wilgoć na ramionach. Pod ratuszem przyszła mi dobra myśl, wszakże mogłem wezwać policję, by mi otworzyła bramę.

Zwróciłem się niezwłocznie do policjanta i poprosiłem gorąco, by mi otwarł, o ile może.

– Hm... oczywiście... chętnie... – powiedział, ale nie mógł, gdyż klucze znajdują się w oddziale tajnej policji.

Spytałem, co mam zrobić.

– Hm... najlepiej iść do hotelu i tam spędzić noc.

– Nie mogę iść do hotelu, albowiem zabrakło mi pieniędzy. Zabawiłem się w kawiarni... no i oczywiście... rzecz jasna.

Staliśmy chwilę na schodach ratusza. Namyslał się, patrzył na mnie, deszcz zaś lał jak z cebra.

Potem poradził, bym się zgłosił do dyżurnego i oświadczył, że jestem bezdomny.

Bezdomny? Nie wpadło mi to do głowy... Świetna myśl, u kata! Podziękowałem policjantowi za doskonałą radę i spytałem, czy mogę po prostu wejść i zgłosić się jako bezdomny.

– Oczywiście, całkiem po prostu.

– Nazwisko? – spytał dyżurny.

– Tangen... Andrzej Tangen.

Nie wiem, czemu skłamałem. Myśli me fruwały wokół i poddawały więcej konceptów, niżli mogłem zużytkować. Wymyśliłem błyskawicznie to zgoła obce nazwisko i rzuciłem je bez namysłu. Łgałem bez potrzeby.

– Zawód?

Znaczyło to tyle co wyrzucenie na bruk. Zrazu zamierzałem zrobić się powroźnikiem, ale nazwisko nie było odpowiednie, a przy tym miałem okulary na nosie. Należało iść bezczelnie przebojem, postąpiłem przeto krok naprzód i rzekłem uroczyście, z naciskiem:

– Dziennikarz.

Dyżurny drgnął, nim zanotował, ja zaś stałem przed balaskami jak bezdomny radca dworu. Nie obudziłem podejrzania, dyżurny zrozumiał, dlaczego zawahałem się z odpowiedzią. Jakaż dziwna rzecz... dziennikarz w rataszu, bez dachu nad głową!

– W którym piśmie pan pracuje, panie Tangen?

– W „Kurierze Porannym” – odparłem. – Niestety, zabawiłem zbyt długo w kawiarni...

– To nie należy do rzeczy! – przerwał i dodał z uśmiechem: – Gdy młodzi hulają... natenczas... rozumiemy to dobrze! – Potem zwrócił się do policjanta i rzekł: – Proszę zaprowadzić pana do oddziału zarezerwowanego... – Skłonił się uprzejmie i dodał: – Dobranoc.

Moja bezczelność przejęła mnie zimnym dreszczem. Zaciśnąłem pięści, by dodać sobie odwagi.

– Gaz świeci się przez dziesięć minut! – oświadczył policjant w drzwiach.

– A potem gaśnie?

– Tak, potem gaśnie.

Siedząc na łóżku usłyszałem, jak przekręcono klucz w zamku. Jasna cela miała nader miły wygląd, uczułem się całkiem dobrze i zacząłem nasłuchiwać szmeru deszczu na dworze. Trudno było sobie coś lepszego wymarzyć. Moje rozradowanie wzrastało. Siedząc na łóżku z kapeluszem w rękę i oczyma utkwionymi w kinkiet gazowy na ścianie, rozpamiętywałem dzieje tego mego pierwszego zetknięcia się z policją. Po raz pierwszy, a tak ich okpiłem! Dziennikarz Tangen... czy tak? Potem zaś „Kurier Poranny”! – To trafiło w samo serce... To do rzeczy nie należy... nieprawdaż? W wizytowym stroju siedziałem do drugiej w Stiftgaardzie... potem zgubiłem klucze... no i portfel z kilku tysiącami!... Proszę zaprowadzić pana do oddziału zarezerwowanego...

Nagle płomyk zgasł w sposób przedziwny – od razu, bez zmniejszania się. Znalazłem się w zupełnej ciemności, nie mogłem zobaczyć własnej dłoni ani białych ścian celi... słowem niczego. Nie było nic do zrobienia prócz spania, przeto rozebrałem się.

Ale nie mogłem zasnąć. Przez jakiś czas leżałem zapatrzony w ciemność, w ową nicość masywną, a bezdenną, której nie sposób pojąć. Była ciemna i gnębiła mnie nad wszelki wyraz. Zamknąłem oczy, zacząłem półgłosem nucić i rzucać się dla rozrywki po pryczy, ale nic nie pomagało. Ciemność pochwyciła w szpony moje myśli i nie dawała mi chwili spokoju. Może teraz właśnie rozplątuję się w ciemni i jednocześnie się z nią? Siadłem i zacząłem bić wokoło ramionami.

Nerwowy nastrój pogorszył się, a moja desperacka obrona była daremna. Stałem się łupem najdziwaczniejszych fantazji, koilem się sam, nuciłem pieśni do snu i potniałem z wysiłku, pragnąc zażyć spoczynku. Wlepiąłem oczy w tę ciemń, jakiej dotąd nigdy w życiu nie widziałem. Niewątpliwie była to rzecz zgoła nie spotykana, żywioł rozpaczny, nie znany dotąd nikomu. Opadły mnie głupie myśli, drżałem przed wszystkim. Zaabsorbowany zostałem małą dziurką w murze tuż przy łóżku. Był to ślad gwoźdźcia, drobna szczerba w murze. Dotykałem jej, dmuchałem do środka, próbowałem zbadać jej głębokość. O, nie była to niewinna dziurka, ale przeciwnie, tajemniczy, złowrogi otwór, którego należało się strzec. Ogarnięty strachem musiałem wstać i przy pomocy złamanego scyzoryka zmierzyć jej głębokość, by się przekonać, że nie sięga aż do sąsiedniej celi.

Położyłem się chcąc zasnąć, ale w rzeczywistości jeno po to, by dalej walczyć z ciemnością. Deszcz ustał, nie dochodził żaden odgłos, przez pewien czas nasłuchiwałem niecierpliwie kroków przechodnia i w końcu pochwyciłem stąpanie, zapewne policjanta. Naraz strzepnąłem palcami. Co znowu u licha? Wydało mi się, że znalazłem nowe słowo, jakiego nie ma dotąd w żadnym języku. Siadłem i powiedziałem:

– Kubona. Na miły Bóg... ma głoski jak każde słowo... a ty, człeczko, odkryłeś owo słowo o niesłychanej gramatycznej doniosłości... Kubona!...

Ujrzałem je wypisane jaskrawo w ciemności.

Siedziałem z otwartymi oczyma, radowałem się odkryciem, a śmiech mnie rozpierał. Potem zacząłem szeptać, mógł bowiem ktoś podsłuchać, a chciałem zachować odkrycie w tajemnicy. Ogarnął mnie upojny szal głodu, czułem pustkę zupełną, nic mnie nie bolało, a myśli rozpętały się do reszty.



Zadumałem się cicho nad znaczeniem mego słowa, a czyniłem przy tym dziwaczne skoki pojęciowe. Słowo to nie musi znaczyć ani Bóg... ani Tivoli... a bezczelność popełniłby ten, kto by je wyłożył jako... oględziny bydła... Zacisnąłem pięści i spytałem: – Kto to powiada? – W gruncie rzeczy znaczenie było nawet niekonieczne... kłódka... lub... wschód słońca. Nie trudno odnaleźć znaczenie dla tak wspaniałego słowa, trzeba tylko dać sobie folgę i przespać się przedtem.

Leżałem śmiejąc się z cicha, ale nie mówiłem nic i nie decydowałem. Po chwili uczułem zdenerwowanie. Nowe słowo zaczęło mnie dręczyć, wracało, ogarnęło w końcu wszystkie myśli i zaniepokoiło. Wiedziałem; czego nie oznacza, ale nie postanowiłem, co ma oznaczać. Była to kwestia uboczna! Tak sobie powiedziałem głośno i powtórzyłem to raz jeszcze, chwytając się za ramię. Dzięki Bogu, słowo zostało odkryte... a to rzecz główna. Ale uwzięło się, by mi nie dać zasnąć, szukałem znaczenia i żadne nie było dość dobre. Wstałem, schwyciłem się oburącz za głowę i powiedziałem:

– Nie... niemożliwe, by znaczyło... fabryka tytoniu lub... wychodźstwo!... Za to nie biorę odpowiedzialności. Winno ono raczej znaczyć coś duchowego... – oczywiście... jakieś uczucie lub nastrój.

Dumam nad tym i naraz wydaje mi się, że ktoś wtrąca swe trzy grosze w te roztrząsania. Pytam więc:

– Co proszę? Nie, trudno o większy idiotyzm... przędza? Idź pan do diabła! Nie ma obowiązku oznaczać przędzy, bowiem oponuję przeciw temu. Jestem odkrywcą i mam wszelkie prawo nadać mu dowolne znaczenie, o ile zaś wiem, nie zadecydowałem jeszcze...

Mieszało mi się coraz bardziej w głowie. W końcu wyskoczyłem z łóżka, by znaleźć wodociąg. Nie byłem spragniony, tylko głowa mi pałała i bezwiednie pożałem wody. Napilem się, woda mnie ochłodziła i zacząłem walczyć z całej mocy o sen. Zamknąłem oczy i ległem bez ruchu na kilka minut pocąc się i czując łomot krwi w żyłach. Ha... to paradne, jak zaglądał do tulejki! Zakaszłał przy tym. Ciekawym, czy też jeszcze chodzi tam i z powrotem, czy siada na mojej ławce... granatowo-perliste morze... okręty...

Otwarłem oczy, na cóż je bowiem zamykać, skoro nie śpię! Zobaczyłem tę samą straszną ciemność, tę samą czarną wieczność, którą myśli moje daremnie starały się rozproszyć i pojąć. Z czymże ją porównać? Wysiłałem się na odnalezienie słowa dość czarnego dla jej określenia. Musiało być tak srodze czarne, by przy wymawianiu czerniło usta. O Boże, jakże było ciemno! Przyszło mi na myśl to, com widział w porcie – owe czarne potwory-okręty, czyhające na mnie. Miały mnie wessać w siebie i ponieść daleko przez czarne krainy, gdzie nie było ludzi. Wydało mi się, że jestem na pokładzie, że pociąga mnie woda, że płynę wśród chmur... że spadam... spadam... Krzyknąłem przeraźliwie chwytając się łóżka. Odbyłem niebezpieczną podróż, rzucony niby garść czegoś w powietrze. Dotknąwszy ręką twardej pryczy uczułem się ocalony!

– Tak się dzieje w chwili śmierci – powiedziałem sobie – teraz umrzesz! – Leżałem przez chwilę rozmyślając, że umrę. Potem siadłem i spytałem ostro: – Kto powiedział, że mam umierać? Wszakże odkryłem słowo i sam rozstrzygnę, co oznacza!...

Słyszałem siebie mówiącego i wiedziałem, że fantazjuję. Szaleństwo moje było to delirium bezsiły i wyczerpania, ale zachowałem pełną świadomość. Nagle błysnęło mi, żem oszalał. Przejęty strachem wyskoczyłem z łóżka. Zatoczyłem się do drzwi, czyniłem wysiłki, by je otworzyć, rzuciłem się na nie kilka razy celem wyważenia ich, uderzyłem głową o ścianę, krzyknąłem z bólu, gryzłem sobie palce i kląłem...

Była zupełna cisza. Mury odrzucały jeno moje własne słowa. Niezdolny rzucać się dłużej po celi padłem na ziemię. Nagle ujrzałem wysoko w górze przed oczyma szary kwadrat pośród ściany, przebłysk bieli... przeczucie jej ledwo... był to świt. Odetchnąłem z uczuciem rozkosznej ulgi. Przyłgnąłem do podłogi płacząc z radości odkrycia błogosławionego kwadratu światła, łkałem z wdzięczności, rzucałem przez powietrze całusy ku oknu, słowem, zachowywałem się jak szaleniec. Jednak i w tej chwili wiedziałem, co czynię. Znikło od razu przygnębienie, rozpacz i ból, w myśli nie miałem już tęsknoty za niespełnionym jakimś pragnieniem. Siadłem na podłodze, złożyłem ręce i czekałem na powrót dnia.

Cóż za noc przeżyłem!

– Czyż nikt nie usłyszał hałasu? – spytałem zdumiony. Zajmowałem, co prawda, oddział zarezerwowany ponad salą innych więźniów, byłem, jak się to mówi, bezdomnym radcą dworu. W najlepszym nastroju, zapatrzonego w coraz bardziej jaśniejący kwadrat, zabawiałem się udawaniem radcy dworu, nazywałem się... von Tangen... wyrażałem się urzędowym stylem. Nie przestałem fantazjować, tylko nerwowość ukołała się po trosze. Ach, czemuż uczyniłem tak głupio zostawiając w domu czy gubiąc portfel z pieniędzmi? Pytałem, czy nie będę miał zaszczytu położyć pana radcy dworu do łóżka. Z wielką powagą i zachowaniem ceremoniału podszedłem do pryczy i ległem.

Pojaśniało tak, że mogłem dostrzec zarysy celi, a w chwilę potem nawet wielką, ciężką klamkę. Zabawiało mnie to. Znikła jednostajna, drażniąca, gęsta ciemność, mogłem widzieć siebie, to uspokoiło moje wzburzenie i niebawem uczułem, że powieki mi zapadają...

Uderzono kilka razy w drzwi, zerwałem się, wyskoczyłem z łóżka i wdziałem ubranie, mokre jeszcze od wczoraj.

– Musisz się pan zgłosić na dole u dyżurnego! – przykazał policjant.

Ach... znowu będą formalności... pomyślałem przerażony.

Zszedłem do wielkiej sali, gdzie siedziało trzydziestu czy czterdziestu mężczyzn, a wszyscy bezdomni. Jednego po drugim wzywano do protokołu i każdy dostawał kartkę na jadło. Dyżurny mówił ustawicznie do stojącego obok policjanta:

– Czy dostał kartkę? Dobrze... proszę pamiętać, by każdy dostał kartkę. Przyda im się to... przyda, jak widzę.

Stałem, patrzyłem na te kartki i pożałowałem swojej.

– Andrzej Tangen, dziennikarz!

Przystąpiłem z ukłonem.

– Ach, drogi panie, jakże pan się tu dostał?

Wyjaśniłem całą rzecz, opowiedziałem tę samą co w nocy historyjkę, łągałem jak najęty z całą szczerością.

– Niestety, zbyt długo zasiedziałem się w kawiarni... zgubiłem klucz od bramy...

– Hm... – uśmiechnął się. – Tak bywa czasem. Czyś pan dobrze spał?

– Jak radca dworu... – odrzekłem. – Jak sam radca dworu!

– Cieszy mnie to! – rzekł wstając. – Do widzenia!

Odszedłem.

Gdzież karta, gdzież moja karta! Od długich trzech dni i nocy nie miałem nic w ustach! Bodaj kawałek chleba! Nikt mi jednak nie wręczył karty, a nie śmiałem o nią prosić. Wzbudziłoby to zaraz podejrzenie, zaczęto by grzebać w mych sprawach osobistych, dowiedziano by się, kim jestem, i przyaresztowano by mnie za fałszywe zeznania. Podniosłem głowę, przybrałem minę milionera, założyłem ręce za klapy surduta i wyszedłem z ratusza.

Słońce dogrzewało, było około dziesiątej, a plac Younga roił się od ludzi. Dokądże iść? Uderzyłem po kieszeni i wyczułem rękopis. Około jedenastej chciałem iść do redaktora. Stałem przy balustradzie spoglądając na ruch uliczny, a odzież moja zaczęła parować. Zjawił się głód i jął kąsać, kłuć i szczypać boleśnie. Czyż w istocie nie miałem ani jednego przyjaciela lub znajomego, który by mi pomógł w tej opresji? Wysiłałem pamięć, by znaleźć kogoś, kto by mi pożyczył dziesięć örów, i nie mogłem znaleźć. Dzień był przecudny, słońce nieciło jasne blaski, niebo podobne szafirowemu morzu lśniło ponad górami...

Bezwiednie skierowałem się ku domowi.

Byłem bardzo głodny. Znalazłem na ulicy wiór, zacząłem go żuć i ból minął. Ach, czemuż nie pomyślałem o tym prędej?

Brama stała otworem, a parobek stajenny pozdrowił mnie jak zawsze.

– Śliczna pogoda! – zauważył.

Potwierdziłem nie wiedząc, co mówić dalej. Czyż prosić go o pożyczenie korony? Wiedziałem, że uczyniłby to chętnie w razie możliwości. Pewnego razu napisałem mu list.

Stał dławiąc się czymś, co chciał rzec.

– Śliczna pogoda... – powtórzył. – Właśnie też mam płacić gospodyni. Czyby pan nie był łaskaw pożyczyć mi pięciu koron? Tylko na kilka dni. Już nieraz robił mi pan tę przysługę.

– Nie! Nie mogę na razie, Jensie Olai! – odrzekłem. – Może po południu... zobaczę... – powiedziawszy to wstąpiłem chwiejnym krokiem na schody.

Rzuciłem się na łóżko i wybuchnąłem śmiechem. Cóż za iście świńskie szczęście! Uprzedził mnie i uratował honor. Pięć koron? Niechże cię, człecze!... Mogłeś mnie równie dobrze prosić o pięć akcji kuchni parowej albo willę w Akrze!

Na myśl o tych pięciu koronach coraz większa wesołość mnie rozbierała. Co za szelma... pięć koron! Dobrze trafił, bałwan!... Poniosła mnie wesołość... Pfe!... cóż to za wstrętny odór kuchenny! Czuć, zdaje mi się, karmonadle wieprzowe... jeszcze z czasu obiadu... pfe! Otwarłem okno, by wypuścić nieznośny fetor, i zawołałem:



– Kelner, pół porcji befsztyka, ale zaraz! – Zawróciłem się do stołu, owego stołu, który pisząc musiałem podtrzymywać kolanami, i powiedziałem z ukłonem: – Czy pan pozwoli szklanę burgunda? Nie? Nazywam się Tangen, radca dworu, Tangen... Niestety, zbyt długo zabawiłem w kawiarni... zginął mi klucz od bramy... – Myśli me rozproszyły się znowu na cztery wiatry. Wiedziałem, że mówię bez związku, słyszałem i rozumiałem każde słowo. Rzekłem sobie: – Pleciesz bez sensu! – Ale nie mogłem nic na to poradzić! Wydawało mi się, że mówię przez sen. Głowę miałem lekką, nie bolało mnie w niej nic, nic nie uciskało, a w duszy jaśniała bezchmurna pogoda. Płynąłem dokądś bez oporu, niezdolny sterować sobą.

– Proszę... proszę!... Jak widzisz, Ylajali, wszystko z rubinów. Chodźże, Ylajali... dywan puszysty pod twymi nogami. Jakże ciężko oddycha! Pocałuj mnie, jedyna... jeszcze raz... jeszcze... Ramiona tve jak bursztyn, usta płoną... Kelner, zamówiłem befsztyk!...

Słońce świeciło jasno, na dole konie chrupały owies. Siedziałem ssąc wiór drzewa, wesoły, swobodny jak dziecko. Czuję przy sobie ciągle rękopis nie uświadamiając sobie tego jasno. Instykt mówił mi, że jest, tętniło mi to we krwi. Na koniec dobyłem go.

Zmókł trochę, przeto położyłem go na słońcu i zacząłem chodzić po pokoju. Jakże przygnębiająco wyglądał! Po podłodze walały się skrawki blachy, nie było natomiast krzesła ani gwoździa w ścianie. Wszystko zastawiłem i przejadłem. Został stół i kilka pokrytych kurzem arkuszy papieru. Prócz tego stara, zielona, pożyczona od Hansa Pauli koldra... Ach, prawda... Hans Pauli... Trzasnąłem palcami... on mi dopomoże! Przypomniałem sobie jego adres. Jakże mogłem go zapomnieć! Weźmie mi niezawodnie za złe, że się doń od razu nie zwróciłem. Włożyłem kapelusz, zebrałem kartki rękopisu i zszedłem na dół.

– Słuchaj no, Jensie Olai! – zawołałem do stajni.

– Pewny jestem, że będę mógł przysłużyć się wam dziś jeszcze!

Pod ratuszem spostrzegłem, że minęła jedenasta, toteż postanowiłem przede wszystkim iść do redakcji. Stojąc u drzwi biura stwierdziłem, że papiery w porządku, wygładziłem je, schowałem do kieszeni i zapukałem. Serce biło mi mocno, gdy wchodziłem.

„Nożyczkarz” siedział jak zawsze na swoim miejscu. Spytałem o redaktora. Nie odpowiedział. Wycinał drobne wiadomości z pism prowincjonalnych.

Ponowiłem pytanie i przystąpiłem bliżej.

– Redaktor jeszcze nie przybył! – oświadczył wreszcie nie patrząc na mnie.

- A kiedy będzie?
- Nie wiem... nie mogę panu powiedzieć...
- Jak długo jest otwarta redakcja?

Na pytanie to nie dostałem odpowiedzi i musiałem odejść. „Nożyczkarz” nie spojrzał na mnie przez cały czas, poznając mnie, widać, jeno po głosie. Tak więc źle byłem zapisany, że nie zadawano sobie nawet trudu odpowiedzi. Może działało się to z polecenia redaktora? W istocie, po owym genialnym felietonie za dziesięć koron znosiłem mu mnóstwo bibuły, co dnia niemal dając mu rzeczy bezwartościowe, które musiał czytać i zwracać. Widocznie w ten sposób chciał się mnie pozbyć. Ruszyłem tedy do Homansby.

Hans Pauli Pettersen był studentem pochodzenia chłopskiego, mieszkał na poddaszu czteropiętrowego domu i cierpiał niedostatek. Ale ile razy miał koronę, nie szczędził jej nigdy. Wiedziałem, że ją dostanę, czułem niemal w dłoni monetę. Szedłem ciesząc się z góry posiadaniem tej korony. Zastałem bramę domu zamkniętą i musiałem dzwonić.

– Chcę widzieć się ze studentem Pettersenem – rzekłem wchodząc – wiem, gdzie jego pokój.

– Student Pettersen? – rzekła oddźwierna. – Ten, który mieszka na poddaszu? Wyprowadził się... nie wiadomo dokąd, ale prosił, by mu listy posyłać do Hermansenów, Toboldstraede... – dziewczyna wymieniła numer domu.

Pełen wiary i nadziei poszedłem na sam koniec Toboldstraede dowiedzieć się adresu Hansa, było to bowiem jedyne wyjście. Po drodze minąłem cieśli zajętych przy budowie nowego domu. Wybrałem z kupy świeżych wiór dwa czyste skręty. Jeden wziąłem w usta, drugi zaś schowałem na potem. Idąc dalej jęczałem z głodu. W oknie piekarza zobaczyłem wielki dziesięcioörowy chleb, największy, jaki można dostać za tę cenę.

– Przychodzę dowiedzieć się o adres studenta Pettersena!  
– powiedziałem przybywszy.

– Berndt, Ankerstraede 10. W podwórzu. Czy pan tam idzie? W takim razie może by pan zechciał wziąć z sobą kilka listów?

Wróciłem tą samą drogą, minąłem ponownie cieśli, trzymających teraz między kolanami garnki z doskonałą, gorącą strawą, kupioną w kuchni parowej, minąłem piękny chleb w oknie i dotarłem wreszcie półżywy do wskazanej ulicy. Drzwi stały otworem, z mozołem wdrapałem się na strych, trzymałem w ręku listy, by je od razu oddać Hansowi i w ten sposób wprawić go w dobry humor. Pewny byłem, że nie odmówi pomocy usłyszawszy, w jakim położeniu się znajduję, miał on, jak już podkreślałem, bardzo miękkie serce.

Na jego drzwiach obok biletu: *H. P. Pettersen stud. teologii* znalazłem kartkę z napisem: *Wyjechał do domu.*

Siadłem, gdzie stałem, na ziemi, ogłupiały, strasznie słaby i do cna wyczerpany. Powtórzyłem kilka razy:

– Wyjechał... wyjechał do domu. – Potem zamilkłem. Ani łzy w moim oku, ani myśli, ni uczucia nie było w duszy. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywałem się w listy nic nie czyniąc. Przetrwałem tak bez ruchu dziesięć, dwadzieścia minut, a może dłużej niemal śpiąc skutkiem oszołomienia. W końcu wstałem usłyszawszy kogoś na schodach i powiedziałem:

– Mam dwa listy do studenta Pettersena.

– Wyjechał do domu – rzekła kobieta – ale wróci po wakacjach. Mogę mu listy przechować, jeśli pan zechce.

– Dziękuję, bardzo dobrze. Otrzyma je po powrocie, a mogą zawierać coś ważnego. Do widzenia!

Stanąwszy na chodniku powiedziałem zaciskając pięści.

– Wiedz, miły Panie Boże, że jesteś... no, mniejsza z tym!... – zgrzytając zębami podniosłem głowę i kiwając nią dodałem wściekły: – Jesteś... niech mnie diabli wezmą... jesteś...

Postąpiłem kilka kroków i zmieniając nagle postawę złożyłem ręce, przechyliłem na bok głowę i spytałem słodkim, nabożnym głosem:

– Czyś się doń już zwracał, moje dziecko?

Brzmiało to fałszywie.

Należało mówić uroczyściej, z większym uszanowaniem, a więc rzekłem jeszcze raz z całą czołobitnością:

– Czyś się doń już zwracał, moje dziecko?

Pochyliłem głowę i odparłem smutnie:

– Nie!

Znowu fałsz.

– Jakże możesz tak łąć, błźnie jeden? Winienes powiedzieć: Tak! Musisz przy tym wyrzec owo słowo płaczkliwie, chlipiąc z żalu. Powtórz jeszcze raz... no, teraz lepiej. Tylko musisz westchnąć głucho jak ochwacony koń... Taak... dobrze!

Kroczyłem pouczając samego siebie, tupalem, gdy mi nie szło, i wymyślałem sobie od bałwanów, a przechodnie oglądali się za mną patrząc ze zdumieniem.

Ssąc ciągle wiór słaiałem się ulicami, jak tylko mogłem najprędzej, i zaszedłem bezwiednie na dworzec kolejowy. Zegar kościoła Zbawiciela pokazywał wpół do drugiej. Zadumałem się. Pot spływał mi z czoła zalewając oczy. – Chodź na chwilkę do portu... – powiedziałem do siebie – ...to znaczy, jeżeli masz czas!

– Złożyłem sobie ukłon i ruszyłem w stronę wybrzeża. Okręty kołysały się na lekko zmarszczonej toni, wszędzie panował ruch, wyły syreny, tragarze dźwigali skrzynie, z promów dolatywały przyśpiewki. Handlarka ciastek siedziała pochylona nad swym towarem, rozłożonym z grzeszną wprost pobudliwością na małym stoliku. Odwróciłem z obrzydzeniem głowę. Powietrze zakażone było odorem jadu... pfe! Zwróciłem się do jakiegoś siedzącego człowieka i przedstawiłem mu dobitnie owo nadużycie ze strony handlarek łakoci, których wszędzie pełno... Nieprawdaż? Musi to chyba przyznać... Ale zacny człowiek domyślił się, że tu coś nie w porządku, wstał, zanim skończyłem zdanie, i odszedł. Poszedłem za nim chcąc go za wszelką cenę przekonać, że jest w błędzie.

– Choćby ze względu na przepisy sanitarne... – powiedziałem uderzając go po ramieniu.

– Wybacz pan, jestem tu obcy – rzekł – i nie znam przepisów sanitarnych.

To mówiąc patrzył na mnie z przerażeniem.

Ach, był obcy, to zmieniało postać rzeczy. Spytałem, czy nie mógłbym mu czymś służyć... oprowadzić po mieście... Sprawę mi to wielką radość, a nie będzie nic kosztowało...

Ale widocznie chciał się mnie pozbyć, gdyż przeszedł prędko na przeciwległy chodnik.

Wróciłem do mej ławki i usiadłem. Ale wielka, skrzypiąca opodal kataryna wprawiała mnie w nerwowy niepokój. Metaliczne tony wydzwaniały strzępy utworu Webera, a mała dziewczynka śpiewała smutnym głosem. Żalosalne akordy przejęły mnie na wskroś, nerwy mi się rozedrgały jakby pod wpływem rezonansu, a w chwilę potem padłem na ławkę skomlać i wtórując muzyce. Do czegoż się nie dochodzi, gdy głód przyciśnie! Uczułem, że dźwięki te biorą mnie w siebie, roztopiają, że płynę wraz z nimi, płynę wysoko ponad góry, wznosząc się tanecznymi kręgami w jaśniejące wyże...

– Grosik! – usłyszałem głos dziewczynki. – Jednego öra... – ujrzałem przed sobą blaszany talerzyk.

– Dobrze! – zawołałem bezwiednie, wstałem i zacząłem szukać po kieszeniach. Ale dziewczynka myślała, że z niej żartuję, przeto odeszła szybko bez słowa. Ta milcząca cierpliwość przygnębiła mnie, wołałbym raczej usłyszeć połajankę. Zdjęty bólem przywołałem ją z powrotem i powiedziałem, że nie mam dziś öra, ale nie zapomnę o niej... Spytałem o imię, pochwaliłem, że ładne, i przyrzekłem pamiętać... do jutra tedy...

Czułem, że mi nie wierzy, choć nie rzekła słowa, i rozplakałem się z żalu, że nie znajduję wiary u małego dziecka. Przywołałem ją raz jeszcze, rozpiąłem surdut i chciałem jej dać kamizelkę.

– Dostaniesz coś – zawołałem – zaczekaj chwilkę!



Ale nie miałem kamizelki.

Jakże mogłem jej szukać? Wszakże od wielu już tygodni nie byłem jej właścicielem. Dziwna ułuda! Dziewczynka nie czekając dłużej odeszła szybko, a ja nie mogłem na to nic powiedzieć. Ludzie zbiegli się wkoło mnie, rozbrzmiały śmiechy, podszedł także policjant i spytał, co zaszło.

– Nic – objaśniłem – nic a nic! Chciałem tylko dać tej małej kamizelkę dla ojca... nie wiem, co w tym jest śmiesznego... mogę iść do domu i wziąć drugą...

– Nie rób pan awantur na ulicy! – rozkazał policjant. – Taak... teraz marsz! – popchnął mnie z lekka, a potem zawołał: – Czy to pańskie papiery?

– Ach... u kroćset... to moje artykuły, rzecz niezmiernej wagi! Jakże mogłem być tak nieostrożny?

Wziąłem rękopis, upewniłem się, że wszystko w porządku, i co prędzej nie spoglądając na siebie ruszyłem wprost do redakcji. Na kościele Zbawiciela była właśnie czwarta.

Zastałem biuro zamknięte. Ześliznąłem się jak złodziej po schodach i przystanąłem bezradny w bramie. Co robić? Dumiałem oparty o mur spoglądając na chodnik. Zobaczyłem na ziemi błyszczącą szpilkę, podniosłem ją. Ileż bym dostał za guziki surduta, gdybym je odpruł? Zresztą może to zbyteczne? Guziki – to jednak rzecz potrzebna. Obejrzałem jeden po drugim i zauważyłem, że są niemal nowe. Doskonała myśl. Odpruję je złamanym scyzorykiem i zaniosę do lichwiarza. Nadzieja sprzedania guzików ożywiła mnie i powiedziałem sobie: – Uszy do góry... jakoś to będzie! – Rozradowany zacząłem niezwłocznie odcinać guziki mówiąc jednocześnie w myśli:

– No, widzi pan, zubożałem trochę... chwilowa niedola... zużyte, powiada pan? Nie należy używać fałszywych wyrażen. Któż, u diabła, zużywa mniej ode mnie guziki? Nigdy nie zapinam surduta... to moja oryginalność, moja osobista cecha... O, nie... jeśli pan nie chce... to nie! Rad bym dostać tylko dziesięć örów... najwyżej dziesięć... Na miły Bóg, któż pana przymusza? Niech pan zamilknie i da mi spokój. Ano, dobrze... niech pan wezwie policję. Zaczekam tu nawet, aż pan przyprowadzi policjanta. Nic nie skradnę... Teraz żegnam... żegnam! Nazywam się wiedz pan, Tangen... zabawiłem się trochę w kawiarni...

Usłyszałem czyjeś kroki na schodach, momentalnie odzyskałem poczucie rzeczywistości, poznałem „Nożyczkarza” i schowałem guziki do kieszeni. Chciał mnie minąć nie odpowiadając na ukłon i patrząc na swe paznokcie, ale zatrzymałem go pytając o redaktora.

– Nie ma go... – odparł.

– Kłamię pan! – zawołałem tak arogancko, że aż się sam zdziwiłem. – Muszę się z nim widzieć. Mam *coś* ważnego w sprawie Stiftsgaardu.

– Powiedz to pan mnie.

– Panu? – spytałem mierząc go spojrzeniem.

To pomogło. Wrócił ze mną na górę i otworzył drzwi. Uczułem duszę na ramieniu. Zacisnąłem zęby dla dodania sobie odwagi, zapukałem i wszedłem do prywatnego gabinetu redaktora.

– Dobry wieczór! A, to pan? – rzekł uprzejmie.

– Proszę siadać.

Byłbym wolał, by mnie wyrzucił za drzwi. Łzy mi napłynęły i rzekłem:

– Bardzo przepraszam...

– Niech pan siada – powtórzył.

Siadłem i powiedziałem, że mam nowy artykuł i bardzo mi zależy, aby się ukazał w tym właśnie piśmie. Dodałem, że jest starannie opracowany i włożyłem weń sporo wysiłku.

– Przeczytam go... – powiedział biorąc rękopis. – Pan pisze wszystko z wysiłkiem! Jest pan zbyt gwałtowny, gorączkowy. Szkoda, ale panu brak rozwagi, spokoju. No, ale to nic, przeczytam... – dodał zwracając się do stołu.

Widziałem to i nie śmiałem prosić o koronę. Czyż mu powiedzieć, dlaczego jestem zbyt gorączkowy? Pomógłby mi niezawodnie, jak już nieraz.

Wstałem. Hm... gdym był niedawno, skarżył się na brak funduszków i chcąc mi dać pewną kwotę musiał dopiero posyłać inkasenta po pieniądze. Może i tym razem sprawa miała się podobnie... Nie... nie... zresztą widziałem, że jest zajęty...

– Czym mogę panu jeszcze służyć? – spytał.

– O... nic już, nic... – rzekłem starając się mówić pewnym głosem. – Kiedy się mogę zgłosić?

– Kiedyś przechodząc tędy za kilka dni... kiedykolwiek zresztą...

Nie śmiałem wyrazić prośby. Dobroć tego człowieka wydała mi się wprost bezgraniczna i chciałem ją uszanować. Wołałem już zginąć z głodu. Wyszedłem.

Na ulicy napadł mnie głód i pożałowałem gorzko, żem opuścił biuro nie poprosiwszy o koronę. Dobyłem wiór, zacząłem go ssać i doznałem znowu ulgi. Czemuż nie uczyniłem tego wcześniej? Czyniłem sobie wyrzuty, że mogłem myśleć o naciąganiu zacnego człowieka i wprowadzaniu go w kłopot. Wyzywałem się ordynarnie. Cóż za bezczelność biec do niego i skakać mu do oczu z tego jeno powodu, że jesteś nędzarzem, potrzebującym marnej korony! Marsz prosto przed siebie! Prędeż, prędeż, obwiesiu... dam ja ci nauczkę!

Zacząłem biec, by się ukarać, przebyłem w podskokach kilka ulic, podniecany bezgłośnymi okrzykami, ile razy chciałem stanąć. Dotarłem w ten sposób do Pilestraede. Gdym się wreszcie zatrzymał wyjąć z gniewu, że nie mogę biec dalej, drżący na całym ciele padłem na jakieś schody. – Nie! Nie! – krzyknąłem na siebie i wstałem chcąc sobie dokuczyć. Zmuszałem się do stania, śmiałem się i delektowałem własnym upadkiem. W końcu po kilku minutach dałem sobie skinieniem przyzwolenie na spoczynek i usiadłem wybierając jak najniewygodniejsze miejsce.

Miły Boże! Cóż to za rozkosz siedzieć! Ocierałem pot i dyszałem ciężko, łykając powietrze. Nabiegałem się niemało, ale kara była słuszna. Skądże mi przysła pokusa proszenia o koronę? Zacząłem mówić do siebie łagodnie, dawać sobie macierzyńskie upomnienia, rozczuliłem się, uczułem znużenie i zapłakałem. Było to wewnętrzne, ciche łkanie bez jednej łzy.

Siedziałem tak przez kwadrans albo dłużej. Ludzie chodzili tam i z powrotem, ale nikt mi się nie naprzykrzał. Dzieci igrały wokół mnie, a w koronie drzewa po drugiej stronie ulicy śpiewał ptak.

Zbliżył się wreszcie policjant i spytał:

– Czemu pan tu siedzi?

– Czemu? – odparłem. – Bo mi się tak podoba!

– Obserwuję pana od pół godziny i pan tu siedzi przez ten cały czas.

– Mniej więcej! Czym jeszcze mogę służyć? – Wstałem rozgniewany i poszedłem dalej.

Dotarwszy do placu Targowego obejrzałem się za siebie w ulicę.

– Bo mi się tak podoba! – powtórzyłem. – Cóż za głupia odpowiedź? Należało powiedzieć, że jestem wyczerpany, trzeba było kwilić, narzekać... Jesteś osłem i nie nauczysz się nigdy obłudy... Z wyczerpania, z głodu... trzeba było rzeć jak koń!

Pod strażnicą pożarną zatrzymał mnie nowy pomysł. Strzeliłem palcami, wybuchnąłem śmiechem, który zdumiał przechodniów, i powiedziałem:

– Musisz udać się do pastora Lewisona. Musisz to koniecznie zrobić. Tak, spróbuj. Cóż masz do stracenia? Taka śliczna pogoda!

Wszedłem do księgami Paschy, znalazłem w skorowidzu adres pastora i ruszyłem w drogę. – Ano, niech będzie – rzekłem sobie – tylko bez dowcipów. Sumienie, powiadasz? Jesteś zbyt biedny, by mieć sumienie... głupstwo sumienie... Jesteś głodny, przychodzisz w sprawie ważnej, najważniejszej dla człowieka. Tylko musisz zebrać się w kupę i płakać jak się patrzy. Jeśli tak nie zrobisz, nie pójdę z tobą ani kroku dalej! Po wtóre doznajesz pokus, walczysz nocami z potęgą ciemności, z wielkimi, straszliwymi potworami, łakniesz wina i mleka, a nic nie dostajesz. Do tego doszło. Wyszła ci ostatnia kropla oliwy w lampie, ale ufasz łasce bożej, nie zatraciłeś wiary! Załam ręce i przybierz taką minę, jakbyś z wielkiego zapału stał się szatanem. Dodaj, że o ile idzie o Mammona, to nienawidzisz go z całej duszy, i to w każdej postaci... Inna rzecz, gdyby szło o śpiewnik za kilka koron na pamiątkę...

Na drzwiach pastora przeczytałem: *Godziny urzędowania od 12 do 4.*

– Teraz powaga! – rzekłem sobie. – Zbierz się w garść! – Ruszyłem jeszcze parę razy głową... i zadzwoniłem do prywatnego mieszkania.

– Czy mogę się widzieć z panem pastorem? – spytałem służącą niezadowolony, że nie sposób wpleść w te słowa imienia bożego.

– Wyszedł do miasta... – odparła.

Wyszedł... wyszedł! To niweczyło cały plan, przecięło wszystko, com sobie wykombinował. Na cóż mi się zdała ta długa droga? Stałem osłupiały.

– Czy jakaś ważna sprawa? – spytała dziewczyna.

– O, nie... nie! – powiedziałem. – Tylko Bóg dał tak śliczną pogodę, że przyszła mi chęć złożenia wizyty panu pastrowi.

Staliśmy naprzeciw siebie. Wypinałem pierś, by zauważyła surdut zapięty szpilką, prosiłem ją oczyma, by zrozumiała, o co idzie, ale wszystko spełzło na niczym.

– Śliczną Bóg dał pogodę, to prawda... a czy pani pastorowa również wyszła?

– Jest w domu, ale cierpi na gościec, leży na kanapie i ruszyć się nie może... Czy zostawi pan jakąś wiadomość... jakąś kartkę?

– Nie... nie... Często odbywam takie przechadzki dla zdrowia. Doskonale to robi po obiedzie.



Zawróciłem ku miastu. Na cóż by się zdało dłużej paplać? Przy tym uczułem zawrót i bałem się zemdleć. Godziny urzędowania od 12 do 4. Spóźniłem się i godzina łaski minęła.

W Stortorwie siadłem na ławce pod kościołem. Ach, jakże czarno było wokół mnie! Nie płakałem, byłem zbyt słaby. Cierpiąc ogromne męki siedziałem bezradny, nieruchomy i głodowałem. Musiałem dostać chyba zapalenia płuc, bo w piersiach paliło mnie straszliwie. Żucie wiórów już nie pomagało, a męczyło jeno szczęki. Zaprzestałem walki i poddałem się. Poza tym gniotła mnie w żołądku łupina pomarańczy, znaleziona na ulicy i połknięta chciwie. Byłem chory. Tętnice w przegubach rąk nabrzmiały sino.

Czegóż się mogłem spodziewać? Biegałem cały dzień za koroną, by się dłużej utrzymać przy życiu. Czyż nie jest to obojętne, kiedy nastąpi to, co ma nastąpić? Gdybym był porządnym człowiekiem, poszedłbym do domu, legł na łóżku i czekałbym końca. Wyjaśniło mi się w głowie. Nadeszła jesień, wszystko zamierało i ja też miałem umrzeć. Próbowałem najróżniejszych środków, sięgałem po ratunek, gdzie się dało. Zabawiałem się sentymentalnie tą myślą, a ile razy wpadła mi jakaś nadzieja ratunku, odpychałem ją mówiąc sobie: – Głupstwo... wszakże już zaczęło się konanie! – Postanowiłem napisać kilka listów i być gotowy. Chciałem umyć się starannie, zasłać porządnie łóżko... pod głowę wziąć kilka arkuszy czystego papieru... najczystszą z posiadanych rzeczy... potem rozłożyć zieloną kołdrę...

Zielona kołdra! W jednej chwili oprzytomniałem, krew uderzyła mi do głowy, a serce zaczęło bić gwałtownie. Wstałem, życie wróciło we mnie, powtarzałem raz po raz: – Zielona kołdra!... Zielona kołdra! – Ruszyłem żwawo, jakby szło o dośnięcie kogoś czy czegoś, i niebawem stanąłem pod blacharnią.

Bez chwili wahania z silnym postanowieniem zwinąłem kołdrę Hansa Pauli. Jeśli to mnie nie uratuje – pomyślałem – chyba świat się zawali. Czuję się wyższy ponad wszelkie skrupuły, wyгнаłem je precz i basta! Nie byłem świętym ani bohaterem cnoty, posiadałem jednak rozsądek...

Z kołdrą pod pachą udałem się na Stenerstraede 5.

Zapukawszy wkroczyłem po raz pierwszy do wielkiej, nieznanej sali. Dzwonek u drzwi wykonał kilka desperackich skoków ponad moją głowę. Jakiś mężczyzna wyszedł z bocznego pokoju i stanął przed ladą ruszając pełnymi ustami.

– Chciałbym dostać pół korony na zastaw okularów! – powiedziałem. – wykupię je za kilka dni.

– Co? nie! Wskaże to stalowa oprawa?

– Stalowa.

– Nie mogę.

– Naturalnie. Pomyliłem się. Tu mam oto niepotrzebną kołdrę. Może zechce pan ją kupić.

– Posiadamy właśnie mnóstwo pościeli... – rzekł, gdy rozwijał kołdrę, potem zaś spojrzawszy dodał: – Nie, daruje pan. Ta kołdra na nic mi się nie przyda.

– Pokazałem panu gorszą stronę. Na drugiej jest o wiele lepsza.

– Tak... tak... ale nie kupię. Nikt panu za to nie da nawet dziesięciu örów.

– Oczywiście, zniszczona... ale sądzę, że poszłaby wraz z innymi starymi kołdrami na aukcji.

– Nie... nie...

– Dwadzieścia pięć örów! – powiedziałem.

– Nie chcę tego widzieć na oczy... proszę zabrać...

Zwinąłem kołdrę i wróciłem do domu.

Udawalem przed samym soba, jakby nic nie zaszlo, starannie wygladzilem koldre na lozku zacierajac slady postepku. Dopuszczajac sie tego lajdactwa musialem byc niespeina rozumu i im dluzej nad tym myslalem, tym wiecej nabieralem pewnosci. Byl to atak slabosci, omdlenia woli i na szczescie skonczylo sie na niczym. Czujac, ze zle; zaczalem od okularow. Cieszylo mnie bardzo, ze nie splamilem ostatnich godzin zycia tego rodzaju grzechem.

Ruszylem z powrotem do miasta.

Siadlszy na lawce pod kosciolem Zbawiciela zwiesilem glowe i zasnallem, znuzony ostatnim wysilkim, chory i na pol martwy z glodu.

Chcialem tu spedzic godzine, gdyz bylo tu nieco jasnziej niz w domu, a takze przebywajac na swiezym powietrzu czulem mniejsza dusznosc w piersiach. Dosc bylo czasu do powrotu.

Walczyłem ze snem i bólem. Wziłem z ziemi kamyk, otarłem i włożyłem w usta, by mieć coś na języku. Potem nie ruszałem się, nie mrugałem nawet oczyma, a wokół chodzili ludzie, turkotały pojazdy, tętniły kopyta i brzmiały głosy.

Mogłem jeszcze próbować z guzikami, ale to na nic, zresztą czulem się chory. Mimo wszystko doszedłem do przekonania, że dobrze będzie wstąpić po drodze do lichwiarza, „własnego lichwiarza”, gdyż i tak musiałem iść tamtędy.

W końcu wstałem i ruszyłem chwiejnie ulicą. Paliło mnie czoło ponad brwiami, czułem dreszcze, toteż pospieszałem ile sił. Ponownie ujrzałem piekarnię z bochenkiem chleba w oknie. Postanowiłem nie zatrzymywać się, a jednocześnie błysło mi, że mógłbym wstąpić i poprosić o kawałek chleba. Był to jeno błysk. – Pfe! – Potrząsnąłem głową i poszedłem drwiąc z siebie samego. Wiedziałem, że na nic się nie zda prosić w tym sklepie o posiłek.

W pasażu Repslagierskim stała w bramie parka i szeptała. Nieco dalej wyzierała z okna dziewczyna. Szedłem spokojnie jakby dumając nad czymś, a dziewczyna wyszła na ulicę.

– Cóż słyhać u ciebie? – spytała. – Czyś chory? Ach, miły Boże, co za twarz! – Dziewczyna cofnęła się pospiesznie.

Stałem nagle. Cóż się stało u licha z moją twarzą? Czyż naprawdę zaczynałem już konać? Dotknąłem dłonią policzków. Byłem chudy, w istocie chudy, a policzki moje przypominały parę spodków, obróconych dnami do wewnątrz. Miły Boże! Poszedłem dalej.

Ale niebawem przystanąłem znowu. Musiałem być oczywiście strasznie chudy i mieć zapadłe oczy. Jakże wyglądałem, u diaska? Diabli mnie brali ze złości na myśl, że jeszcze za życia głód mnie tak zohydził. Wściekłość mnie ogarnęła, mięśnie zdrząły. Ach, miły Boże, cóż za twarz! Jak to? Żyłem tu mając niepośledni mózg i pięści zdolne do starcia w proch posługacza publicznego, a głodowałem w Chrystianii aż do zohydzenia swojej zewnętrznej postaci! Cóż to? Czyżem nie pracował dzień i noc jak koń dorożkarski, czy nie uczyłem się aż do utraty oczu i pomieszania zmysłów... i cóż, do stu diabłów, przyszło mi z tego? Nawet ulicznice uciekały nie chcąc na mnie patrzeć! Ano, trzeba zrobić koniec... rozumiesz... koniec... Niech szlag wszystko trafi! Wściekłość moja wzrastała, zgrzytałem zębami z niemocy, płakałem, kłamię i wlokłem się nie zwracając uwagi na ludzi. Jąłem się znowu dręczyć, uderzałem z rozmysłu czołem o latarnie, wbijałem paznokcie w dłonie, gryzłem szaleńczo język, gdy nie wymawiał wyraźnie słów, i śmiałem się jak wariat, ile razy poczułem ból.

– Ale cóż mam zrobić?! – krzyknąłem w końcu tupiąc w bruk. – Co mam począć?

Minął mnie jakiś pan i rzekł z uśmiechem:

– Każ się pan zamknąć!

Spojrzałem. Był to słynny w mieście lekarz chorób kobiecych, przewany „Księciem”. I on nawet nie poznał się na mym stanie, mimo że go ongiś znałem, ścisnąłem jego dłoń... Zamilkłem. Zamknąć? Tak... miał rację... byłem szalony. Czuję szaleństwo we krwi, uświadomiłem sobie, że opanowało mózg. Taki miał być wtedy mój koniec? Ach... tak! Powlokłem się dalej... W ten sposób miałem zejść ze świata...

Zatrzymałem się po chwili.

– Nie, nie zamykać! – zawołałem. – Wszystko, tylko nie to! – Ochryplęm niemal ze strachu. Podniosłem głowę i błagałem: – Nie zamykać... nie, nie!

– Musiałbym siedzieć gdzieś, pewnie jak na ratuszu, w celi bez śladu światła. – Nie... nie! Wszakże miałem jeszcze inne wyjście. Postanowiłem gorliwie i wytrwale, bez fałszywej pychy chodzić od domu do domu. Na przykład właściciel składu nut, Eisler... wszakże nie byłem jeszcze u niego. Znajdzie się rada... musi się znaleźć! Tak mówiłem do siebie idąc i płacząc ze wzruszenia. – Wszystko, tylko nie zamknięcie!!

Eisler? – A może to palec opatrności? Nie darmo wpadło mi jego nazwisko. Mieszkał wprawdzie daleko, ale mimo to postanowiłem iść powoli, odpoczywając. Znałem ten sklep, bywałem tam za szczęśliwych czasów i kupowałem nieraz nuty. Wszakże mogłem go poprosić o pół korony. A może będzie mu przykro, przeto poproszę o całą.

Wszedłem do sklepu i spytałem o szefa, po czym zaprowadzono mnie do biura, gdzie siedział mężczyzna pięknie, modnie ubrany i przeglądał papiery.

Wybąkałem przeproszenie i przedłożyłem prośbę. Zmuszony jestem zwrócić się doń... nie potrwa długo, a zwrócę... gdy tylko dostanę honorarium za artykuły... uczyniłby mi wielką przysługę...

Nim skończyłem, zwrócił się do pulpitu, potem zaś spojrzął z ukosa, potrząsnął piękną głową i rzekł:

– Nie! – nie dodał poza tym ani słowa.

Nogi ugięły się pode mną, tak że musiałem chwycić brzeg małej politurowanej szafki, by nie upaść. Należało spróbować jeszcze raz. Dlaczego przyszło mi na myśl właśnie jego nazwisko tam daleko, pod redakcją „Ojczyzny”? Szarpnęło mnie kilka razy w lewym boku, pot wystąpił... Odchrząknąłem i powiedziałem, że w istocie źle mi się powodzi, jestem trochę chory, ale mimo to za kilka dni zwrócę niezawodnie pieniądze... Ponowiłem prośbę.

– Drogi panie – rzekł – czemuż pan przychodzi akurat do mnie? Jest mi pan zupełnym X wprost z ulicy. Niech się pan uda raczej do redakcji, gdzie pana znają.

– Tylko na dziś... na ten wieczór... – powiedziałem. – Redakcja zamknięta, a ja jestem bardzo głodny.

Potrząsnął głową i trząśł nią jeszcze w chwili, kiedy ujmowałem klamkę.

– Żegnam pana! – powiedziałem.



– Więc nie był to palec opatrności – powiedziałem do siebie z goryczą – tylko mój własny koncept...

Wlokłem się z jednej dzielnicy do drugiej odpoczywając tu i ówdzie na schodach. – Ach, żeby mnie tylko nie zamknięto! – Wspomnienie celi ścigało mnie przeraźliwie nie dając chwili spokoju. Ile razy zobaczyłem policjanta, zbaczałem w najbliższą ulicę, by unikać spotkania. – Teraz odliczmy sto kroków – pfe” wiedziałem sobie – i próbujmy szczęścia. – Musi się przecież udać.

Był to mały sklepik z bielizną, nieznan mi zupełnie. Za ladą stał jeden tylko człowiek, w głębi widniało biurko, nad nim napis na porcelanie, a wokół półki obładowane towarem. Zaczekam, aż wyjdzie ostatni klient, młoda roześmiana dama z dołeczkami na buzi.

O, jakże musiała być szczęśliwa! Mając surdut zapięty szpilką nie chciałem zwracać na siebie uwagi, ale odwróciłem się.

– Czym mogę służyć? – spytał kupiec.

– Czy zastałem szefa? – rzekłem.

– Jest na wycieczce w Istunheimen... – odparł. – Czy sprawa osobista?

– Idzie tylko o kilka örów na jedzenie... – szepnąłem próbując się uśmiechnąć – jestem głodny, a nie mam nic.

– Obaj jednakomcy bogaci... – rzekł porządkując paczki przędzy.

– Ach, niech mnie pan nie odprawia z niczym! – zawołałem czując zimny dreszcz. – Umieram niemal z głodu. Nie jadłem już od kilku dni.

Z całą powagą, nie mówiąc słowa zaczął przewracać kieszenie, potem zaś spytał, czy nie wierzę.

– Idzie o pięć drów... – rzekłem – za kilka dni zwrócę dziesięć.

– Kochany panie, czy pan chce, bym okradł kasę? – spytał porywczo.

– Tak! – odrzekłem. – Niech pan weźmie pięć örów z kasy!

– Ani mi się śni! – burknął, a potem dodał: – Dość mam tego... żegnam pana!

Wyśliznąłem się na ulicę chory z głodu i czerwony ze wstydu. Gdzież koniec nędzy? Zaiste, stoczyłem się już zbyt nisko. Trzymałem się przez całe lata na powierzchni, przetrwałem niejedną trudną chwilę, a teraz oto jestem brutalnym, natrętnym żebrakiem. Ten jeden dzień poniżył od razu wszystkie moje myśli, zbeczczył mi bezwstydem duszę. Nie zawahałem się korzyć przed kramikarzem i płakać. I cóż z tego przyszło? Wszakże mimo to nie miałem kawałka chleba, zyskałem jeno wstręt do samego siebie. Tak... należało skończyć ze wszystkim! Niedługo zamkną bramę domu, przeto musiałem spieszyć, by znowu jak ubiegłej nocy nie spać w celi ratusza...

To mi dodało sił, pod żadnym warunkiem nie chciałem się znaleźć w ratuszu. Kolana uginały się pode mną, ręką przyciskałem lewy bok, by stłumić trochę ból, i słańałem się dalej, utkwivszy oczy w chodnik, by uniknąć pozdrawiania znajomych. Tak dotarłem do strażnicy pożarnej. Była dopiero siódma na kościele Zbawiciela, przeto miałem jeszcze trzy godziny do zamknięcia bramy. Jakże niepotrzebnie się trwożyłem!

Niczego tedy nie zaniedbałem, uczyniłem, co było w mojej mocy, a mimo to przez cały dzień nie poszczęściło mi się ani razu. Gdybym to komuś opowiedział, nie uwierzyłby, gdybym napisał, posądzono by mnie o łgarstwo. Nic a nic! Nie było tedy rady. Przede wszystkim nie należy się teraz rozczulać. Pfe! To wstrętne... zaręczam... że mam wstręt do siebie!... Zgasła ostatnia nadzieja... Choć... może mógłbym w stajni skraść garstkę owsa? Był to błysk jeno, wiedziałem bowiem, że stajnia zamknięta.

Zniosłem i to spokojnie i wlokłem się dalej ślimaczym krokiem w stronę domu. Po raz pierwszy w ciągu dnia uczułem pragnienie i obejrzałem się za wodą. Ale zbyt znacznie oddaliłem się od bazaru, a do prywatnego domu nie śmiałem wstąpić. I tak za kwadrans będę u siebie – pomyślałem – a przy tym nie wiadomo, czy nie zwymiotuje wody. Mój żołądek nie znosił już niczego, nawet ślina wywoływała kurcze.

Ach prawda... guziki! Nie próbowałem sprzedać guzików. Stałem i uśmiechałem się. Może była jeszcze nadzieja. Nie zostałem definitywnie skazany na zagładę! Dostanę na pewno dziesięć örów, jutro zdobędę jakoś jeszcze dziesięć, a w czwartek otrzymam może honorarium za artykuł. Przetrzymam... jakoś to będzie! Dożyłem guziki z kieszeni i idąc oglądałem je, w oczach pociemniało mi z radości i nie widziałem już wcale ulicy.

O, jakże dobrze znałem lokalnego lichwiarza, mego krwiożerczego przyjaciela! Wszystko, com posiadał, ulubione drobiazgi, pamiątki, ostatnia książka, wszystko przeszło w jego ręce. Często w dniach aukcji zachodziłem do niego i radowałem się, gdy moje książki kupowali ludzie sympatyczni. Aktor Mogelsen kupił mój zegarek i z tego byłem niemal dumny. Kalendarz, wskazujący daty całego roku, z moim pierwszym wierszem, stał się własnością pewnego znajomego, zaś płaszcz utknął w pracowni fotografa i figurował na zdjęciach. Nie mogłem nic tym faktom zarzucić.

Wszedłem dzierząc w dłoni guziki. Lichwiarz siedział przy biurku i pisał.

– Zaczekam! – powiedziałem nie chcąc mu przeszkadzać i wywoływać niezadowolonia. Słowa me brzmiały tak głucho, że ich niemal nie poznał po dźwięku, a serce było młotem.

Podszedł jak zawsze uśmiechnięty, oparł dłonie na ladzie i wlepił oczy w mą twarz nic nie mówiąc.

Oświadczyłem, że mam coś bezużytecznego, co mi jeno zawadza w domu... Może zechce kupić tych oto kilka guzików...?

– Jak to? Guziki? – spytał spoglądając na moją dłoń.

– Kilka örów tylko... ile pan sam uzna... na ile oceni...

– Guziki? – zawołał wlepiając we mnie zdumione oczy. – Guziki?...

– Idzie o cygaro czy coś podobnego. Przechodziłem właśnie tędy i zajrzałem...

Roześmiał się i wrócił do pulpitu nie rzekłszy słowa. Stałem rozczarowany. Nie miałem co prawda wielkiej nadziei, a jednak sądziłem, że jakoś ocaleję. Ten śmiech był mi wyrokiem śmierci. Oczywiście, okulary też nie zdadzą się na nic... pomyślałem.

Mimo to zdjąłem je i oświadczyłem, że daje je w dodatku... – Idzie mi o dziesięć örów, a nawet pięć tylko... o pięć...

– Wie pan przecież, że za okulary nie mogę nic dać – rzekł lichwiarz – mówiłem to już panu dawniej.

– Potrzeba mi marki na wysłanie pilnego listu, którym już napisał – rzekłem głucho. – Idzie o markę listową za dziesięć czy nawet pięć örów... wedle pańskiego uznania.

– Idź pan, idź już, na miły Bóg! – zawołał czyniąc odmowny gest.

– Tak... tak... nie ma rady! – powiedziałem sam do siebie, wdziałem bezwiednie okulary, zabrałem guziki i wyszedłem powiedziawszy: „Dobranoc!” i zamknąwszy za sobą jak zawsze drzwi. Nie było tedy rady! Stojąc w klatce schodowej spojrzałem jeszcze raz na guziki i mruknąłem: – Dziwne, że nie chciał ich wziąć! – Nie mogłem tego zrozumieć!

Stałem zatopiony w myślach, gdy nagle ktoś przebiegł koło mnie potrącając mnie z lekka. Przeprosiliśmy się nawzajem i spojrzeliśmy na siebie.

– A, to ty? – spytał nagle, poznając mnie i zawracając. – Jakże strasznie wyglądasz! Coś tam robił?

– Miałem różne sprawy... I ty udajesz się, jak widzę, do starego.

– Tak. Coś mu przyniósł?

Zadrżały pode mną kolana, obróciłem się do ściany i wyciągnąłem poza siebie dłoń z guzikami.

– Cóż to, u licha! – zawołał. – Ach, widzę, że doszło do ostateczności!

– Bądź zdrów... – powiedziałem chcąc odejść, bo łkanie rozdzierało mi piersi.

– Zaczekaj chwilę! – powiedział.

Na cóż miałem czekać? Wszakże sam niósł coś do zastawu... może pierścionek zaręczynowy... może głodował od kilku dni... lub był winien gospodyni czynsz?

– Dobrze... zaczekam, o ile się prędko załatwisz.

– Naturalnie! – powiedział ujmując mnie za rękę.

– Tylko nie ufam ci, jesteś idiota, przeto musisz iść razem ze mną.

Domyśliłem się, co chce uczynić, uczułem dumę i wstyd i powiedziałem:

– Nie mogę. Przyrzekłem być o wpół do ósmej przy Bernt-Ankerstraede.

– O wpół do ósmej? Teraz jest już ósma. Oto zegarek, który ma powędrować do zastawu... Marsz, głodomorze... prędeej... dostaniesz pięć koron!

Pchnął mnie przed sobą.

## Rozdział 3

Minął tydzień spędzony w radości i dosycie.

I tym razem unikałem jakoś ostateczności. Codziennie jadałem, nabierałem odwagi i czyniłem rozliczne kroki celem zabezpieczenia przyszłości. Zacząłem trzy czy cztery rozprawy, w które włożyłem wszystko, na co mógł się zdobyć mój biedny mózg, i zauważyłem, że praca idzie mi lepiej niż poprzednio. Ostatni artykuł, za którym się tyle nabiegałem, został zwrócony przez redaktora i zniszczyłem go zły, obrażony, nie przeczytawszy nawet. Umyśliłem zwracać się w przyszłości do innych pism, by stworzyć sobie większe możliwości powodzenia. W najgorszym razie pozostawały jeszcze okręty. W porcie stała gotowa do drogi „Zakonnica” i byłem pewny, że w zamian za pracę weźmie mnie ze sobą choćby do Archangielska lub licho wie dokąd. Otwierało się tedy niejedno pole.



Ostatnie przejścia podcięły mnie srodze. Włosy wypadaly mi garściami, bolała mnie głowa, zwłaszcza rankiem, a nerwowość nie opuszczała ani na chwilę. Przez cały dzień pisałem owijając chustkami ręce, gdyż nie mogłem znieść na nich własnego oddechu. Kłuło mnie niby zimnymi szpilkami w krzyżach i nogach, gdy parobek na dole trzasnął drzwiami lub pies zaszczekał w podwórzu. Czułem się bardzo lichy.

Mozoliłem się nad robotą przez cały dzień, zaledwie podczas jedzenia przestawałem pracować, toteż w tym czasie powódź zapisanych kartek zalewała łóżko i mój mały chwiejący się stolik. Wplatałem nowe pomysły, jakie mi przychodziły, kreśliłem, ożywiałem martwe punkty tu i ówdzie barwnym słowem i przemykałem się z trudem od zdania do zdania. Pewnego popołudnia skończyłem nareszcie jeden artykuł, zadowolony wetknąłem go w kieszeń i udałem się do tak zwanego „Komandora”. Był już czas najwyższy wystarać się o pieniądze, gdyż miałem jeno kilka örów majątku.

„Komandor” poprosił, bym usiadł i zaczekał... za moment będzie mi służył. Powiedziawszy to pisał dalej.

Rozejrzałem się po niewielkim gabinecie. Wszędzie było pełno biustów, litografii, wycinków, a obok biurka stał olbrzymi kosz, zdatny połknąć człowieka. Posmutniałem na widok tej olbrzymiej, wieczyście rozwartej paszczy smoczej, łaknącej coraz to nowych rękopisów, sycącej się pogasłymi nadziejami.

– Którego dziś mamy? – spytał nagle „Komandor” od biurka.

– Dwudziesty ósmy! – odrzekłem rad, że mogę mu się przysłużyć.

Pisał dalej, wreszcie włożył kilka listów w koperty, rzucił kilka papierów do kosza i odłożył pióro. Potem okręcił się w obracanym fotelu i spojrzał na mnie. Zauważywszy, że stoję przy drzwiach, wskazał na krzesło gestem poważnym i żartobliwym jednocześnie.

Odwrociłem się dobywając rękopis, by nie zauważył, że brak mi kamizelki.

Wręczając artykuł powiedziałem, że jest to popularna charakterystyka Corregia, niestety, nie posiadająca takich zalet, by...

Wziął rękopis i zaczął przebiegać oczyma kartki, ja zaś patrzyłem na jego zwróconą ku mnie twarz.

Tak więc wyglądał z bliska człowiek, którego nazwisko słyszałem już w najmłodszych latach, a którego pismo wywarło na mnie znaczny wpływ. Miał faliste włosy, piękne, ciemne, trochę niespokojne oczy i z nawyku dmuchał raz po raz przez nos. Pastor szkocki nie mógł łagodniej wyglądać od tego niebezpiecznego człowieka i pisarza, którego słowa, gdziekolwiek padły, zostawiały po sobie krwawe pręgi. Uczułem wobec niego strach i podziw, oczy napęłniły mi się łzami i bezwiednie przysunąłem się trochę, by go zapewnić o moim szacunku, uznaniu dla tego, czego mnie nauczył, oraz prosić, by mi nie czynił krzywdy. Chciałem wyznać, że jestem tylko nędznym partaczem, któremu jednak bardzo źle się powodzi na świecie.

Podniósł głowę, złożył rękopis i zamyślił się. Chcąc mu ułatwić odmowną odpowiedź wyciągnąłem rękę i rzekłem:

– Nie nadaje się, oczywiście... – mówiąc to uśmiechnąłem się na znak, że biorę rzecz lekko.

– Zamieszczamy jeno rzeczy całkiem popularne – powiedział. – Wie pan dobrze, jaką mamy publiczność. Radzę, niech pan to weźmie ze sobą i uprości albo obmyśli coś, co ludzie łatwiej zrozumieją.

Względność jego zdumiała mnie. Wiedziałem, że artykułu nie chce, ale nie sposób było znaleźć grzeczniejszej formy odmowy. Nie chcąc go dłużej nużyć odparłem:

– I owszem... i owszem...

Podszedłem do drzwi przeprosiwszy, żem mu czas zabierał. Skłoniłem się i ująłem klamkę.

– Jeśli pan potrzebuje czegoś – rzekł – to mogę dać zaliczkę, potem się odtrąci ową kwotę.

Wiedział, że nie nadaję się do pisania, przeto oferta jego upokorzyła mnie trochę. Odparłem więc:

– O nie, dziękuję, starczy mi jeszcze na jakiś czas. Bardzo dziękuję za pańską łaskawość. Zegnam uprzejmie!

– Do widzenia! – powiedział zwracając się zaraz do biurka.

Bez zasługi z mej strony przyjął mnie nader życzliwie, byłem mu za to wdzięczny oraz oceniłem jak należy jego postąpienie. Zarazem jednak postanowiłem nie pokazywać mu się już na oczy, zanim nie dokonam czegoś, co mnie samego zadowoli, a „Komandora” wprawi w takie zdumienie, że mi bez namysłu wyasygnuje dziesięć koron. Wróciłem do domu i jąłem pisać z wielkim zapałem.

W ciągu następnych dni około ósmej, gdy zapalano na ulicy gaz, przydarzała mi się systematycznie rzecz następująca.

Wychodziłem z domu, chcąc zażyć przechadzki po trudach i mozołach dnia, i zastawałem tuż pod bramą, przy latarni, czarno ubraną damę, która zwracała ku mnie twarz i odprowadzała mnie oczyma. Spostrzegłem, że ma zawsze tę samą suknię, twarz osłonioną tym samym gęstym woalem, a w ręku trzyma parasolkę o rączce ze słoniowej kości.

Tak było przez trzy wieczory. Gdy ją minął, obracała się zwolna i odchodziła w stronę przeciwną.

Zdenerwowany i przeczulony wyobrażałem sobie, że czeka tu właśnie na mnie. Miałem chętkę zagadnąć ją i spytać wprost, kogo szuka, czy czego potrzebuje, czy ją mogę odprowadzić do domu, by nie była narażona na zaczepki, i w ogóle otoczyć opieką. Ale jej uboga odzież nappełniła mnie niejasną obawą, że może by to coś kosztowało, że trzeba by postawić szklanekę wina albo zapłacić dorożkę, a nie miałem pieniędzy. Beznadziejna pustka w kieszeni przygnębiała mnie niewymownie. Nie śmiałem nawet rzucić jej w przelocie badawczego spojrzenia.

Znowu nastał głód i od zeszłego wieczora nie miałem nic w ustach. Nie było to, co prawda, długo, bo przedtem nieraz zdarzały się dłuższe posty, ale czułem, że po dawnych przejściach nie sposób mi już tak wytrwale głodować, a jeden dzień mógł mnie powalić. Wymiotowałem, ile razy napiłem się wody. W dodatku marzłem po nocach leżąc ubrany jak za dnia, tak że rankiem byłem siny z zimna. Krzepłem po prostu podczas snu, bo stara kołdra nie mogła powstrzymać przeciągu, i budziłem się rano z nosem napuchłym od szronu, który dostawał się szparami ścian.

Szedłem ulicami dumając, w jaki sposób utrzymać się na powierzchni aż do skończenia następnego artykułu. Żałowałem, że nie posiadam świecy, by pisać w nocy, bo starczyłoby przy pewnym rozmachu kilka godzin, by dobić do końca. Jutro mógłbym iść do „Komandora”.

Niewiele myśląc udałem się do kawiarni „Oplandske” celem pożyczania od mego bankowca dziesięciu örów na świecę. Nie wzbroniono mi przejść przez wszystkie sale. Minąłem mnóstwo stolików obsiadłych przez jedzących, pijących i paplających ludzi, dotarłem aż do czerwonego gabinetu, ale nigdzie nie znalazłem osoby poszukiwanej. Zły i zniechęcony wyszedłem na ulicę i zwróciłem się w stronę zamku.

Kiedyż, u licha, skończą się te przeciwności? Wściekły szedłem wielkimi krokami podniósłszy brutalnie kołnierz surduta, wcisnąwszy pięści w kieszenie spodni wyklinałem mą złą gwiazdę. Od siedmiu czy ośmiu miesięcy nie miałem godziny prawdziwego spokoju, przez tydzień dostatecznego jadła, a i teraz znowu nędza powaliła mnie na łopatki. A przy tej całej niedoli byłem czynny i pozostałem uczciwy... he... he... uczciwy do głupoty po prostu. Powtórzyłem sobie, jak to doznałem wyrzutów sumienia z powodu niedoszedłego zastawienia kołdry Hansa Pauli. Roześmiałem się szyderczo wspomniawszy swoją skrupulatną zacność, splunąłem i nie mogłem znaleźć słowa dość silnego na wyzwiska pod własnym adresem. Niechby dzisiaj zdarzyło się coś! Gdybym znalazł na ulicy skarbonkę z oszczędnościami uczennicy lub ostatniego öra biednej wdowy, przywłaszczyłbym sobie te pieniądze, skradłbym je bez wahania i spałbym potem przez całą noc kamieniem. Nie na darmo tyłem się nacierpiał. Wyczerpałem do cna cierpliwość i byłem teraz gotowy na wszystko!

Obszedłem zamek kilka razy, postanowiłem wracać, zboczyłem jeszcze na chwilę do parku i skierowałem się w końcu na ulicę Karola-Jana.

Dochodziła jedenasta. Po ciemnej niemal ulicy snuli się ludzie, ciche pary i gwarne grupy. Wybiła wielka godzina chuci, kiedy dzieje się tyle rzeczy dziwnych i rozpoczyna się tyle wesołych awantur. Wszędzie szeleściły spódnice dziewcząt, rozbrzmiewały krótkie, zmysłowe śmiechy, falowały piersi i dyszały ciężkie oddechy. Tuż koło „Grandu” ktoś krzyknął: – Erna!

– Ulica przypominała bagnisko, z którego wznosił się gorący opar.

Bezwiednie przeszukałem kieszenie, by znaleźć dwie korony. Namiętność drgająca w każdym kroku przechodniów, mdłe światło latarni, cisza brzemiennej rozkoszą nocy – wszystko razem porwało mnie. Zatonąłem w fali szeptów, objęć, jęklowych wyznań, urywanych słów i westchnień. Dwa koty wrzeszcząc odbywały gody w bramie Blomquista. A ja nie miałem marnych dwu koron! Prawdziwa rozpacz i hańba zbiednieć do tego stopnia. Cóż za upokorzenie i poniżenie!



Przyszło mi znowu na myśl, że byłbym gotów skrać ostatni grosz wdowy, czapkę czy chustkę studenta, torbę żebraka, że zaniósłbym to do łachmaniarza i w jednej chwili puścił uzyskane pieniądze. Zacząłem dla pocieszenia się wynajdywać w otaczających mnie rozbawionych ludziach najróżniejsze błędy i wady. Wzruszając złośliwie ramionami śledziłem parę za parą. Dziwiłem się naiwnemu, zadowolonemu byle czym studentowi, który klepiąc po udach szwaczkę uważa się za rozpustnika europejskiej miary. Spoglądałem ze wstrętem na elegantów, bankowców, wielkich przemysłowców i lwów bulwarowych. Nie pogardzali niczym, nawet żonami żeglarzy i grubymi babami z Kutorvu, które oddają się w pierwszej lepszej bramie za kufel piwa... Piękne zaprawdę syreny! Miejsce obok nich było jeszcze ciepłe od minionej nocy, spędzonej ze strażakiem czy parobkiem stajennym, a tron miłości dostępny wszystkim w każdej chwili... miejsce wolne... proszę... proszę... wchodźcie, panowie.

Plułem na chodnik nie bacząc, czy kogoś trafiam, pełen odrazy do tych oto ludzi, co tarli się o siebie i łączyli ze sobą w mych oczach. Podniosłem głowę z dumą, rad, że mogę stąpać czystymi ścieżkami życia.

Na placu Stortingu spotkałem dziewczynę, która wybałuszyła na mnie oczy, gdym ją mijiał.

- Dobry wieczór! – powiedziałem.
- Dobry wieczór! – odrzekła.

Zdziwiłem się, że tak późno spaceruje, i spytałem, czy nie jest to trochę niebezpieczne dla młodej damy znajdować się o tej porze na ulicy Karola-Jana. Ach, nie! Czy nikt jej nie zaczepił, nie napastował, nie prosił wprost, by z nim poszła do domu?

Patrzyła zdziwiona i badała, co mam na myśli. Po chwili wsunęła mi rękę pod pachę i powiedziała:

– Chodźmy!

Zrobiłem kilka kroków, ale stanąłem przed stacją dorożek, uwolniłem ramię i rzekłem:

– Moja mała, wiedz, że nie posiadam grosza! – potem odwróciłem się chcąc odejść.

Nie uwierzyła w pierwszej chwili, ale gdym przetrząsnęła kieszenie nic nie znajdując, rozgniewała się, potrząsnęła głową i nazwała mnie błaznem.

– Dobranoc! – powiedziałem.

– Zaczekaj no pan! – krzyknęła. – Czy pańskie okulary mają złotą oprawę?

– Nie!

– Idź więc do diabła!

Poszedłem.

Ale natychmiast dopędziła mnie i powiedziała:

– Możesz i tak iść ze mną!

Czułem się upokorzony ofertą biednej ulicznicy i odmówiłem. Oświadczyłem, że późno, że mam się z kimś widzieć, a ona nie może sobie pozwalać na taką ofiarę.

- Chcę cię mieć, rozumiesz?
- Nie pójdę... w tych warunkach.
- Idziesz oczywiście do innej!
- Nie! – odparłem.

Nie miałem w sobie tej żyłki. Dziewczęta nie czyniły na mnie wrażenia, nędza wyjałowiła mnie do cna. Moje położenie wobec tej wyjątkowej dziewczyny było dość trudne, umyśliłem sobie tedy ratować pozory.

– Jak ci na imię? Maria? Słuchajże, Maniu! – powiedziałem i zacząłem uzasadniać swe postępowanie. Dziewczyna słuchała z coraz większym zdumieniem, ja zaś klarowałem jej, że nie zaliczam się do ludzi chwytających nocami po ulicach dziewczęta. Czyżby mnie za takiego miała? Czyż powiedziałem zrazu coś niestosownego? Nie! Tak jak ja postępuje człowiek nie mający złych zamiarów. Słowem, zagadnąłem ją i podprowadziłem kilka kroków celem przekonania się, jak daleko posunie sprawę. Potem wymieniłem swe nazwisko, dodałem, że jestem pastorem i zakończyłem: – Dobranoc! Idź i nie grzesz więcej!

Poszedłem w swoją stronę.

Zachwycony konceptem zacierałem ręce i rozmawiałem ze sobą głośno. Cóż to za radość chodzić tak i czynić dobrze! Może dałem tej upadłej istocie naukę, która wpłynie na odmianę jej życia? Nie zapomni tego niewątpliwie i gdy wspomni w godzinie śmierci, odczuje głęboką wdzięczność. O, warto mimo wszystko żyć uczciwie i po bożemu!

Wpadłem w świetny humor i uczułem, że mogę przedsięwziąć wszystko. Skończyłbym dziś na pewno artykuł, gdybym jeno miał światło! Szedłem niedbale, wymachując nowym kluczem od bramy, gwizdałem i dumałem nad sposobami zdobycia kredytu. Nie było innej rady, jak znieść na ulicę pod latarnię przybory pisarskie. Otwarłem bramę i poszedłem na górę po papiery.

Wróciwszy zamknąłem bramę z zewnątrz i stanąłem w świetle. Panowała zupełna cisza, słyszałem tylko ciężki, brzękliwy krok policjanta w bocznej ulicy, a daleko, w stronie St. Hanshaugen, szczekanie psa. Nic mi nie przeszkadzało. Nasunąłem na uszy kołnierz surduta i zacząłem ze wszystkich sił myśleć. Wszystko by się odmieniło, gdybym mógł dokończyć tę małą rozprawkę. Stanąłem właśnie na trudnym punkcie, który miał tworzyć nieznacznym zwrot ku czemuś nowemu, potem następował roztapiający się zwolna finał i wreszcie ostry krzyk, przeraźliwy jak strzał lub huk pękającej skały. Na tym chciałem skończyć.

Ale nie mogłem znaleźć słów. Przeczytałem rzecz całą od początku, każde zdanie rozważyłem z osobna, nie mogłem jednak zebrać myśli do tego ogromnego okrzyku. W dodatku podczas pisania nadszedł policjant, stanął opodal i zepsuł mi cały nastrój. Cóż go mogło obchodzić moje poszukiwanie finału do artykułu dla „Komandora”? – Nie... nie sposób było utrzymać się na powierzchni – pomyślałem i zacząłem kłąć. Stałem przez całą godzinę, policjant odszedł wreszcie, ale zimno było zbyt dotkliwie, by pracować dłużej na ulicy. Przygnębiony i zasmucony tym nowym niepowodzeniem otworłem w końcu bramę i udałem się do pokoju.

I tu było zimno, a przy tym tak ciemno, że zaledwie mogłem dostrzec okno. Doszedłem omackiem do łóżka, zdjąłem trzewiki, ogrzałem trochę rękami stopy i ległem spać ubrany, jak to czyniłem od jakiegoś czasu.

Nazajutrz o samym świcie siadłem na łóżku i wziąłem się na nowo do artykułu. Pracowałem tak do samego południa i wymusiłem z siebie dziesięć czy dwadzieścia wierszy nie mogąc dotrzeć do finału.

Wstałem, wdziałem trzewiki i zacząłem chodzić dla rozgrzania. Gdyby były zamrożnięte po bokach, wyjrzałem – padał śnieg, podwórze okrywała gruba warstwa bieli, a także na bruku i koło studni było białe.

Błądziłem bez celu po stacji, chodziłem automatycznie z kąta w kąt, drapałem gwoździem po ścianie, przykladałem ostrożnie czoło do drzwi, pukałem palcem w podłogę, nasłuchiwałem bacznie, a wszystko to czyniłem cicho, z namysłem, jakby szło o ważną sprawę. W ciągu tego zajęcia powtarzałem sobie głośno, tak że dobrze słyszałem:

– Miły Boże!... wszakże to szaleństwo! – Mimo to nie przestawałem ani na chwilę. Po długim czasie, może po kilku godzinach, opanowałem się, zagryzłem wargi i nawymyślałem sobie nieźle. Trzeba skończyć! Wyszukałem wiór, włożyłem w usta i zasiadłem ponownie do pisania.

Z wielkim trudem sklepiłem kilka zdań. Była to pewna ilość marnych słów, wydartych rozpaczliwie z nicości, byle tylko dobić do końca. Niebawem jednak przestałem czując pustkę w głowie i zupełną niemoc. Wlepiłem oczy w ostatnie wyrazy na nie dokończony kartce, a one spoglądały na mnie drwiąco to skacząc, to kłując, jakby były żywymi, złośliwymi istotami. W końcu nie rozumiałem już nic i o niczym nie myślałem.

Czas płynął. Słyszałem rozgwar uliczny, stuk kopyt i turkot pojazdów, a także paplaninę Jensa Olai, gadającego w stajni z końmi.

Siedziałem śpiący mlaskając raz po raz ustami, ale poza tym nie robiłem nic. Czuję, że źle z moimi pierściami. Zapadał zmierzch, słabłem coraz bardziej, wreszcie bezsilny ległem na łóżku. Chcąc rozgrzać nieco ręce rozczesywałem palcami włosy tam i z powrotem, w poprzek i od tyłu przy czym wypadały całe pasma zostając między palcami lub spadając na poduszkę. Nie myślałem zgoła nic, jakby mnie to nie obchodziło i jakbym miał dość jeszcze włosów.

Pragnąc wyrwać się z tego dziwnego oszołomienia, ogarniającego moje członki niby gęsta mgła, siadłem, uderzyłem dłońmi po kolanach, kaszlnąłem tak silnie, jak na to pozwalały płuca... i opadłem ponownie wstecz. Nie było rady. Konałem z otwartymi oczyma, utkwionymi bezradnie w powałę. W końcu wsadziłem do ust wskazujący palec i jąłem ssać.

W mózgu zjawiała się jakaś myśl, wyłaniała się, stawała się jasna... – Aha! Gdybym tak ukąsił kawałek?! – Bez chwili namysłu zamknąłem oczy i ścisnąłem zęby.

Zerwałem się. Od razu wróciła pełna świadomość. Z palca ciekło trochę krwi, którą zacząłem lizać. Nie bolało, a rana nie miała żadnego znaczenia. Przyszedłem jednak do siebie, potrząsnąłem głową, zbliżyłem się do okna, potem zaś zacząłem szukać szmatki, by obwiązać palec. Podczas tej czynności napłynęły mi łzy do oczu i zapłakałem z cicha. Jakże smutnie wyglądał ten biedny, chudy, zraniony palec.

– O, Boże... Boże... do czegoż doszło!

Mrok zapadał coraz szybciej. Przyszło mi na myśl, że skończyłbym może artykuł w ciągu wieczora, gdybym posiadał świecę. W głowie wyjaśniło mi się zupełnie, myśli krążyły teraz jak zawsze i nie cierpiałem nadmiernie. Nawet głodu nie odczuwałem tak dotkliwie jak przed paru godzinami i czułem, że doskonale przetrwam do następnego dnia. Może by mi się udało dostać świecę na kredyt, gdybym zaszedł do sklepiku na rogu ulicy i wyjaśnił sytuację? Znano mnie tam dobrze, gdyż w lepszych czasach stale brałem tam chleb i płaciłem gotówką. Niewątpliwie dostanę na słowo świecę. Po raz pierwszy od dawna zdobyłem się na oczyszczenie ubrania i zdjęcie z kołnierza wypadłych włosów. Uczyniłem to jako tako po ciemku, potem zaś zeszedłem omackiem po schodach.

Stanąwszy na ulicy pomyślałem, że lepiej by było poprosić o chleb. Stałem przez chwilę niezdecydowany, potem zaś postanowiłem: – Nie! Nigdy w świecie. Stan mego żołądka nie dopuszczał przyjęcia żadnej pożywki. Powtórzyłyby się znowu dawne historie, zjawy, halucynacje, złudzenia i szalone pomysły, tak że nie skończyłbym nigdy artykułu, a-musiałem zjawić się u „Komandora”, zanim o mnie zapomni. Nie!... – jak postanowiłem, zdecydowałem się na świecę i ruszyłem do sklepu.



Przy ladzie jakaś kobieta czyniła zakupy. Kilka pakietów w różnych papierach leżało w pobliżu mnie. Pomocnik handlowy, znający mnie, opuścił klientkę i wiedząc, co zazwyczaj brałem, zapakował bez pytania mały bocheneczek chleba w gazetę i położył przede mną.

– Nie... – powiedziałem – dziś potrzebna mi jeno świeca...

Wyrzekłem to cicho i pokornie, by go nie rozgniewać i nie stracić szans uzyskania kredytu.

Nic spodziewałem się tego, nigdy bowiem niczego prócz chleba nie żądałem.

– Proszę chwileczkę zaczekać! – rzekł i zwrócił się do klientki.

Dostała wszystko, zapłaciła banknotem pięciokoronowym, dostała resztę i wyszła.

Znalazłem się sam na sam z subiektem.

– A, prawda... – powiedział – pan żądał świecy! – Po czym rozerwał paczkę i dobył dla mnie jedną świecę.

Patrzył na mnie, ja patrzyłem na niego i nie mogłem się zdobyć na wypowiedzenie mej prośby.

– Ach... prawda, pan już zapłacił! – rzekł Ciągłe.

Powiedział, że zapłacił! Słyszałem każde słowo.

Zaczął dobywać z kasy pieniądze i rzucał koronę po koronie srebrne, monety, lśniące, grube i karbowane. Wydał mi z pięciokoronówki zapłaconej przez klientkę.

– Proszę bardzo! – rzekł w końcu.

Przez sekundę spoglądałem na pieniądze. Czułem, że tu coś nie w porządku, ale nie zapuszczałem się w roztrząsania, nie myślałem o niczym podziwiając tylko owo bogactwo rozbłyśnięte nagle przed moimi oczyma. Po chwili zgarnąłem pieniądze mechanicznie do kieszeni.

Nie odchodziłem od lady osłupiały ze zdumienia, zdruzgotany po prostu. Potem postąpiłem krok ku drzwiom, stanąłem i zagapiłem się w jakiś punkt na ścianie, gdzie wisiał mały dzwonek, opatrzony rzemiennym paskiem, pod nim zaś pęk sznurów. Stałem wpatrzony w te przedmioty.

Subiekt myślał, że nie odchodzę, bo chcę wszcząć rozmowę, rzekł przeto porządkując na ladzie papiery:

– Coś się zbiera na zimę.

– Hm... tak... – odparłem – tak coś wygląda! – Po chwili dodałem: – Zresztą już pora na to... Wygląda, jakby miała nadejść zima... Co prawda, wcale na nią nie za wcześnie.

Słyszałem tę własną paplaninę, ale wydawało mi się jednocześnie, że mówi ktoś inny.

– Tak pan sądzi? – spytał subiekt.

Zacisnąłem w kieszeni dłoń na pieniądzach i wyszedłem. Słyszałem jeszcze, że życzę dobrej nocy i że subiekt mi odpowiada.

Zrobiwszy kilka kroków usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi sklepu i woła. Poznałem głos subiekta i nie odczuwając zdumienia ani strachu zawróciłem gotów oddać pieniądze, które ponownie ująłem w garść.

– Zapomniał pan świecy! Proszę bardzo! – powiedział.

– O, dziękuję, dziękuję – odparłem spokojnie i poszedłem ulicą ze świecą w rękę.

Moja pierwsza rozsądna myśl dotyczyła pieniędzy. Podszedłem do latarni, przeliczyłem je, zważyłem na dłoni i uśmiechnąłem się. Jakież niespodziany, wspaniały ratunek!... Byłem uratowany na długo 1 Wsunąłem pieniądze do kieszeni i ruszyłem przed siebie.

Zatrzymałem się przed piwniczną garkuchnią przy Storstraede i zacząłem rozważać spokojnie i chłodno, czy mogę sobie pozwolić na kolację. Z wnętrza dochodził brzęk talerzy i noży oraz siekanie mięsa. Pokusa była zbyt silna. Wszedłem.

– Proszę o befsztyk! – powiedziałem.

– Befszyk raz! – zawołała kelnerka przez otwór w ścianie. Siadłem przy małym stoliku na jedną osobę, tuż przy drzwiach i czekałem. Było tu trochę ciemnawo, czułem się dobrze schowany i zacząłem dumać. Kelnerka rzucała na mnie raz po raz ciekawe spojrzenia.

Po raz pierwszy dopuściłem się złodziejstwa, nieuczciwości wobec której gasły od razu wszystkie poprzednie figle. Był to mój pierwszy poważny występ. Ha, trudno... przepadło! Mogłem zresztą potem przy sposobności załatwić sprawę z kramarzem. Nie było powiedziane, że muszę zejść na psy, przy tym skądże racja, bym był uczciwszy od reszty ludzi. Czyż zrobiłem taki układ?...

– Czy wnet dostanę befsztyk? – spytałem.

– Zaraz! – powiedziała i spojrzała przez otwór do kuchni.

A gdyby się rzecz wydała? Gdyby subiekt nabrał podejrzania pomyślawszy o zajściu z chlebem, o pięciu koronach i drobnych, wydanych klientce?... Czyż było rzeczą wykluczoną, że nie przyjdzie do odkrycia... za następną zaraz bytnością w sklepie?... Cóż wówczas... miły Boże? Wzruszyłem ramionami.

– Proszę bardzo! – powiedziała kelnerka stawiając jedzenie i dodała: – Może pan zechce przejść do sąsiedniego pokoju, tutaj tak ciemno!

– Nie, dziękuję – powiedziałem – dobrze mi tutaj!

Rozczulony jej życzliwością zapłaciłem zaraz za befsztyk, potem zaś sięgnąwszy do kieszeni dobyłem, co mi włożyło w palce, wcisnąłem jej w garść i zacisnąłem dłoń. Uśmiechnęła się, ja zaś powiedziałem żartem mając oczy pełne łez:

– Za resztę proszę sobie kupić pałac!...

– Smacznego! – odrzekła.

Zacząłem jeść z coraz to większą żarłocznością. Połykałem ogromne kęsy nie gryząc ich wcale. Szarpałem mięso jak ludożerca.

Kelnerka zbliżyła się do mnie.

– Może się pan czegoś napije? – spytała pochylając się ku mnie.

Spojrzałem. Mówiła cicho, niemal trwożnie, ze spuszczonej oczyma.

– Może szklankę piwa... albo coś innego... proszę... to już wliczone... proszę bardzo...

– Nie – powiedziałem – dziękuję bardzo, nie dziś, przyjdę niedługo...

Odeszła i siadła za bufetem. Widziałem jeno szczyt jej głowy. Cóż za dziwne stworzenie!

Skończywszy podszedłem niezwłocznie do drzwi czując gniewnie w żołądku. Jednocześnie wstała kelnerka. Nie śmiałem wychodzić na światło i pokazywać się dziewczynie z bliska, nie wiedziała nic o mej nędzy, powiedziałem więc tylko spieszenie: – Dobranoc! – skinąłem głową i wyszedłem.

Jedzenie zaczęło działać – dostałem skurczów i nie mogłem zatrzymać mięsa w żołądku. Wymiotowałem po trochu w każdym ciemnym kącie. Walczyłem z owym gnieniem, które mnie męczyło, starałem się zepchnąć w dół to, co się parło na zewnątrz, ale nie było rady. Musiałem skoczyć w jakąś bramę i tam, oślepiiony cisnącymi się do oczu łzami, zrzuciłem wszystko.

Pełen goryczy szedłem ulicami złorzecząc potęgą, prześladowającym mnie bez końca, i życzyłem im wszystkim piekielnych mąk. Były zgoła nierycerskie... nie było w nich śladu honoru.

Podszedłem do jakiegoś jegomościa zapatrzonego w wystawę i spytałem, co jego zdaniem należy dać człowiekowi, który długo głodował. Dodałem, że idzie o jego życie. Nie może znieść befsztyka.

– Słyszałem – odparł wielce zdumiony jegomość – że dobre jest gotowane mleko. O kogoż jednak idzie?

– Dziękuję! Dziękuję! – zawołałem odchodząc spiesźnie.  
– I ja sądzę, że najlepsze musi być mleko!

Wszedłem do pierwszej z brzegu kawiarni, zamówiłem mleko, wypilem gorące delektując się każdą kroplą, zapłaciłem i wróciłem do domu.

Nagle spostrzegłem dziwną rzecz. Pod latarnią, tuż przy bramie, oparta o słup, obłana światłem stała postać, którą poznałem już z daleka. Była to czarno ubrana dama, ta sama, która stała tu już nie raz. Nie mogło być omyłki, gdyż widziałem ją już po raz czwarty. Stała nie ruszając się wcale.

Wydało mi się to tak dziwne, że mimo woli zwolniłem kroku. Myśli miałem w zupełnym porządku, ale moje nerwy wskutek spożytego jada były bardzo podniecone. Jak zawsze minąłem ją z bliska i miałem już wejść w bramę, gdy nagle stanąłem. Przyszedł mi pomysł. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, podszedłem, spojrzałem jej w twarz i powiedziałem:

– Dobry wieczór!

– Dobry wieczór... – odpowiedziała.

– Przepraszam, czy pani kogoś szuka? Zauważyłem panią już pierwszej i rad bym przyjść z pomocą... Zresztą przepraszam bardzo...

– Właściwie nie wiem... – zaczęła.

– Tutaj nie mieszka nikt oprócz kilku koni i mnie. Jest tu stajnia i warsztat blacharski na piętrze. Jeśli pani kogoś szuka, to zaszła pomyłka.

Odwróciła twarz i rzekła:

– Nikogo nie szukam, stoję sobie tylko.

Tak, tak, pomyślałem, stoi sobie tutaj co wieczór dla fantazji po prostu. Jest to rzecz arcydziwna. Zupełnie mnie zmieszała owa dama. Po chwili zdecydowałem się na bezczelność. Brzęknąłem monetą w kieszeni i zaprosiłem ją wprost na szklanę wina... gdziekolwiek bądź. Zima nadchodzi... he he... chłodno... zresztą to nie potrwa długo... Może jednak nie wypada?

Odparła, że istotnie nie wypada i nie może tego uczynić. Ale gdybym był tak uprzejmy i odprowadził ją kawałek w stronę domu, to... Ulice są ciemne i nie ma odwagi iść przez Karola-Jana o tak późnej godzinie.

Ruszyliśmy naprzód. Szła po prawej stronie. Doznałem szczególnego miłego uczucia stąpając obok młodej dziewczyny. Patrzyłem na nią bez przerwy. Zapach jej włosów, ciepło ciała kobiecego, słodki wiew dolatujący, ile razy zwróciła ku mnie głowę, wszystko oszałamiało mnie i przepajało rozkoszą moje zmysły. Przez welon dostrzegłem pełną, trochę bladą twarz, a wydatne piersi wzdymały płaszcz. Przeczuwane pod tą zasłoną wdzięki i powaby czyniły mnie bez żadnego powodu głupkowato szczęśliwym. Nie mogąc wytrzymać dotknąłem jej ręki, przebiegłem palcami po ramieniu i zaśmiałem się naiwnie czując łomot serca.

– Jaka pani dziwna.

– Dziwna?



– Tak. Stoi pani tak ot, dla fantazji noc w noc pod bramą stajni.

Odparła, że może mieć w tym coś, zresztą lubi kłaść się późno. Spytała, czy idę przed dwunastą do łóżka.

– Ja? Nie. Od dzieciństwa nie cierpiałem udawania się na spoczynek przed północą.

– Otóż widzi pan... he... he... Nie mając nic do roboty odbywam wieczorami dłuższe przechadzki. Mieszkam przy placu Św. Olafa...

– Ylajali! – zawołałem.

– Co pan mówi?

– Powiedziałem jeno... Ylajali... ale mniejsza... słucham.

Powiedziała, że mieszka dość samotnie przy placu Św. Olafa wraz z matką, z którą trudno rozmawiać, gdyż jest głucha. Cóż tedy dziwnego, że czasem wychodzi sama?

– Nic a nic! – odparłem.

– A widzi pan! – rzekła, ja zaś wyczułem śmiech w jej głosie.

Spytałem, czy ma siostrę.

– Tak, starszą siostrę! Ale skąd pan to wie? Wyjechała właśnie do Hamburga.

– Właśnie?...

– Przed pięciu tygodniami. Skąd pan zna moją siostrę?

– Nie znam, pytałem tylko.

Zamilkliśmy. Przed nami szedł mężczyzna z trzewikami pod pachą, zresztą ulica, jak okiem sięgnąć, była pusta. Od Tivoli błyskały różnobarwne lampki. Śnieg padał, niebo było jasne.

– Czy panu nie zimno bez płaszcza? – spytała nagle, spoglądając na mnie.

Jakże jej miałem powiedzieć, czemu nie mam płaszcza? Szczere wyznanie niezawodnie spłoszyłoby ją zaraz.

Tak miło było iść koło niej i na chwilę bodaj nie rozpraszać złudzeń. Skłamałem przeto, rzekłem:

– Nie... wcale nie! – i zbacząc na inny temat spytałem, czy widziała menażerię w Tivoli.

– Nie! – powiedziała. – Czy jest tam co ciekawego?

Przeraziłem się, że może zechce pójść. Nie śmiałem wchodzić w światło, w tłum ludzi. Licha odzież, moja chuda i od dwu dni nie myta twarz spłoszyłoby ją, zażenowały, zauważyłaby też pewnie, że nie posiadam kamizelki.

– O, nie – zaprzeczyłem – nie ma tam nic ciekawego! – Wpadło mi do głowy kilka szczęśliwych zwrotów, pokutujących dotąd w moim wyssanym mózgu. – Cóż można widzieć w tak małej menażerii? Zresztą nie interesują mnie zwierzęta w klatce. Wiedzą one dobrze, że patrzą na nie tysiące oczu ludzkich, i to na nie oddziaływa. Wolę duże zwierzęta, nie wiedzące o tym, owe płochliwe istoty, które przemykają ku legowiskom lub patrzą zaspanymi, zielonymi oczyma, liżą łapy i dumają... nieprawdaż?

Przyznała mi rację.

– Jeno dzikość i groza zwierzęcia może ciekawić. Bezgłośnym krokiem idzie wśród ciemnej, ponurej nocy przez szumiący, niesamowity las, gdzie pokrzykują przelatujące ptaki, gdzie się unosi zapach krwi, wyje wicher, grzmi w powietrzu, słowem, gdzie duch dzikiego zwierza unosi się nad dzikim zwierzem... poezja tajemniczości...

Urwałem nie chcąc jej nużyć, przy tym zaś porwała mnie i zgnębiła świadomość nędzy. Ach, cieszyłby mnie wieczór w Tivoli, gdybym był lepiej ubrany! Nie wiedziałem, jak może sprawiać tej dziewczynie przyjemność wędrówka po ulicy Karola-Jana z półnagim nędzarzem. Jakiż miała, na miłość boską, cel? I po cóż ja też szedłem obok niej krygując się i śmiejąc głupkowato bez przyczyny? Z jakiegoż rozsądnego powodu dałem się skusić temu jedwabistemu motylowi do idiotycznego spaceru po nocy? Nie czyniłem tego bez wysiłku! Za każdym podmuchem mroźnego wiatru czułem śmierć przenikającą do piersi. W mózgu mym tliło już szaleństwo wywołane głodowaniem po całych miesiącach. Ponadto zaś przeszkadzała mi wrócić do domu i napić się odrobinę mleka, co mogłoby mnie jeszcze utrzymać przy życiu. Czemuż nie obróciła się do mnie plecami i nie odprawiła do kroćset diabłów?

Popadłem w rozpacz i rzekłem doprowadzony do ostateczności:

– Pani nie powinna chodzić ze mną! Wstyd pani robię wobec ludzi samym już moim ubraniem! To jest rzecz oczywista!

Drgnęła. Spojrzała szybko i zamilkła. Po chwili rzekła:

– Miły Boże! – Nie dodała ani słowa.

– Co pani ma na myśli? – spytałem.

– O... proszę tak nie mówić!... Już zresztą niedaleko! – przyspieszyła kroku.

Zboczyliśmy w ulicę Uniwersytecką i ujrzeliśmy światła placu Św. Olafa. Znowu zaczęła iść wolniej.

– Nie chcę być niedyskretny – zacząłem znowu – ale rad bym przed rozstaniem dowiedzieć się pani imienia. Także proszę o zdjęcie na chwilę welonu, bym panią zobaczył. Będę wdzięczny...

Nastała pauza. Czekałem.

– Widział mnie pan już... – odparła.

– Ylajali! – powtórzyłem.

– Przez pół dnia ścigał mnie pan aż do samego domu. Czy pan był wówczas pijany? – Znow śmiech zabrzmiał w jej głosie.

– Tak – odparłem – byłem, niestety, pijany.

– To szkaradnie!

Pełen skruchy przyznałem jej rację.

Doszliśmy do fontanny, przystanęliśmy i podnieśliśmy oczy ku licznym oświetlonym oknom domu pod numerem 2.

– Nie może pan iść dalej! – powiedziała. – Dziękuję za odprowadzenie!

Stałem z pochyloną głową nie śmiąc się odezwać, zdjąłem kapelusz i dumałem, czy mi poda rękę.

– Czemu mnie pan nie prosi, bym pana odprowadziła kawałek? – spytała żartobliwie spoglądając jednak na końcu buczików.

– Ach, gdybyż to pani uczyniła! – zawołałem.

– Dobrze, ale tylko mały kawałeczek.

Zawróciliśmy.

Byłem zmieszany, nie wiedziałem, co robić, ta dziewczyna przewróciła cały mój sposób myślenia. Byłem porwany, wesoły, jakbym konał ze szczęścia. Chciała wracać ze mną i nie był to mój koncept, ale jej własne życzenie! Patrzyłem na nią coraz śmielej czując, jak mnie zachęca i pociąga ku sobie. Zapomniałem o nędzy, o mojej bezwartościowej osobie, uczułem gorącą krew w żyłach jak ongiś, przed upadkiem, i umyśliłem zażyć fortelu.

– Muszę się przyznać, że to nie panią ścigałem wówczas, ale pani siostrę! – powiedziałem po chwili.

– Siostrę? – spytała wielce zdziwiona patrząc i czekając wyjaśnienia na serio.

– Tak – odparłem – siostrę, to znaczy młodszą z dwu dam idących przede mną.

– Młodsza! Aha! – zawołała śmiejąc się jak dziecko. – Jakiś pan chytry! Powiedział pan to jeno po to, bym odsłoniła twarz. Rozumiem. Ale długo pan poczeka, nim się to stanie... za karę!

Zaczęliśmy się śmiać, żartować, paplać bez przestanku, nie wiedziałem, co mówię, byłem uszczęśliwiony. Powiedziała, że mnie raz widziała w teatrze dawno temu. Było nas trzech, a ja zachowywałem się jak szalony. Pewnie i wówczas byłem, niestety, pijany.

– Czemuż to pani tak sądzi?

– Śmiał się pan strasznie.

– Tak? O, wówczas często się śmiałem.

– A teraz już nie?

– I teraz. Świat taki cudny!

Doszliśmy do ulicy Karola-Jana, a ona powiedziała:

– Nie pójdziemy dalej! – zawróciliśmy tedy z powrotem w ulicę Uniwersytecką. Dochodząc do fontanny zwolniła ponownie kroku. Wiedziałem, że mi nie wolno iść dalej.

– Musi pan wracać! – powiedziała zatrzymując się.

– Tak, to prawda! – odparłem.

Ale zaraz przyszło joj na myśl, że mogę dojść do bramy. Przecież nie byłoby w tym nic złego... prawda?

– Nic a nic! – powiedziałem.

Gdyśmy dotarli do bramy, odczułem ponownie całą moją nędzę. Skądże miałem zaczerpnąć odwagi będąc tak przygnębiony? Stałem przed młodą kobietą brudny, obszarpany, zeszpecony głodem, nie umyty, na pół nagi... Ach, rad bym był zapaść się pod ziemię! Skuliłem się, zrobiłem się mały i spytałem:

– Nigdy się już pewnie nie spotkamy?

Nie miałem nadziei, pragnąłem niemal usłyszeć twarde „nie!”, które by mnie otrzeźwiło i uczyniło obojętnym.

– Dlaczegoż by nie? – powiedziała.

– Kiedy?

– Nie wiem.

Pauza.

– Może by pani na chwilę bodaj odsunęła welon, bym wiedział, z kim rozmawiałem.

Znowu pauza.

– Spotka mnie pan tu, pod domem, we wtorek wieczorem! – powiedziała. – Zgoda?

– Naturalnie, najdroższa, jeśli tylko wolno!

– O ósmej!

– Dobrze!

Strzepnąłem śnieg z jej płaszcza, pogładziłem materię, byle jeno mieć pretekst do dotknięcia. Doznawałem rozkoszy czując ją tak blisko.

– Niech pan nie myśli o mnie źle! – powiedziała ze śmiechem w głosie.

– O, nie!...

Naraz uczyniła gest zdecydowany i zarzuciła welon na czoło. Staliśmy przez sekundę patrząc na siebie.

– Ylajali! – zawołałem.

Uniosła się na palcach, zarzuciła mi ramiona na szyję i pocałowała w same usta. Czułem, jak piersi jej falują, jak ciężko dyszy.

Natychmiast jednak wyśliznęła się z mych objęć, szepnęła bez tchu „dobranoc”, obróciła się nie mówiąc już nic, wbiegła po schodach na górę...

Brama zapadła.

Nazajutrz padał obfity śnieg zmieszany z deszczem i sinawe płyty rozpływały się w błoto. Powietrze było ostre, lodowate.

Zbudziłem się późno z głową oszołomioną przeżyciami, a sercem rozradowanym uroczym spotkaniem. Rozmarzony leżałem przez chwilę, nie śpiąc i wyobrażając sobie koło siebie Ylajali, rozwarłem ramiona, objąłem sam siebie i całowałem powietrze. Po chwili wstałem, wypłem filiżankę mleka, potem zjadłem befszytk. Nie byłem głodny, tylko nerwy miałem jeszcze silnie podrażnione.



Udałem się do bazaru sądząc, że znajdę za tanią cenę używaną kamizelkę, by mieć coś pod surdudem, wszystko jedno co. Znalazłem w istocie kamizelkę i zacząłem ją oglądać. Podczas tego zajęcia nadszedł znajomy i odwołał mnie, więc zostawiłem kamizelkę i podszedłem do niego. Był to pewien technik, udawał się do biura.

– Chodźmy na szklanekę piwa! – powiedział. – Ale prędko, mam mało czasu. Któż to jest owa dama, z którą pan spacerował wczoraj wieczorem?

– Ani słowa! – zawołałem zazdrosny o samą jego myśl. – A gdyby to była moja narzeczona?

– Aj, do licha! – wykrzyknął.

– Tak. Wczoraj właśnie wszystko zostało rozstrzygnięte.

Zaszpuntowałem go tym. Uwierzył bezwzględnie. Nałgałem co wlezie, by się go pozbyć. Przyniesiono piwo, wypiliśmy i wyszliśmy.

– Do widzenia! – rzekł na pożegnanie. – Jestem panu winien z dawna kilka koron i wstyd mi doprawdy, że dotąd nie zwróciłem. Ale niedługo oddam... słowo!

– Dobrze, dziękuję! – powiedziałem pewny, że nie zobaczę tych pieniędzy.

Piwo uderzyło mi, niestety, do głowy i uczułem, że mi bardzo gorąco. Na wspomnienie wydarzeń wieczornych doznałem zawrotu głowy. A gdyby się nie zjawiała we wtorek? Wszakże mogła rzecz rozważyć i powziąć nieufność! Nieufność... co do czego?

Moje myśli ożyły nagle i wróciły do sprawy pieniędzy. Przeraziłem się śmiertelnie samego siebie. Kradzież stanęła mi w oczach z wszystkimi szczegółami, ujrzałem mały kramik, ladę, własną wychudłą rękę, sięgającą po monety, a także wyobraziłem sobie, że policja przybywa po mnie. Kajdany na rękach i nogach... nie, tylko na rękach, może nawet tylko na jednej ręce, balaski, protokół u komisarza dyżurnego, skrzyp pióra po papierze... przenikliwe, złowrogie spojrzenie... No, panie Tangen?... Potem cela wieczyście ciemna...

– Hm!... – zacisnąłem pięści, by sobie dodać odwagi, przyspieszyłem kroku, dotarłem do Stortorwu i spocząłem.

Tylko bez głupstw żakowskich! Jakże, u licha, można dowieść, że popełniłem kradzież? Poza tym subiekt nie mógł wszcząć alarmu, choćby sobie nawet przypomniał, jak się to wszystko odbyło. Nie chciałby przecież narażać swego miejsca w sklepie. A więc nie robić hałasu... nie rozpoczynać żadnych scen! Niestety, ciążyły mi trochę te pieniądze w kieszeni i nie dawały spokoju. Zacząłem dumać i przyszedłem do przekonania, że dawniej, za czasów uczciwości i cierpienia byłem szczęśliwszy. A Ylajali? Wszakże i ją ściągnąłem zbrodniczymi rękami w błoto! Miły Boże... Ylajali!...

Pijany byłem jak bela, wstałem nagle, podszedłem do handlarki ciastek koło apteki „Pod Słonem” i postanowiłem oczyścić się z hańby. Nie było jeszcze za późno, cały świat miał się dowiedzieć, że jestem zdolny do tego czynu! Idąc trzymałem pieniądze do ostatniego öra w pogotowiu, gdym stanął blisko, pochyliłem się nad stołem, niby chcąc coś kupić, i szybkim ruchem wetknąłem jej monety w dłoń. Nie rzekłem ani słowa i odszedłem co prędzej.

Jakże przedziwnie miła jest świadomość uczciwości! Pusta kieszeń nie ciążyła mi już i radowałem się znowu zupełną golizną. W gruncie rzeczy te pieniądze przysporzyły mi dużo tajnych trosk. Raz po raz myślałem o nich z drżeniem, nie byłem bowiem człowiekiem zatwardziałym. Teraz, Bogu dzięki, zrehabilitowałem się we własnym sumieniu. Niech to zrobi ktoś drugi! – Tak – zawołałem spoglądając dumnie po rojnym placu targowym. – Niech to ktoś drugi zrobi!

– Uradowałem co się zowie biedną, starą przekupkę, aż otwarła gębę nie wiedząc, co myśleć. Dzisiejszego wieczoru dzieci jej nie pójda na czczo spać. Rozkoszowałem się mym czynem i uznałem, że postąpił doskonale. Dzięki Bogu, pozbyłem się tych pieniędzy.

Pijany i podniecony szedłem ulicą. Radość, że spojrzę uczciwie w oczy Ylajali, ponosiła mnie i nie czułem żadnego bólu. Głowa moja była jasna, pusta, jakby zrobiona ze szczerzej światłości, tkwiącej i błyszczącej na mych ramionach. Naszła mnie chęć robienia głupstw, dokonywania przedziwnych czynów, chciałem przewrócić miasto do góry nogami i wszcząć alarm. Idąc ulicą Graensenstraede zachowywałem się jak szalenciec. Szumiało mi z lekka w uszach, a w mózgu hulało pijaństwo.

Uniesiony głupkowatą bezczelnością, zawiadomiłem jakiegoś posługacza, który się do mnie zresztą nie odezwał słowem, ile mam lat, potem zaś uściśnąłem mu dłoń, spojrzałem przenikliwie w oczy i odszedłem bez żadnego objaśnienia. Odróżniałem dobrze odcienie w głosach śmiejących się przechodniów, obserwowałem ptaki skaczące po bruku, studiowałem flizy chodnika, odnajdując w nich dziwne rysunki i figury, i bawiąc się w ten sposób dotarłem do placu Stortingu.

Tu przystanąłem nagle i zapatrzyłem się na dorożki. Woźnice spacerowali rozmawiając z sobą, zaś konie pochylały się pod wiatr i śnieg chcąc stawić im czoło. – Chodź! – Tak powiedziałem do siebie trącając się w bok. Podeszedłem szybko do pierwszej z brzegu dorożki, krzyknąłem głośno: – Ullevaalstraede 37! – i niebawem ruszyliśmy z miejsca.

W drodze dorożkarz zaczął spozierać poza siebie, pochyłać się i zaglądać do powozu, gdzie siedziałem nakryty fartuchem. Czyżby powziął podejrzenie? Zapewne dziwiła go moja nędzna odzież.

– Muszę się z kimś widzieć! – zawołałem uprzedzając go i gorąco zapewniłem, że jest to sprawa nader ważna. Stanęliśmy przed numerem 37. Wskoczyłem, wbiegłem na schody, aż na trzecie piętro, i schwyciłem za dzwonek, który zagrzmiął straszliwie sześć czy siedem razy.

Zjawiała się służąca i otwarła. Zauważyłem, że ma okrągłe kolczyki w uszach oraz czarne połyskliwe guziki przy szarej sukni. Patrzyła na mnie z przerażeniem.

Spytałem o Kierulfa, Joachima Kierulfa, handlarza wełny... słowem, Kierulfa, co do którego pomylić się nie sposób...

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Tu nie mieszka żaden Kierulf! – odparła.

Wytrzeszczyła oczy gotowa każdej chwili zatrzaskać drzwi. Nie wysilała się na odnalezienie człowieka, o którego pytałem, chociaż miała taką minę, jakby go istotnie знаła i mogła dać wyjaśnienie w razie pozbycia się wrodzonego lenistwa. Rozgniewany na głupią służącą obróciłem się plecami, zbiegłem po schodach i krzyknąłem:

– Nie zastałem go!...

– Nie? – zapytał woźnica.

– Nie! Musimy jechać na Tomtestraede 11!

Byłem strasznie wzburzony i zaraziłem tym dorożkarza, tak że uwierzył w ważność sprawy. Ruszył bez słowa popędzając ostro konia.

– Jak się zowie ten pan? – spytał obracając się na koźle.

– Kierulf, handlarz wełny, Kierulf.

Woźnica przyznał również, że omyłka odnośnie takiej osobistości jest wykluczona, i spytał, czy nosi jasny płaszcz.

– Jak to? – zawołałem. – Jasny płaszcz? Czyś pan oszalał? Czy pan sądzisz, że szukam filiżanki? – Ten jasny płaszcz zepsuł mi do cna obraz, jaki sobie wytworzyłem o tym człowieku.

– Wszakże pan mówił, że zowie się Kierulf?

– Naturalnie – odparłem. – Cóż w tym dziwnego? Nazwisko nikogo nie hańbi.

– Czy ma rude włosy?

Mógł mieć rude włosy i gdy woźnica o tym wspomniał, doszedłem do przekonania, że tak jest w istocie. Uczułem wdzięczność dla pocziwca i oświadczyłem, że w istocie trafnie zaobserwował, bo ma właśnie rude włosy. Rzadka to rzecz spotkać takiego człowieka bez rudych włosów.

– Zdaje mi się, że go już woziłem kilka razy – zauważył woźnica. – Nosi też sękatą grubą laskę... prawda?

Stanął mi w oczach jak żywy, więc zawołałem:

– He... he... nikt go chyba nie widział dotąd bez sękacza w rękę! To pewna, to rzecz pewna!

– Tak... – przyznał woźnica pewny, że poznał człowieka, którego nieraz już woził.

I pędziliśmy, aż skry sypały się spod kopyt konia.

Mimo podniecenia ani na chwilę nie traciłem przytomności umysłu. Mijając policjanta zauważyłem, że ma numer 69. Ta cyfra dotknęła mnie boleśniej i utkwiała jak odłam pocisku w mym mózgu. Sześćdziesiąt dziewięć... akurat sześćdziesiąt dziewięć... Oo... nigdy tego nie zapomnę!

Opadłem na poduszki dorożki targany najszałeńszymi pomysłami. Skuliłem się pod fartuchem, by nikt nie dostrzegł, że ruszam ustami i mamroczę idiotycznie do siebie. Szaleństwo hulało mi w głowie, ale nie broniłem się wiedząc, że podlegam wpływom niemożliwym do opanowania. Zacząłem się śmiać cicho, namiętnie, bez powodu, rozradowany jeszcze i pijany po wypiciu kilku szklanek piwa. Po chwili wzburzenie opadło i wrócił spokój. Uczułem zimno w skaleczonym palcu, włożyłem go tedy pod koszulę dla rozgrzania. Na koniec dotarliśmy do Tomtestraede i woźnica stanął.

Wysiadłem bez pośpiechu bezwładny, opadły z sił, z ciężką głową, minąłem bramę, dostałem się na podwórze, przeszedłem je, napotkałem drzwi, otwarłem i znalazłem się w jakimś przedpokoju o dwu oknach. W kącie stały dwa kufry jeden na drugim, zaś pod dłuższą ścianą stara nie malowana ława, nakryta kapą. W sąsiednim pokoju po prawej stronie wrzeszczały dzieci, a z góry, z piętra dochodził brzęk żelaznej płyty bitej młotem. Wszystko to zauważyłem natychmiast po wejściu.

Przeszedłem pokój wzdłuż aż do przeciwległych drzwi bez pośpiechu ni strachu, otwarłem je i znalazłem się na Wognmanstraede. Spojrzałem na dom, który dopiero co przebyłem wskroś, i zobaczyłem na drzwiach szyld: „Pokoje z utrzymaniem dla przyjezdnych”.

Ani mi w głowie umykać przed czekającym woźnicą. Wychodzę z całą powagą na Wognmanstraede bez obawy i świadomości złego postępu. Kierulf, handlarz wełny, którego szukam z takim wysiłkiem pewny niemal, że żyje naprawdę i że go muszę spotkać, znikł z mego mózgu wraz z wszystkimi szaleńczymi pomysłami, a o całej tej masie głupstw zachowałem jeno niejasny błysk w pamięci.



Im dalej szedłem, trzeźwiałem coraz to bardziej, a jednocześnie opadałem z sił i ledwo wlokłem nogi. Śnieg padał dalej wielkimi mokrymi płatami. Wreszcie dotarłem do Groenlandsleru, do samego kościoła, i usiadłem na ławce. Przechodnie patrzyli na mnie z podziwem, ja zaś popadłem w zadumę.

Miły Boże, myślałem, cóż za okropne życie! Zbrzydło mi do cna i nie warto było dalej o nie walczyć. Zły los wziął górę i basta! Zniszczałem całkiem, stałem się jeno cieniem samego siebie. Ramiona opadły mi na jedną stronę, a chodziłem też pochylony naprzód, by o ile można, chronić piersi. Przed kilku dniami w pokoju nad stajnią zbadałem me ciało i zapłakałem nad nim. Od kilku tygodni nie zmieniałem koszuli, stwardniała przeto od potu i otarła mi do krwi pępek. Z rany, która mnie bolała, sączyła się wodnista krew. Było nad wyraz smutno mieć na środku brzucha taką ranę. Nie mogłem na to nic poradzić, a sama rana nie chciała się zagoić. Obmyłem ją tylko, osuszyłem starannie, potem zaś wdziałem z powrotem koszulę. Nie sposób było postąpić inaczej...

Siedziałem na ławce zadumany i smutny czując wstręt do samego siebie. Mierziły mnie nawet własne ręce. Miały mdły, bezwstydnny wyraz na wierzchu dłoni, tak że źle mi się zrobiło. Patrząc na chude palce znienawidziłem całe to roztrzęsione ciało i zadrzałem na myśl, że muszę je nosić dalej. O, Boże, gdybyż przyszedł koniec! Jakżebym strasznie chciał już raz umrzeć!

Zupełnie pokonany, oplwany i upokorzony we własnej świadomości, wstałem bezwiednie i ruszyłem w stronę domu. Po drodze natrafiłem na bramę z napisem: „Bielizna dla zmarłych u manžel Andersen, ulica Wałowa, po prawej”.

Dawne wspomnienia – powiedziałem sobie i przyszedł mi na myśl pokoiik przy Hammersborg, wąski fotel na biegunach oraz dzienniki przy drzwiach z ogłoszeniem dyrekcji latarni portowej oraz anonsem piekarza Fabiana Olsena. O tak... wówczas szło mi dużo lepiej. W ciągu jednej nocy napisałem felieton za całych dziesięć koron. Teraz nie mogłem pisać, a gdym jeno zaczął, zaraz robiło się w mej głowie pusto. Trzeba skończyć... Tak myśląc włokłem się pomału.

W miarę zbliżania się do kramiku przy mojej ulicy wzrastało we mnie podświadome zrazu uczucie, że idę naprzeciw jakiegoś niebezpieczeństwa, ale trwałem przy postanowieniu i chciałem się wydać dobrowolnie. Spokojnie przebyłem schody, spotkałem w progu małą dziewczynkę z filiżanką w ręku, prześliznąłem się obok niej, wszedłem i zamknąłem drzwi. Znalazłem się sam na sam z subiektem.

– Ano... – rzekł do mnie – nastąpiła psia pogoda!

Po cóż ten wybieg? Czemuż mnie nie atakuje od razu? Rozgniewałem się i rzekłem:

– Nie przybyłem po to, aby rozmawiać z panem o psiej pogodzie!

Moja gwałtowność zdumiała go, mały, kramarski mózdek nie starczył, aby pojąć, o co idzie. Nie spostrzegł, że go okpił o pięć koron.

– Jak to? Pan nie wie, że ja pana oszukałem?! – zapytałem sapiąc z wściekłości i drżąc, gotów jąć się przemocy, gdyby nie przystąpił od razu do rzeczy.

Prostaczek nie rozumiał zgoła.

Ach, Boże, człowiek musi żyć pośród ostatnich głupców! Zwymyślałem go, a potem krok za krokiem opowiedziałem całe zdarzenie. Pokazałem mu, gdzie stałem i gdzie on wówczas stał, gdzie leżały pieniądze, jak je zgarnąłem, i tak dalej. Zrozumiał nareszcie, ale nie wystąpił z niczym przeciwko mnie. Obracał się to w jedną, to w drugą stronę, nasłuchiwał kroków w sąsiednim pokoju i dawał mi znaki, bym mówił ciszej, potem zaś powiedział:

– To bardzo brzydko z pańskiej strony!

– Nie, nie, niech pan pozwoli! – zawołałem chcąc z nim zacząć spór i doprowadzić go do pasji – nie postąpiłem tak źle i nikczemnie, jak się to wydaje pańskiemu marnemu rozumowi. Oczywiście, nie zatrzymałem pieniędzy dla siebie! Ani mi w głowie powstało ciągnąć stąd korzyści osobiste... Jest to wstrętne takiej naturze jak moja, z gruntu uczciwej.

– Więc cóż pan zrobił?

– Dałem te pieniądze pewnej starej, biednej kobiecie... żeby pan wiedział... oddałem wszystko, do ostatniego öra! Taki już jestem, że nie zapominam nigdy o ubogich...

Myślał przez chwilę nad moimi słowami, niepewny widać, w jakiej mierze przyznać mi tytuł człowieka uczciwego, potem zaś rzekł:

– Powinien pan był raczej mnie zwrócić te pieniądze.

O, nie! – zawołałem arogancko. – Nie chciałem pana narażać na przykrości, chciałem pana oszczędzić. Jakąż jednak odwdziękę mam dziś za moją szlachetność? Stoję oto przed panem, wyjaśniam całą sprawę, pan zaś nie tylko nie wstydzi się jak pies, ale nie bierze się wcale do załatwienia ze mną sporu. Umywam przeto ręce w niewinności i basta! Zresztą, niech pana diabli biorą! Zegnam!

Wyszedłem trzasnąwszy silnie drzwiami.

Gdy się jednak znalazłem u siebie w smutnej norze, przemokły na wskroś od śniegu, z drżącymi po całodziennej wędrówce kolanami, od razu opuściła mnie buta i osłabłem strasznie. Pożałowałem napaści na biednego, niewinnego subiekta, zapłakałem i chcąc się ukarać wpiłem w gardło paznokcie. Nie śmiałem oczywiście podnosić larum z powodu pięciu koron, przepadłych dla szefa, ze strachu przed utratą miejsca. Ja zaś wykorzystałem ten jego strach celem dręczenia go głośnymi wykrzykami, od których wił się jak na różnie. Szef siedział może w sąsiednim pokoju, mógł lada chwila wejść i spytać, o co idzie. Nie... niepojęta rzecz, do jakich nikczemności byłem zdolny!

Dlaczegoż mnie jednak nie aresztowano? Wszystko by się od razu skończyło. Wszakże niemal wyciągałem ręce po kajdany! Nie stawiałbym oporu, przeciwnie, sam bym dopomógł. O, panie ziemi i nieba, za sekundę szczęścia oddam ci cały dzień życia! Całe życie oddam za miś soczewicy! Wysłuchaj mnie, wysłuchaj chociaż tym razem!...

Położyłem się w mokrej odzieży i przeczuwając po trochu, że umrę tej nocy, ostatkiem sił uporządkowałem nieco łóżko, bym rano wyglądał jako tako. Potem złożyłem ręce i wyszukałem dogodną pozycję.

Po chwili przypominałem sobie Ylajali. Jakże mogłem stracić ją na tak długo z pamięci?

Świadomość zatliła się na nowo słabo w mej duszy, a wąty ten promyk ogrzał mnie rozkosznie. Przybywało z wolna coraz więcej słońca, ogarnęła mnie jedwabista poświata i oszołomiła jednocześnie. Z każdą chwilą wzrastały jaskrawe blaski, zaczęły palić, żarzyć się w mych skroniach, kipieć ciężko, potwornie w mym wyczerpanym mózgu i w końcu strzelił mi z oczu szaleńczy snop promieni. Zapaliło się niebo, ziemia rozgorzała, zwierzęta i ludzie stanęli w płomieniach, buchnęły pożogą góry, wychynęły z piekła ogniste czarty, rozwarły się przepaście, zamajaczyły pustynie, świat cały zmienił się w płomienisko dymnego, krwawego dnia Sądu Ostatecznego.

Nie widziałem już nic i nic nie słyszałem...

Zbudziłem się nazajutrz oblany potem, mokry na całym ciele. Gorączka mnie strasznie osłabiła. W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy z wczorajszych przeżyć, czułem tylko ze zdumieniem tak wielką przemianę w sobie, że nie mogłem poznać. Dotykałem rąk i nóg, nie mogłem pojąć, że okno znajduje się w tej, nie zaś w przeciwległej ścianie, a uderzenia kopyt końskich zdawały się dochodzić nie z dołu, lecz z góry. Miałem lekkie nudności.

Włosy przykleiły się do czoła, oparłem się na łokciach i zobaczyłem również na poduszce liczne pasma mokrych włosów. Nogi napuchły mi w trzewikach podczas nocy, ale nie bolały, nie mogłem tylko dobrze ruszać palcami.

Późno po południu, o samym już zmierzchu wstałem i zacząłem krzątać się po izbie. Stawiałem małe kroki usiłując zachować równowagę i oszczędzić nogi, ile można. Nie bardzo cierpiałem i nie płakałem, nie czułem także smutku, ale raczej radość, bo nie przyszło mi do głowy, by mogło dziać się inaczej, jak się działo.

Potem wyszedłem.

Najgorzej trapił mnie głód, jawiący się mimo wstrętu do jadła. Uczułem ponownie haniebną apetyt, wewnętrzną żarłoczność, która rosła z każdą chwilą. W piersiach żarło mnie bezlitośnie, odbywała się tam przedziwna jakaś czynność. Zdawało mi się, że mam wrobię tuzin maleńkich, drobnych zwierzątek, które pochylają na bok głowy i gryzą przez moment, potem przechylają głowy w drugą stronę i znowu gryzą przez moment. Następnie leżą cicho i znowu zaczynają gryźć bez pośpiechu, a tam gdzie wbiły zęby, powstają długie, puste chodniki...

Nie czułem się chory, jeno osłabiony i przyszyły na mnie poty. Chciałem dotrzeć do Stortorwu i tam spocząć, ale droga była długa i uciążliwa. W końcu jednak zbliżyłem się do celu, stanąłem na rogu placu Targowego i Torostræde. Pot mi ściekał na oczy, zalewał okulary i oślepił. Przystanąłem właśnie, by się trochę osuszyć, nie wiedziałem jednak, gdzie stoję, byłem ogłuszony straszliwym hałasem panującym wokół.



Naraz rozległ się krzyk – zimny, ostry krzyk ostrzegawczy. Usłyszałem go doskonale i rzuciłem się nerwowo w bok. Uskoczyłem tak szybko, jak tylko mogły tego dokonać moje słabe nogi. Tuż obok przesunął się olbrzymi wóz pełen chleba, a koło musnęło mój surdut. Gdybym uskoczył dalej, uszedłbym cało... Przy większym wysiłku skok ten powiódłby się niewątpliwie. Teraz było już jednak za późno, uczułem silny ból w nodze, kilka palców zostało niemal zmiażdżonych. Czułem, jak kurczą się niejako w trzewiku.

Woźnica wstrzymał z całej siły konie, obrócił się ku mnie i spytał przerażony, co mi się stało.

– Ano... mogło być gorzej... nie... nie ma niebezpieczeństwa... myślę, że nic nie złamane... o... bardzo proszę... bagatelka...

Poszedłem, jak mogłem najszybciej, do ławki, by ujść ludziom, którzy skupili się licznie dokoła mnie. Nie był to cios śmiertelny i jeśli już miało mi się przydarzyć nieszczęście, to rezultat był wcale zadowalający. Najgorzej martwiło mnie, że trzewik został rozgnieciony, a przyszwą od podeszwy oderwana. Podniosłem nogę i zobaczyłem krew w otworze. No, ale woźnica nie uczynił mi krzywdy rozmyślnie, był wszakże przerażony... Pewny jestem nawet, że gdybym go był poprosił o niewielki bochenek chleba, dałby mi go, dałby z radością. Niechże mu Bóg zapłaci!

Trapił mnie wielki głód, a nie wiedziałem, jak zaspokoić haniebny apetyt. Wiłem się na ławce pochylając grzbiet, tak że piersi dotykały niemal kolan. Gdy się ściemniło, podsunąłem się pod sam ratusz.

Bóg jeden wie, jak tam doszedłem. Usiadłem na balustradzie, wyrwałem kieszeń z surduta i zacząłem żuć, bez żadnego zresztą celu, przy tym nasrożyłem się, wybałuszyłem oczy przed siebie, ale nic nie widziałem. Kilkoro dzieci bawiło się koło mnie, instynktem czułem mijanie przechodniów, zresztą nie zwracałem na nic uwagi.

Nagle przyszyła mi myśl, że mógłbym zdobyć w jatkach kawałek surowego mięsa. Przekroczywszy balustradę zeszedłem na dół i gdym stanął w pobliżu jatek, krzyknąłem w klatkę schodową niby to grożąc psu. Potem zuchwale zwróciłem się do pierwszego z brzegu rzeźnika.

– Ach – poprosiłem – bądź pan łaskaw dać mi kość dla psa! Samą kość bez mięsa, byle miał co nosić w pysku.

Dostałem kość niedużą, ale wspaniałą, z odrobiną mięsa i schowałem ją pod surdut podziękowawszy tak gorąco, że zastanowiło to wielce rzeźnika.

– Nie ma za co! – powiedział.

– O, nie, nie! – mruknąłem. – Bardzo to pięknie z pańskiej strony.

Wróciłem na górę, a serce mi biło gwałtownie.

Wśliznąłem się, jak można najgłębiej, w jakiś zaułek i stanąłem na tylnym podwórzu, pod zapadłymi drzwiami. Nigdzie światła, cudnie, mroczno wokół. Zacząłem obgryzać kość.

Nie miała żadnego smaku, jeno odór skrzepłej krwi, tak że od razu dostałem wymiotów. Zacząłem na nowo, marząc o tym, by zatrzymać jadło w żołądku celem uspokojenia go. Znowu przyszły wymioty. Rozgniewany szarpnąłem kawałek mięsa i połknąłem go przemocą. Na nic! Ledwo się zagrzał, wracał na wierzch. Zaciskałem szaleńczo pięści bliski płaczu, rozpaczy i szarpałem dalej. Łzy oblały wreszcie kość i zbrudziły ją. Wymiotowałem, kłąłem, gryzłem, czułem, że mi serce pęka, i wymiotowałem ponownie.

Głośno miotałem złorzeczenia na moce niebieskie pragnąc, by je pochłonęło piekło.

Cisza. Nikogo wokół, ni światła, ni zgiełku.

Okropnie wzburzony dyszałem ciężko i zgrzytałem zębami, ile razy przyszło mi zrzucać kęs, mogący mnie nasycić. Gdy wyczerpałem ostatek sił, cisnąłem kość o drzwi z bezsilną nienawiścią, zacząłem krzyczeć w niebo, wzywać imienia bożego ze złością, chrypliwie, a palce me kurczyły się jak szpony...

– Powiadam ci, święty Baalu niebiosów, nie ma cię wcale! A gdybyś nawet istniał, przekleństwo moje straciłoby cię w bezdeń piekła! Chciałem ci służyć, a tyś mnie odepchnął, wzgardziłeś mną, toteż odwracam się do ciebie plecami raz na zawsze, albowiem nie znasz godziny łaski. Wiem, że przyjdzie mi skonać, ale mimo to drwię z ciebie w godzinie śmierci, ty zaziemski Apisie! Użyłeś przemocy, wiedz atoli, że nie ugnę się przed nieszczęściem! Czyś tego nie wiedział? Czyżes przez sen kształtował moje serce?

Mówię ci, całą resztką życia i ostatnią kroplą krwi raduję się, że ci urągam i plwam na twoją łaskę! Od tej godziny rezygnuję z wszystkich twoich dzieł i z ciebie samego, przeklinam myśl moją, gdyby się miała kiedy zwrócić do ciebie, i wyrwę własne usta, gdyby miały wypowiedzieć imię twoje! Jeśliś jest, ostatnie to moje słowo w życiu czy śmierci zwrócone do ciebie!... Zegnam cię! Teraz milcz, odwracam się i idę w swoją stronę...

Cisza.

Drżałem ze wzburzenia, wyczerpania, stałem przez chwilę jeszcze, szepcząc klątwy i wyzwiska, łkając z cicha, osłabiony strasznie po wybuchu. Ach, wszystko, com tu wygłosił ogarniony nędzą, była to jeno literatura, retoryka książkowa, po prostu głupia paplanina!

Stałem może z pół godziny szlochając, szepcząc i trzymając się drzwi. Potem usłyszałem głosy – rozmowę dwu ludzi idących zaułkiem. Chwiejnie powlokłem się wzdłuż murów i wyszedłem na jasną ulicę. Zstępując ze wzgórza Younga uczułem dziwny zawrót w mózgu.

Przyszło mi na myśl, że nędzne baraki po drugiej stronie placu Targowego, kramy i stare budy ze znoszoną odzieżą stanowią największe zeszkaradzenie tej części miasta i że trzeba usunąć to paskudztwo.

Obliczałem, ile by kosztować mogło przeniesienie tu Instytutu Geograficznego, ślicznego gmachu, który podziwiałem, ilem razy go mijał. Transport tego rodzaju wymagałby siedemdziesięciu do siedemdziesięciu dwu tysięcy koron. Ładna to sumka, ładne kieszonkowe na początek... he... he...! Kiwnąłem głową potwierdzając własne słowa. Drżałem jeszcze na całym ciele i spazm mnie porывał po płaczu.

Wydało mi się, że już nie żyję, gwizdałem na własny grób, wszystko mi zubożyło i nie obchodziło mnie wcale. Szedłem w przeciwną wprost stronę miasta, do portu, oddalając się coraz bardziej od mieszkania. Wszakże mogłem równie dobrze skończyć ległszy na chodniku. Cierpienie otępiło mnie coraz bardziej, w zranionej nodze tętniło, czułem nawet, że ból rozchodzi się po całym ciele, ale i to czyniło na mnie niewielkie wrażenie. Przeżyłem już gorsze rzeczy.

Dotarłem do podjazdu kolejowego. Nie było tu ruchu ani rozgwaru, wałęsał się jeno jakiś robotnik portowy czy żeglarz wsadziwszy ręce w kieszenie. Spostrzegłem również kulawego mężczyznę, który przeszył mnie przenikliwym spojrzeniem, gdym go mijał. Bezwiednie skłoniłem się i spytałem, czy „Zakonnica” odpłynęła. Potem zaś mimo woli strzeliłem przed jego twarzą palcami i powiedziałem:

– Aj, do licha... „Zakonnica”... prawda... całkiem zapomniałem o niej!

Myśl ta tkwiła we mnie podświadomie, nosiłem się z nią nie wiedząc nic o tym.

– Tak... tak... „Zakonnica” odpłynęła.

– Czy pan nie wie, dokąd?

Mężczyzna podumał stojąc na dłuższej nodze, krótszą, kiwającą się trochę, trzymał w powietrzu.

– Nie! – odparł. – Czy pan wie, jaki wzięła stąd towar?

– Nie wiem... – odparłem.

Ale już zapomniałem o „Zakonnicy” i spytałem marynarza, jak daleko może być do Holmestrandu licząc w dobrych, starych milach geograficznych.

– Do Holmestrandu?... Ano, przypuszczam...

– Albo do Veblungsnaes?...

– Zaraz, zaraz... do Holmestrandu...

– Ach... za pozwoleniem... – powiedziałem – czy nie mógłbym dostać od pana kęska tytoniu... mały bodaj kawałeczek?

Dostałem prymkę, podziękowałem bardzo serdecznie i odszedłem. Ale nie biorąc skrętka do ust wsadziłem tytoń do kieszeni. Marynarz śledził mnie spojrzeniem, musiałem obudzić w nim podejrzenie. Czułem to, więc nie chcąc, by mnie ścigał, wróciłem, przystąpiłem doń i rzekłem:

– Iglarz.

Powiedziałem tylko to jedno słowo. Wpatrzyłem się weń ostro, czułem ostrość własnego spojrzenia. Spoglądałem nań jakby z innego świata. Stałem przed nim chwilę, potem wróciłem na plac Kolejowy. Kulas nie rzekł nic, nie spuszczał mnie tylko z oczu.

Iglarz? Zatrzymałem się nagle. Wszakże od razu doznałem wrażenia, że tego kalekę widział już kiedyś. Ach prawda, tam w Graensenstraede, gdzie zastawił kamizelkę. Zda się wieczność minęła od tego czasu.

Dumałem przez dobrą chwilę, trzymając się ściany domu narożnego przy placu Targowym. Nagle drgnąłem i zrobiłem ruch odejścia, potem nagle czując, że za późno, podniosłem zuchwale oczy i odrzuciłem wszelką wstydlivość. Nie było rady... stanąłem twarz w twarz z „Komandorem”.

Uniesiony bezczelnością podszedłem nawet doń o krok, by zwrócić uwagę. Nie w celu pobudzenia litości, ale dla wystawienia się pod pręgierz, dla wzgardy własnej. Rad bym był rzucić się na bruk i prosić „Komandora”, by mnie zdeptał. Nie pozdrowiłem go nawet.

„Komandor” zmiarkował, że źle ze mną, zwolnił kroku, wreszcie gdy był blisko, zatrzymałem go słowami:

– Byłbym panu coś przyniósł, ale dotąd nie skończyłem.

– Tak? – spytał. – Nie skończył pan?

– Nie... nie mogłem dotąd...

Uprzejmość „Komandora” wywołała mi łzy w oczach, krzyknąłem i kaszlnąłem z goryczą, by sobie dodać siły. „Komandor” dmuchnął przez nos i spojrzał bystro.

– Czy ma pan tymczasem z czego żyć? – spytał.

– Nie! – odparłem. – Nie mam, nic jeszcze dziś nie miałem w ustach... ale...

– Na miły Bóg! – zawołał. – Jakże pan może włóczyć się tak o głodzie? – To powiedziawszy sięgnął zaraz do kieszeni.

Zbudził się wstyd, wróciłem przeto pod ścianę i stamtąd patrzyłem na gmerającego w portfelu „Komandora”. Milczałem, on zaś podał mi banknot dziesięciokoronowy. Bez żadnych ceregieli dał mi po prostu dziesięć koron i obojętnie powtórzył, że nie sposób włóczyć się o głodzie.

Wyjąkałem coś na usprawiedliwienie i nie wziąłem od razu...

– To wstyd... – powiedziałem – ...to za dużo...

– Prędzej, prędzej! – zawołał spoglądając na zegarek. – Czekałem na pociąg, a oto słyszę, że już nadchodzi.

Oślupiały z radości wziąłem banknot, nie rzekłem słowa, nie podziękowałem nawet.



– Niech się pan nie krępuje! – dodał jeszcze „Komandor”. – Wszakże może pan to jeszcze odrobić... wiem... wiem...

Poszedł.

Gdy się oddalił kilka kroków, przyszło mi na myśl, że mu nawet nie podziękował za pomoc. Chciałem go dogonić, ale nogi mi nie służyły i idąc szybko ledwo nie upadłem. On tymczasem oddalał się coraz bardziej. Dałem za wygraną i postanowiłem zawołać. Ale brakło mi odwagi i gdym się wreszcie zdobył na parę okrzyków, był za daleko, a głos mój nie brzmiał donośnie.

Stałem, patrzyłem za nim i płakałem z cicha.

– Nie doznałem tego nigdy jeszcze! – powiedziałem sobie. – Dał mi dziesięć koron!

Wróciłem na miejsce i zacząłem naśladować ruchy „Komandora”. Potem obejrzałem banknot z bliska przez łyżę na wszystkie strony i podniósłszy oczy w niebo, zacząłem kląć i przysięgać, że naprawdę posiadam dziesięć koron... że je trzymam w ręku.

W chwilę potem, a może nawet długo potem – zrobiło się już cicho wokół – znalazłem się w Tomtestraede pod domem numer 11, gdzie oszukałem dorożkarza i gdzie niepotrzebnie przeszedłem całą kamienicę. Postawszy chwilę, nadziwiwszy się wszystkiemu wszedłem po raz drugi w bramę z szyldem: „Pokoje z utrzymaniem dla przyjezdnych”, poprosiłem o pokój i znalazłem się zaraz w łóżku.

Wtorek.

Pogoda, słońce, cisza w powietrzu. Przedziwnie jasny dzień. Śnieg znikł, wszędzie zaś rozbrzmiało życie, radość, przesuwały się wesołe twarze, widniały uśmiechy i słychać było chichot. Fontanna rzucała w górę snop wody – lśniąca złoto na błękitcie nieba.

Około południa wyszedłem z mieszkania przy Tomtestraede, gdzie przebywał żyjąc dostatnio z dziesięciu koron „Komandora”, i udałem się na miasto. Byłem wesoły, przez całe popołudnie włóczyłem się po najludniejszych ulicach i obserwowałem ludzi. Jeszcze przed siódmą zaszedłem na plac Św. Olafa i spojrzałem chyłkiem ku oknom domu pod numerem 2. Miałem ją za godzinę ujrzeć. Co się stanie? Co uczynię, gdy zejdzie ze schodów? Dobry wieczór pani... czy tylko uśmiech? Umyśliłem poprzestać na uśmiechu. Oczywiście, skłonię się nisko.

Odszedłem zawstydzony trochę, że przybył tak wcześniej, i łąziłem wolno po ulicy Karola-Jana nie spuszczać z oczu uniwersyteckiego zegara. W drodze przyszło mi na myśl, że mogę się spóźnić kilka minut, przeto pospieszyłem ile sił. Noga bolała mnie bardzo, zresztą nie brakowało mi nic.

Stałem u fontanny dla wypoczęcia. Czekałem dość długo patrząc w okna domu, ale nie nadchodziła. Byłem cierpliwy, nie spieszyłem się nigdzie. Może jej coś przeszkodziło. Czekałem dalej dumając, że wszystko było jak sen, a pierwsze spotkanie wydało mi się złudą gorączki, która mnie ogarnęła pamiętnej nocy. Roztrząsałem wszystko bezradnie, niepewny zgoła swej sprawy.

– Hm... – chrząknął ktoś poza mną.

Słyszałem to dobrze jak również lekkie kroki tuż obok, ale nie odwracałem głowy zapatrzony na schody.

– Dobry wieczór! – powiedział ktoś.

Zapomniałem uśmiechu i nie zdjąłem nawet kapelusza, zdumiony, że z tej strony nadchodzi.

– Długo pan czekał? – spytała dysząc ciężko od szybkiego biegu.

– Nie... nie, dopiero co przyszedłem! – odparłem.

– Zresztą nic by mi nie szkodziło czekać długo. Sądziłem, że pani nadejdzie z innej strony.

– Odprowadziłam mamę do znajomych. Mamę dziś nie ma w domu.

– Ach tak? – powiedziałem.

Ruszyliśmy naprzód. Na rogu ulicy stał policjant i patrzył na nas.

– Dokądże pójdziemy? – spytała zatrzymując się.

– Dokąd pani chce...

– Och, jakże nudno rozstrzygać samej.

Pauza.

Potem rzekłem, by coś powiedzieć:

– W oknach ciemno, jak widzę.

– To prawda! – zawołała żywo. – Służącej również nie ma. Jestem sama w domu.

Stoimy zapatrzeni w okna domu, jakbyśmy je widzieli po raz pierwszy.

– Może pójdziemy do pani? – spytałem. – Przez cały czas będą siedział przy drzwiach, jeśli taka pani wola...

Zadrżałem wzburzony własną zuchwałością. A gdyby się pogniewała i odeszła? Nie ujrzałbym jej już zapewne. Wpadło mi do głowy, że moje ubranie wygląda bardzo nędznie. Zrozpaczony czekałem odpowiedzi.

– Nie potrzebuje pan wcale siedzieć przy drzwiach – odparła.

Weszliśmy na górę.

W ciemnym korytarzu wzięła mnie za rękę i prowadziła mówiąc, że nie muszę milczeć i mogę swobodnie rozmawiać. Weszliśmy do pokoju. Zaświeciła świecę, nie lampę, a czyniąc to roześmiała się i rzekła:

– Proszę na mnie nie patrzeć! Wstydzę się... Już tego nigdy nie uczynię!

– Czego pani nie uczyni?

– Nie... och... mój Boże... już nigdy pana nie pocałuję.

– Nie? – spytałem i roześmialiśmy się oboje. Wyciągnąłem do niej rękę, ale usunęła się na bok poza stół. Patrzyliśmy chwilę na siebie, światło stało między nami.

Odsłoniła welon i zdjęła kapelusz, a podczas tego śledziła mnie błyszczącymi oczyma, bym jej nie pochwycił, rzuciłem się, ale utknąwszy na dywanie upadłem. Chora noga nie chciała mnie nosić. Wstałem wielce zakłopotany.

– Ach! – zawołała. – Jaki pan czerwony! Niezdara z pana!

– To prawda.

Zaczęliśmy się na nowo gonić.

– Zdaje mi się, że pan kuleje!

– Tak... troszkę kuleję... to prawda.

– Niedawno skaleczył się pan w palec, teraz pana boli noga. Same przypadki.

– Przed kilku dniami zostałem trochę przejechany.

– Przejechany? Ach, znowu pan był pijany! Jakież pan, na miły Bóg, wiedzie życie, młodzieńcze? – pogroziła mi palcem i przybrała surową minę. – Siadajmyż więc! – powiedziała. – Nie, nie przy drzwiach, jest pan zbyt nieśmiały... tutaj... tak, tutaj pan, a tu ja... Ach, ludzie nieśmiali są strasznie nudni. Trzeba samej wszystko robić i mówić bez żadnej pomocy. Mógłby pan teraz na przykład położyć rękę na oparciu mego krzesła... Ach, czemuż nie domyśli się pan tego sam? Czemuż pan robi wielkie oczy, jakby pan nie dowierzał? Spostrzegłam to już przedtem i teraz znowu. Niech pan nie udaje tak skromnego, bo i tak nie uwierzę. Był pan dość zuchwały, gdy mnie pan ścigał w podchmielonym stanie czyniąc dowcipne uwagi: – Zgubi pani książkę... na pewno zgubi pani książkę!... – Ha... ha... ha...! Było to bardzo brzydko z pańskiej strony!

Siedziałem na pół przytomny i patrzyłem na nią. Serce biło mi mocno, a gorąca krew tętniła w żyłach. Cóż za uciecha znaleźć się na nowo w ludzkim mieszkaniu, słyszeć tykot zegara i miast wieść monologi, rozmawiać z młodą, żywą dziewczyną!

– Czemuż pan milczy?

– Ach, jaka pani słodka! – rzekłem. – Siedzę oczarowany, zupełnie oczarowany w tej chwili. Nie mam na to rady. Jest pani niezwykłą istotą... Czasem oczy pani błyszczą... nie, nie widziałem takich oczu... podobne są kwiatom... cóż mówię, nie kwiatom... ale... Jestem zakochany w pani po uszy... nie ma rady! Jak pani na imię?... Muszę się dowiedzieć pani imienia! Ach, jakże pani ma na imię? Omal nie zapomniałem spytać, chociaż myślałem o tym wczoraj przez cały dzień. Właściwie, nie przez cały wczorajszy dzień myślałem o pani... Wie pani... nazwałem panią Ylajali! Jak się to pani podoba? Taki płynny dźwięk...

– Ylajali?

– Tak.

– To w obcym języku?

– Hm... nie...

– Nieźle brzmi.

Po długich układach powiedzieliśmy sobie nasze imiona. Siadła tuż przy mnie na sofie, odsunęła krzesło nogą i zaczęliśmy gwarzyć.

– Ogolił się pan, widzę – powiedziała. – Wygląda pan trochę lepiej niż ostatnim razem, ale... tylko trochę... niech pan nie popada w zarozumiałość... Ostatnim razem strasznie pan wyglądał, a w dodatku na palcu była szkaradna szmatka. I w tym stanie chciał mnie pan prowadzić gdzieś na wino? O, nie, dziękuję!

– Z powodu mego nędznego wyglądu wzbraniała się pani wówczas iść ze mną? – spytałem.

– Nie! – odparła spuszcżając oczy. – Nie, zaręczam, nie myślałam o tym nawet.

– Proszę pani – rzekłem znowu – pani sądzi pewnie, że mogę tak żyć i ubierać się, jakbym chciał.

O, nie... jestem bardzo, bardzo biedny.

Spojrzała na mnie.

– Czy tak? – spytała.

– Tak jest.

Pauza.

– Miły Boże! – rzekła poruszając swobodnie głową – I ja również jestem biedna.

Każde jej słowo oszałamiało mnie, spadało mi w serce kroplą wina, mimo że była niewątpliwie zgoła przeciętną dziewczyną z Christianii, mówiącą żargonem, robiącą trywialne minki i paplającą pospolicie. Zachwycałem się patrząc, jak przekrzywia główkę na bok, gdy mówi. Czulem jej oddech na twarzy.

– Wie pani... – rzekłem – ale proszę się nie gniewać...leżąc wczoraj w łóżku podłożyłem niby to pod panią ramię, jakby pani obok mnie leżała... i tak zasnąłem...

– O... było to bardzo piękne... – odparła i dodała po pauzie: – Ale taką rzecz mógł pan uczynić tylko na odległość, w marzeniach...



– Sądzi pani, że nie mógłbym tego zrobić w rzeczywistości?

– Tak sądzę.

– Po mnie może się pani spodziewać wszystkiego!

– powiedziałem dumnie i objąłem ją.

– Czy tak? – rzekła.

Gniewało mnie, że uważa mnie za bardzo cnotliwego, wyprostowałem się tedy i chwyciłem ją za rękę. Ale wysunęła dłoń i oddaliła się nieco, ja zaś spojrziałem zakłopotany w okno. Nie, nie było się czego spodziewać. Co innego dawniej, gdym wyglądał po ludzku i miałem trochę dostatków, wówczas inaczej by sprawy poszły... Uczułem wielkie przygnębienie.

– No, widzi pan! – powiedziała. – Jedno zmarszczenie brwi wystarcza, by pana przerazić. Odsuwając się trochę ma się już pana w garści... – zaśmiała się szelmowsko i zamknęła oczy, jakby nie mogła znieść mego spojrzenia.

– O nie... u licha! – wybuchnąłem. – Zobaczy pani! – Ogarnąłem ją silnie ramionami. Czyż była pozbawiona zmysłów? Czyż brała mnie za zgoła niedoświadczonego? Nie zniósłbym opinii, że pod tym względem stoję niżej od innych. Szelma dziewczyna! Jeśli idzie o to... natenczas...

Czyż jestem niedołągą?

Siedziała bez ruchu z zamkniętymi oczyma, przyciśnięta do mnie, tuląc ciało do mej piersi i nie mówiła nic. Słyszałem uderzenia naszych serc podobne do tętentu koni.

Pocałowałem ją.

Nie wiedziałem już, co się ze mną dzieje, gadałem głupstwa, z których się śmiała, szeptałem pieszczotliwie, gładziłem jej policzki, całowałem dużo razy. Potem rozpiąłem kilka guzików stanika i zobaczyłem wychylające się z koszuli dwie krągłe, białe piersi.

– Pozwól zobaczyć! – szepnąłem rozpinając stanik szerzej. Ale wzburzony wielce nie mogłem sobie poradzić z guzikami dolnymi, tam gdzie materia była silniej naciągnięta...

Otoczyła mi ramieniem szyję ruchem powolnym, pieściwym, z jej różowych ust, z drgających nozdrzy płynął słodki wiew, drugą zaś ręką zaczęła sama rozpinąć guziki. Śmiała się z zakłopotaniem, krótko i spoglądała ku mnie raz po raz, czy dostrzegam, że się wstydzi. Rozwiązała sznurowadło, otwarła gorset upojona i trwożna. Ja zaś zacząłem niezgrabnymi rękami manipulować wśród tych guzików i wstążek.

Gładziła mnie lewą ręką po plecach, by odwrócić uwagę od tego, co czyni, i mówiła:

– Jakże dużo wypadło panu włosów!...

– Tak... – przyznałem pochylając usta do jej piersi. W tej chwili legła na sofie rozpięta całkiem, ale po chwili wstała jakby czując, że poszła za daleko, i zakryła się. Chcąc odwrócić uwagę od swej nagości, jęła znowu powtarzać, że mi wypadają włosy.

– Czemu panu tak wypadają?

– Nie wiem.

– Pije pan pewnie za dużo!... Pfe! Nie trzeba... to wstyd... nie pomyślałabym nigdy... Taki młody i już traci włosy... Teraz musi mi pan opowiedzieć, jak pan żyje. Pewna jestem, że to coś strasznego, tylko bez wykrętów! Spostrzegę zaraz, gdy pan coś zechce taić! No, dalejże!

Ach, jakże byłem zmęczony! Wolałbym stokroć siedzieć i patrzeć na nią, niż udawać zdobywcę i mordować się tymi usiłowaniami. Nic już nie byłem wart! Życie zmieniło mnie w łachman.

– Niechże pan zaczyna! – rzekła.

Korzystając ze sposobności opowiedziałem wszystko i samą jeno prawdę. Nie przesadzałem wcale celem pobudzenia jej litości. Przyznałem się również do sprzeniewierzenia pięciu koron.

Siedziała słuchając z otwartymi ustami, blada, przerażona, spozierając nieprzytomnie. Chcąc zatrzeć smutne wrażenie, zebrałem się w sobie i rzekłem:

– Ale teraz wszystko minęło już, nie ma o czymś takim mowy, jestem zabezpieczony...

Ale nie dodało jej to odwagi.

– Broń mnie, Boże! – rzekła i zamilkła. Słowa te powtórzyła potem kilkakrotnie z krótkimi pauzami: – Broń mnie, Boże!

Zacząłem żartować, łaskotać ją pod pachami, tuliłem do piersi. Zapięła z powrotem stanik i to mnie zgniewało. Czemuż to uczyniła? Czyż w jej oczach byłem teraz mniej wart, niżbym złym życiem spowodował wypadanie włosów? Czyżby mnie wolała, gdybym się podał za rozpustnika? – Dosyć tego! – powiedziałem sobie. – Jeśli tak być musi, okażę, że jestem mężczyzną!...

Należało zacząć na nowo.

Położyłem ją po prostu na sofie. Broniła się bardzo słabo, patrzyła tylko ze zdumieniem.

– Jak to? Cóż pan zamierza?... – spytała.

– Co zamierzam?

– Nie... nie...

– Ależ tak...

– Nie! Niech pan słucha! – zawołała i dodała okrutnie: – Pan oszalał! Tak, jestem tego niemal pewna!

Bezwiednie wstrzymałem się.

– Myśli pani to na serio? – spytałem.

– Serio! Wygląda pan tak dziwnie... A owego dnia, kiedy mnie pan ścigał, nie był pan pijany?

– Nie. Ale wówczas nie byłem również głodny.

– Tym gorzej.

– Wolałabyś, bym był pijany?

– Tak... Ha... boję się pana! Na miły Bóg... Niechże pan mnie puści!

Zawahałem się. Nie mogłem jej puścić, nie chciałem tracić. Pożałowałem mego głupiego gadania... – Ha... to wykret z jej strony! – błysnęło mi. Pewny byłem teraz, że broni się ze wstydlivości... – Tak, tak, nie ma głupich... Cicho leżeć! Bez awantur!

Ale broniła się zbyt mocno, by miała nią powodować jeno wstydlivość. Niby to przypadkiem obaliłem świecę, tak że zgasła. Dziewczyna stawiała teraz rozpaczliwy opór, jęczała nawet.

– Nie... nie... nie. Jeśli chcesz, całuj mnie w piersi... Drogie... kochany!...

Wstrzymałem się. Mówiła z takim przerażeniem, z taką desperacją, że uczułem wzruszenie. Sądziła, że mnie zaspokoi całowaniem piersi! O, jakże to piękne i naiwne! Rad bym był paść przed nią na kolana.

– Drogie dziecko – powiedziałem zmieszany – nie pojmuję doprawdy twego postępowania...

Wstała, drżącymi rękami zapaliła świecę, ja zaś rozparłem się beczynny na sofie. Cóż teraz nastąpi? W gruncie rzeczy czułem się bardzo źle.

Spojrzała na zegar i drgnęła.

– Ach! Zaraz nadejdzie służąca! – to były jej pierwsze słowa.

Zrozumiałem tę uwagę i podniosłem się. Chwyła płaszcz, jakby go chciała wdziać, ale po rozwadze rzuciła go i podeszła do kominka blada i coraz niespokojniejsza. Po chwili rzekłem, by zamaskować, że mnie wyprasza:

– Czy ojciec pani był wojskowym?

– Tak! Skąd pan to wie?

– Nie wiem. Tak mi to jeno przyszło na myśl.

– Dziwna rzecz!

– O tak! Miewam takie jasnowiedzenia w pewnych sprawach. To również skutek mego szaleństwa!... – rzekłem.

Spojrzała na mnie, ale nie odezwała się ani słowem. Czuję, że dręcę ją swą obecnością i chciałem skończyć. Zwróciłem się do drzwi, myśląc, czy mnie pocałuje, czy poda bodaj rękę. Stałem czekając.

– Odchodzi pan już? – spytała od kominka.

Nie odpowiedziałem, upokorzony i zmieszany, patrzyłem na nią tylko. Wszystko zniweczyłem sam! Nie robiła sobie nic z tego, że odchodzę, stracona była dla mnie na zawsze, chciałem jej przeto na pożegnanie powiedzieć coś ważkiego, głębokiego, co by ją dotknęło i zaimponowało jej. Wbrew temu jednak zacząłem mówić o rzeczach błahych, ważne słowo nie jawiło się, zostałem oszukany, na ustach miałem jeno zwroty krasomówcze i wiedzę książkową.

Spytałem, czemu mi nie każe wprost iść precz. Po cóż się krępować? Miał wspominać o powrocie służącej, stokroć lepiej rzec: – Zmykaj pan, bo muszę teraz iść po matkę, a nie chcę się z tobą pokazywać na ulicy! – Wszakże to miała na myśli... zaraz to przeczulem! Niewiele trzeba, by mnie wprowadzić na ślad. Samo pochwycenie płaszcza i porzucenie go przekonało mnie dostatecznie. Jestem, jako się rzekło, często jasnowidzącym, ale niekoniecznie muszę jeszcze przez to być wariatem!...

– Ale na miłość boską! – zawołała. – Niech mi pan przebaczy to słowo! Wymknęło się mimo woli!... – tak mówiła nie zbliżając się jednak do mnie.

Pozostałem niewzruszony i plotłem dalej czując, że ją nudzę, że nie trafia do niej żadne słowo, a mimo to gadałem dalej. Powiedziałem, że można mieć delikatność odczuwania nie będąc wariatem, że są natury delikatne, żyjące subtelnością, a umierające od brutalnego słowa. Dałem jej do zrozumienia, że jestem takim właśnie człowiekiem. Ubóstwo wyostrza pewne właściwości duszy oraz doprowadza do utrapień, które właśnie muszę znosić. Ale pomaga również w niektórych sytuacjach. Inteligent biedny jest lepszym obserwatorem od bogatego. Biedak musi na każdym kroku śledzić podejrzliwie słowa ludzkie, toteż jego uczucia i myśli pracują dzielniej, jego słuch i odczuwanie doskonalili się; nabywa doświadczenia za cenę ran, jakie odnosi jego dusza...

Mówiłem szeroko o tych ranach, a ona niepokoiła się coraz więcej. W końcu zaczęła powtarzać rozpaczliwie: – O Boże! O Boże! – i załamywać ręce.

Dręczyłem ją, nie chciałem tego czynić, a czyniłem. W końcu uznałem, że pokrótce powiedział, co trzeba, i dostrzegłszy jej przerażone spojrzenie zawołałem:



– Już idę! Wszakże trzymam dłoń na klamce. Żegnam panią, żegnam! Może mi pani przecież odpowiedzieć, gdyż mówię to dwukrotnie i gotów jestem do odejścia. Nie domagam się nawet ponownego widzenia, jeśliby miało to panią dręczyć. Ale mów, czemuś nie zostawiła mnie w spokoju? Cóżem był winien, nie zawadzałem pani wszakże! Dlaczegoż to teraz odwraca się pani nagle jak od nieznanego? Obrabowałaś mnie do reszty z wszystkiego i moja nędza nie ma teraz granic! Na miły Bóg, nie jestem szalony! Sama pani po namyśle przyzna, że mi nic nie brakuje. Niech pani podejdzie i poda mi dłoń albo pozwoli się zbliżyć. Nie uczynię nic złego, na moment klęknię tylko przed panią... czy wolno? Nie, nie uczynię tego, jeśli się boisz... słyszy pani? Nie bójże się tak, na miłość boską!... Widzisz przecie, że stoję spokojnie! Byłbym jeno klęknię na dywanie, tam na tej czerwonej plamie u pani nóg. Ale bałaś się, poznałem to po oczach, więc zaniechałem. Nie ruszyłem się z miejsca prosząc o to... nieprawdaż? Nie pokazałem nawet palcem na ten czerwony punkt, na różę na dywanie, skinąłem jeno głową... ot tak... Pani wie, o której róży mówię, ale boisz się i nie chcesz, bym się zbliżył. Nie pojmuję, jak mogłaś tak bezlitośnie nazwać mnie wariatem. Wszakże sama w to nie wierzysz... prawda? Pewnego razu w lecie, dawno już temu, byłem trochę szalony, pracowałem ciężko i ile razy zamyśliłem się zanadto, zapominałem o porze obiadowej. Trwało to dzień w dzień, powinienem był

pamiętać, a ciągle zapominałem. To prawda, jak Bóg na niebie! Niech się nie ruszę z tego miejsca, jeśli kłamię! Nie miała pani racji pogardzając mną, bowiem nie czyniłem tego z nędzy. Mam kredyt, znaczny kredyt u Ingebreta i Grawesena, często miewam też dużo pieniędzy i jedynie przez zapomnienie nie kupuję jedzenia. A pani nie mówi nic, nie odpowiada, nie rusza się od kominka? Pani czeka, bym sobie poszedł?

Zbliżyła się szybko. Wyciągnęła rękę i spojrzała podejrzliwie. Czy jej to przyszło lekko, czy może uczyniła tak, by się mnie pozbyć? Otoczyła mnie ramieniem, a oczy jej napełniły się łzami. Stałem patrząc. Podała mi usta, ja zaś wiedziałem na pewno, że jest to jeno ofiara, środek zakończenia wszystkiego.

Powiedziała coś, co brzmiało jakby: – Mimo wszystko kocham cię! – Ale powiedziała to tak cicho i niewyraźnie, żem się mógł przesłyszeć. Przycisnęła mi się silnie do piersi, zarzuciła oba ramiona na szyję, stanęła nawet na palcach, by lepiej sięgnąć, i czekała.

Pełen obawy, że zmusza się do tych objawów czułości, rzekłem tylko:

– Jakże pani teraz piękna!

Nie powiedziałem ani słowa więcej, cofnąłem się i wyszedłem idąc wstecz. Ona zaś została w pokoju.

## Rozdział 4

Nadeszła zima ostra, wilgotna, niemal bez śniegu. Niebo ciągle zasnuwały chmury i panowała czarna noc, pozbawiona rzeźwego wiewu. Na ulicach gaz świecił się niemal przez cały dzień, a mimo to ludzie potracali się we mgle o siebie. Głucho i grobowo tętniły w gęstym powietrzu wszystkie dźwięki: dzwony kościelne, janczary koni dorożkarskich, głosy ludzi i tętent kopyt. Mijały tygodnie, a pogoda nie zmieniała się wcale.

Mieszkałem stale w gospodzie dla przyjezdnych, gdzie mimo nędznego wyglądu znalazłem przytułek. Pieniądze wyszły mi dawno, a mimo to zachowywałem się, jakbym tu miał prawa jakieś i był u siebie. Gospodyni nie upominała się jeszcze, ale dręczyła mnie myśl, że nie mam czym zapłacić. Tak minęły trzy tygodnie.

Od wielu już dni próbowałem pisać, ale mi nie szło, tak że nie dokonałem niczego poważnego. Mimo większej niż kiedykolwiek pilności i pracy, podejmowanej w różnych porach dnia, nie mogłem podołać, szczęście odwróciło się ode mnie.

Mieszkałem w najlepszym pokoju gospody na pierwszym piętrze, usiłowałem pisać i nikt mi nie przeszkadzał. Trapiony chęcią zapłacenia za mieszkanie i uiszczenia innych należności, nie ustawałem. Zwłaszcza jeden artykuł budził we mnie dużo nadziei. Był to opis pożaru w księgarni, a ta alegoryczna i głęboka myśl miała być zapłatą dla „Komandora”. Chciałem go przekonać, że wspomógł człowieka z talentem. Nie wątpiłem, że tak się stanie, trzeba było tylko czekać na natchnienie. Mogło się zjawić przecież lada chwila. Nic nie stało na przeszkodzie. Codziennie dostawałem od gospodyni trochę jedzenia, rano i wieczorem po kilka kromek chleba z masłem, a moja nerwowość znikła prawie zupełnie. Nie potrzebowałem już przy pisaniu owijać rąk szmatami, mogłem patrzeć z piętra na ulicę bez zawrotu głowy. Powodziło mi się na ogół znacznie lepiej, toteż byłem zdumiony, czemu nie mogę skończyć alegorii. Nie pojmowałem, czemu tak jest.

Na koniec pewnego dnia dowiedziałem się, jak dalece zesłałem i jak niedołącznie i leniwie funkcjonuje mój mózg. Tego dnia gospodyni przyniosła mi rachunek prosząc, bym go przejrzał. Musiało coś być nie w porządku – powiedziała – gdyż nie zgadzał się z jej książką, nie mogła jednak znaleźć błędu.

Siadłem przy stole, a gospodyni naprzeciw mnie i patrzyła uważnie. Zliczyłem dwadzieścia pozycji od góry i od dołu, a sumy zgadzały się ze sobą. Spojrzałem na kobietę, czekającą orzeczenia, i zauważyłem, choć nie patrzyłem długo ani bystro, że była przy nadziei.

– Suma jest poprawna... – powiedziałem.

– Nie, proszę zbadać poszczególne pozycje... – odparła – nie może wynosić tyle, jestem pewna.

Zacząłem badać pozycje: dwa chleby po dwadzieścia pięć, szkiełko do lampy – osiemnaście, mydło – dwadzieścia, masło – trzydzieści dwa... Nie trzeba było nader bystrego umysłu, by przerachować ten kramarski wykaz bez żadnych zawikłań, ale chociaż czyniłem, co mogłem, nie potrafiłem znaleźć omyłki. Po kilku minutach zaczęło mi wszystko tańczyć w głowie, pomieszałem winien i ma i wreszcie utknąłem na pozycji: trzy i pięć szesnastek funta sera po szesnaście. Mózg mój odmówił zupełnie służby, patrzyłem głupawo na ów ser i nie wiedziałem, co robić. Powiedziałem tedy:

– Tu jest napisane pięć szesnastek funta sera. Na miły Bóg, czy ktoś widział coś takiego? O, proszę, niechże pani sama zobaczy!

– Tak – powiedziała gospodyni – tak się zazwyczaj pisze! Pięć szesnastek, czyli pięć łutów.

– Aha! Rozumiem teraz! – zawołałem, chociaż naprawdę nie rozumiałem nic a nic.

Zabrałem się ponownie do rachunku, który przed kilku miesiącami byłbym zliczył w minucie. Pociłem się, myślałem ze wszystkich sił nad tą tajemniczą liczbą, mrugałem oczyma, jakbym głęboko rozmyślał, ale w końcu zrezygnowałem. Tych pięć łutów dobiło mnie, czułem, że mi coś pęka w czole.

By jednak wywołać wrażenie, że pracuję dalej, ruszałem wargami, głośno powtarzałem liczby oraz przesuwalem ołówkiem, jakbym się zbliżał do rozwiązania. Gospodyni czekała, aż w końcu powiedziałem:

– Przeszedłem wszystko od początku do końca i widzę, że nie ma żadnej omyłki.

– Nie ma? – spytała. – Naprawdę nie ma? – ale czułem, że mi nie dowierza. W tonie jej słów zauważyłem coś jakby lekceważenie czy oschłość niebывałą przedtem. Powiedziała, że widać nie nawykłem liczyć szesnastkami, i dodała, że musi znaleźć znajęcego się na liczeniu, bo rachunek jest fałszywy. Nie chciała mnie zawstydząć, ale raczej mówiła z namysłem i powagą. Doszedłszy d#drzwi powiedziała:

– Przepraszam, że mam panu zająć czas!

Poszła.

Zaraz jednak otwały się drzwi i weszła znowu. Nie mogła dojść do końca korytarza, nim zawróciła.

– Zapomniałam... Proszę mi nie brać tego za złe, ale należy mi się coś od pana. Wczoraj minęły trzy tygodnie od czasu pańskiego przybycia. Niełatwa to rzecz utrzymać tak liczną rodzinę, toteż niestety nie mogę nikomu dawać mieszkania na kredyt...

Przerwałem jej mówiąc, że piszę artykuł, o którym przedtem już opowiadałem, a gdy go tylko skończę, otrzymam pieniądze.

– Ale pan nigdy nie skończy!

– Tak pani sądzi? O nie! Natchnienie może przyjść jutro albo nawet dzisiaj jeszcze. Nie jest wykluczone, że się zjawi w nocy, a wówczas wszystko będzie gotowe za kwadrans. Widzi pani, robota moja różni się od pracy innych ludzi. Nie mogę siadać i odrabiać codziennie pewnej ilości wierszy. Muszę wyczekiwać chwili, a nikt nie wie, kiedy się zjawi natchnienie... nikt tego nie wie...

Gospodyni wyszła, ale zaufanie jej było silnie podkopane.

Zostawszy sam, skoczyłem z krzesła i zacząłem sobie wrywać z rozpaczny włosy. Nie było dla mnie ratunku! Mój mózg zbankrutował! Czyż stałem się idiotą, który nie potrafi wyliczyć ceny kawałka sera? Nie... nie... mam rozum, skoro sam sobie zadaję tego rodzaju pytanie. Wszakże podczas rachowania spostrzegłem też najwyraźniej, że moja gospodyni jest w ciąży. Nie wiedziałem o tym poprzednio, nikt mi nie powiedział, ale zaobserwowałem wszystko najdokładniej sam podczas fatalnego boju z szesnastkami. Jakże sobie przeto wyjaśnić to wszystko?



Przystąpiłem do okna wychodzącego na Wognmandsgade. Na nędznej ulicy bawiło się kilkoro nędznie odzianych dzieci. Rzucały do siebie pustą flaszką i wrzeszczały. Powoli toczył się wóz meblowy. Była to zapewne jakaś wypędzona rodzina, bo czas normalnej przeprowadzki dawno minął. Przyszło mi to zaraz do głowy. Na wozie leżała pościel i meble: zżarte przez robactwo łóżka, komody, czerwone trójnogie stołki, maty, stare żelastwo i blacha. Na wierzchu siedziała dziewczynka, dziecko niemal jeszcze, z zasmarkanym nosem i trzymała się posiniałymi rękami, by nie spaść.

Siedziała na kupie obrzydliwych, mokrych materaców i spoglądała na malców rzucających flaszką...

Wszystko widziałem i rozumiałem bez żadnego trudu. Patrząc w ulicę posłyszałem śpiew mej gospodyni w kuchni, przylegającej do mego pokoju.

Znałem melodię i nastawiłem ucha, czy nie śpiewa fałszywie. Uświadomiłem sobie, że idiota nie mógłby tego wszystkiego zaobserwować. Byłem, Bogu dzięki, rozsądny jak każdy inny człowiek.

Nagle zauważyłem, że dwaj mali chłopcy z ulicy zaczynają się bić. Poznałem jednego, był to bowiem syn mej gospodyni. Chcąc ich usłyszeć otworzyłem okno i zaraz zebrała się kupka dzieci, spoglądających tęskliwie w moją stronę. Czy sądziły, że im coś rzucę? Suchy kwiat, kość, niedopałek cygara czy w ogóle coś, co by można włożyć do ust lub użyć do zabawy? Twarze ich były sine z zimna, a spojrzenia błagalne. Tymczasem dwaj zapaśnicy wiedli spór wyrzucając z dziecięcych ust słowa podobne oślizłym, paskudnym potworom, klęli się na wzajem używając wyrażen ulicznych, słów pochwyconych w spelunkach marynarskich w porcie, a obaj tak byli zajęci, że nie zauważyli gospodyni, która wybiegła zobaczyć, co się stało.

– Tak! – oświadczył synalek. – Złapał mnie za gardło i mała nie zadusił! – Zwracając się do młodego złoczyńcy, patrzącego nań szyderczo, wpadł w złość i wrzasnął: – Niech cię diabli porwą, ścierwo sobacze! Taki wszawy bękart łapie człowieka za gardło... Pokażę ja ci, jak Boga kocham!...

Żaś matka, ciężarna kobieta, wypełniająca brzuchem całą niemal wąską uliczkę, rzekła na to do dziesięcioletniego dziecka chwytając je za ramię:

– Cicho bądź! Stul pysk! Słyszę, że zaczynasz kląć. Masz jadaczkę tak wprawną, jakbyś przez lata chował się w burdelu... Marsz mi do domu!

– Nie pójdę!

– Marsz, powiadam!

– Ani mi się śni!

Stojąc przy oknie widziałem, jak gniew matki wzbierał, i ta wstrętna scena skłoniła mnie do tego, że zawołałem na chłopca, by przyszedł do mnie na chwilę. Wołałem dwa razy po to jeno, by zakończyć sprawę, a matka za drugim głośnym zawołaniem obejrzała się na mnie zdumiona. Ale zaraz odzyskała równowagę, zrobiła bezczelną minę i zwracając się do syna powiedziała głośno, bym usłyszał:

– Pfe! Wstydz się! Obcy ludzie widzą, jaki jesteś zły!

Nie uszło mej bacności nic, najdrobniejszy nawet szczegół. Śledziłem wszystko czujnie, wchłaniałem każdą okoliczność i rozmyślałem o nich po kolei. Rozum mój funkcjonował wtedy zupełnie należycie.

– Słuchaj no – powiedziałem nagle do siebie – dość już długo łazisz trapiąc się swym głupim rozumem, dość tych błazeństw! Czyż może być wariatem ten, kto obserwuje wszystko i dostrzega tak dobrze jak ty? Śmiać mi się chce z ciebie, jesteś komiczny chłop! Koniec końcem wiedz, że nieraz najmądrszy zasypie się w nader prostej sprawie. Ale to po prostu przypadek. Toteż śmiech mnie zbiera, gdy pomyślę o tym kramarskim rachunku, tych marnych pięciu szesnastych sera, i to sera biedaków, z pieprzem i goździkami... Ach, taki dumny ser największego mądrałę wprawilby w zakłopotanie... – Tak gadałem do siebie i drwiłem na potęgę z biednego sera. – Inaczej byłoby, gdyby mi dano coś przyzwoitego do jedzenia... na przykład... pięć szesnastek deserowego masła!

Śmiałem się kurczowo z własnych dowcipów, poweselałem i nabrałem pewności, że wszystko będzie w porządku.

Moja wesołość rosła wraz z gadaniną i wędrowaniem po pokoju. Rechotałem coraz głośniej i zaraz okazało się dowodnie, iż umysł mój potrzebował tej jednej chwili swobody i odpoczynku po troskach, by zaraz odzyskać swą sprężystość i zdolność do pracy.

Siadłem do mej alegorii i pisanie poszło mi wybornie... Komponowałem, jak dawno się nie zdarzyło, wprawdzie nie prędko, ale to, com stworzył, sam musiałem uznać za doskonałe.

Doszedłem do ważnego punktu w alegorii o pożarze w księgarni. Wydał mi się sprawą najważniejszą z całości. To nie paliły się książki, ale mózgi ludzkie. Umyśliłem rzecz ująć głęboko i urządzić z tymi płonącymi mózgami istną noc św. Bartłomieja. Nagle otwarto porywczo drzwi i zjawiła się gospodyni. Bez namysłu podeszła na środek pokoju.

Wydałem chrypliwy okrzyk, jakby spadł na mnie cios.

– Co? – spytała. – Pan coś zdaje się powiedział! Przybył gość i musimy mu oddać ten pokój. Może się pan dzisiaj przespać u nas na dole. Dostanie pan nawet osobne łóżko! – Tak powiedziała i zanim jeszcze zdobyłem się na odpowiedź, zaczęła zbierać i mieszać moje papiery.

Znikł cały wesoły nastrój. Rozgniewany, zrozpaczony wstałem i w milczeniu patrzyłem, jak gospodaruje. W końcu podała mi papiery.

Nie było rady, musiałem opuścić pokój, a w dodatku przepadł tak cenny moment! Już na schodach spotkałem nowego gościa. Był to człowiek młody, z wielkimi kotwicami wytatuowanymi niebiesko na wierzchach dłoni, a za nim szedł posługacz z wielką skrzynią okrętową na plecach. Przybysz był widocznie marynarzem, a więc przejezdnym na jedną noc tylko, nie mógł tedy długo zagrażać memu pokojowi. Może już jutro po jego odjeździe schwycę znów szczęśliwą chwilę. Do końca dzieła brakło najwyżej pięciu minut natchnienia. Trzeba się było pogodzić z losem.

Nie widziałem dotąd mieszkania moich gospodarzy, to jest jednej, jedynej stancji, gdzie dzień i noc przebywał mąż, żona, ojciec żony i czworo dzieci. Posługaczka spała w kuchni. Z wielką odrazą zapukałem do drzwi. Nikt nie odpowiedział, ale z wnętrza dolatywały głosy.

Gdym wszedł, gospodarz nie rzekł słowa, nie oddał mi pozdrowienia, spojrział jeno obojętnie, jakbym go nic nie obchodził. Grał w karty z pewnym człowiekiem, przezwanym „Szybką”, którego widziałem już w porcie. Niemowlę leżało na łóżku gaworząc ze sobą, a ojciec gospodyni siedział na pryczy z głową opartą na rękach, pochylony, tak jakby go bolały piersi lub brzuch. Był niemal siwy i w tej skurczonej pozycji przypominał zaczajone zwierzę, co siedzi strzygąc uszami.

– Niestety, muszę prosić o nocleg na dziś... – powiedziałem do gospodarza.

– Czy tak mówiła moja żona? – spytał.

– Tak jest, kto inny dostał mój pokój.

Nic nie rzekł i grał dalej.

Siedział tak dzień za dniem grając z każdym, kto przybył, o nic, byle tylko zabić czas i czymś zatrudnić ręce. Poza tym nie robił nic, a ruszał się tyle jeno, by przeciągnąć leniwe członki.

Za to żona biegła tam i z powrotem po schodach, krzątała się po wszystkich kątach, była wszędzie obecna i czyniła wysiłki, by zwabić przyjezdnych. Była nawet w porozumieniu z robotnikami i posługaczami portowymi płacąc pewne honorarium za każdego sprowadzonego gościa, a ponadto nocując ich, gdy chcieli. Właśnie dziś „Szybka” nastroczył jej lokatora.

Zjawilo się dwoje dzieci, dwie dziewczynki, chude, piegowate, o twarzach ulicznic, i w nędznej odzieży. Niedługo potem przyszła też gospodyni.

Spytalem, gdzie mnie pomieści na noc, a ona odparła, że mogę spać w izbie razem ze wszystkimi, albo, jeśli wolę, w przedpokoju na ławie. Mówiąc to krzątała się po izbie, grzebała w różnych rzeczach, porządkowała je, a na mnie nie patrzyła wcale.

Opadłem z sił wobec takiej odpowiedzi, stałem przy drzwiach skurczony pragnąc zajmować jak najmniej miejsca i udawałem nawet, że jestem zadowolony z tej zamiany na jedną noc. Umyślnie przybrałem wesołą minę, by nie drażnić gospodyni i nie zostać wypędzonym na ulicę. Powiedziałem tylko: – Jakoś to będzie! – i zamilkłem.

Ona chodziła dalej po stacji.

– Zresztą jak już mówiłam – dodała po chwili – nie jestem tak bogata, by dawać na kredyt mieszkanie i jadło!

– Oczywiście, droga pani! – odpowiedziałem. – Idzie tu o parę jeno dni, gdy skończę swą pracę, dodam pani najchętniej ponad należytość jeszcze całych pięć koron.

Zauważyłem jednak dobrze, że nie wierzy w mój artykuł, sprawiło mi to przykrość, ale nie mogłem unosić się dumą wiedząc, co mnie czeka w razie opuszczenia mieszkania.

Minęło kilka dni.

Mieszkałem dalej z całą rodziną, gdyż w przedpokoju bez pieca było zbyt zimno. Sypiałem we wspólnej izbie na podłodze. Młody marynarz nie zabierał się do opuszczenia mego pokoju. Pewnego dnia w południe gospodyni powiedziała, że zapłacił z góry za cały miesiąc. Przed odjazdem miał zamiar zdać egzamin na sternika i uczył się doń właśnie w mieście. Usłyszawszy to rozumiałem, że pokój przepadł.

Wyszedłem do przedpokoju i usiadłszy zacząłem mimo zimna pisać, gdyż było tu cicho i mogło mi się powieść. Porzuciłem już alegorię, gdyż przyszedł mi doskonały pomysł jednoaktowej sztuki „Znak krzyża” z czasów średniowiecznych. Bardzo plastycznie ująłem główną bohaterkę, wspaniałą fanatyczną kobietę, która oddawała się w kościele nie przez słabość, nie z żądzy, ale z nienawiści do Boga, i to u stóp ołtarza, biorąc mszał pod głowę i drwiąc zuchwale z nieba.



Postać ta zajmowała mnie coraz bardziej i na koniec miałem ją jak żywą przed sobą. Ciało miała okaleczone i wstrętne, była wysoka, chuda, smagła, a nogi jej, gdy szła, wyraźnie rysowały się pod spódnicą. Pociągał mnie potężnie jej bezwstyd i grzech wyrozumowany i nie mający granic. Opętała mnie po prostu ta poczwarna istota i wypełniła cały mój mózg. Pisałem przez całe dwie godziny.

Miałem już sporą ilość, może z dwanaście gotowych stron. Praca szła jednak opornie z długimi przerwami, tak że musiałem raz po raz drzeć całe arkusze. Zmęczony, skostniały z zimna wstałem, by przejść się po mieście. W dodatku krzyk dziecka nie pozwalał mi pisać w ciągu ostatniej pół godziny. Wyszedłem na Drammensvej i włączyłem się już do wieczora, rozmyślając nad dramatem. Nim wróciłem, wydarzyła mi się następująca przygoda.

Stałem przed wystawą trzewików w ulicy Karola-Jana, niedaleko placu Kolejowego i patrzyłem w okno. Nie myślałem wcale o tym, że właśnie potrzeba mi trzewików, ale przebywałem myślami zgoła gdzie indziej. Poza mną chodzili ludzie, ale nie słyszałem, co mówią. Nagle ktoś powiedział głośno:

– Dobry wieczór!

Był to znajomy o przywisku „Mamzer”.

– Dobry wieczór! – odparłem na pół przytomny. Przez dobrą chwilę nie mogłem go poznać.

– No, jakże się panu powodzi? – spytał.

– Bardzo dobrze... jak zwykle!

– Więc pan jest nadal u Christiego?

– Christiego?

– Wszakże pan sam mówił, że jest pan buchalterem u wielkiego przemysłowca, Christiego!

– O nie, to się skończyło. Nie mogłem się z nim zgodzić. Rzeszliśmy się.

– Z jakiegoż powodu?

– Napisałem raz coś fałszywie...

– Sfałszował pan?

Jak to? On myślał, że sfalszowałem księgi handlowe! Obrażony nie odrzekłem nic, a znajomy jął mnie pocieszać:

– To nic! To się może przydarzyć najporządniejszemu człowiekowi! – Był pewny, że jednak sfalszowałem.

– Cóż się to może przydarzyć najporządniejszemu... ha? – spytałem. – Niech no pan słucha... Sądzi pan tedy, że byłbym zdolny do takiej nieszczemności?...

– Wszakże pan sam to mówił...

Podniosłem dumnie głowę, odwróciłem się od niego i spojrzałem w ulicę. Zauważyłem czerwoną suknię. Jakaś dama szła przy boku mężczyzny w moją stronę. Gdyby nie znajomy i jego obraźliwe przypuszczenie, byłbym się nie obejrzał i czerwona suknia minęłaby mnie niepostrzeżenie. Cóż mnie to w gruncie rzeczy obchodziło? Mogła sobie mieć tę suknię nawet dama dworu, Nagłowa.

Znajomy mówił starając się naprawić swój błąd, ja zaś nie słuchałem zapatrzony w zbliżającą się czerwoną sukienkę. Byłem wzburzony, czułem lekkie ukłucie w piersiach i nie otwierając ust szepnąłem w myśli: – Ylajali!

Znajomy obrócił się także, spostrzegł parę i pozdrowił przechodzących oczyma. Ja nie pozdrowiłem ich wcale... a może zrobiłem to zupełnie mechanicznie. Czerwona sukienka przesunęła się dalej ulicą Karola-Jana i znikła.

– Któż to z nią szedł? – spytał znajomy.

– „Książę”, czyż go pan nie poznał? Lekarz tak przewany. Czy-pan zna ową damę?

– Trochę. A pan jej nie zna?

– Nie! – odrzekłem.

– Czemuż skłonił się pan tak nisko?

– Czyż możliwe? Kłaniałem się?

– Oczywiście! – zawołał znajomy. – Dziwna rzecz! Przez cały czas nie odwracała od pana oczu.

– Skąd pan ją zna? – spytałem.

Nie znał jej właściwie. Rzecz miała miejsce pewnego wieczoru w jesieni. Wyszli we trzech z „Grandu” w wesołym usposobieniu, spotkali ją późną godziną w pobliżu Kammermeyera i zagadnęli. Zrazu zachowywała się opornie. Ale jeden z nich, dziarski, na wszystko gotowy młodzik, spytał wprost, czy pozwoli się odprowadzić do domu, zaręczając, że jak jest napisane, włos jej z głowy nie spadnie. Chciał się tylko przekonać, czy bezpiecznie zajdzie do domu, gdyż inaczej nie mógłby spać przez całą noc. Mówił o różnych rzeczach, szli razem, przedstawił się jako fotograf Waldemar Altertag i w końcu doprowadził ją swoją junakierią i obojętnością na chłodne jej zachowanie do uśmiechu. Pozwoliła się odprowadzić.

– I cóż się dalej stało? – spytałem powstrzymując oddech.

– Co dalej? Ach, niech pan nie pyta – odparł – wszakże to porządna dama!

Milczeliśmy obaj przez chwilę, potem on rzekł zadumany.

– Hm... więc to „Księżę”? Tak wygląda? Wobec znajomości z tego rodzaju człowiekiem nie mógłbym jednak ręczyć za nią...

Milczałem. Oczywiście, coś tam było pomiędzy nią a „Księciem”... mniejsza z tym zresztą... cóż mnie to obchodzi. Życzyłem jej oraz jej wdziękom wszystkiego najlepszego i usiłowałem znaleźć pociechę w tym, że zacząłem przypisywać jej rzeczy najgorsze. Ściągnąłem ją po prostu w błoto. Martwiło mnie to, że pono zdjąłem przed tą parą kapelusz. Czemużem to uczynił? Nie było się nawet o co ubiegać, piękna nie była wcale, zwiędła w sposób widoczny. Może w istocie patrzyła jeno na mnie. Być może wzbudziła się w niej skrucha i to mnie uradowało, ale nie stanowiło jeszcze powodu, by padać przed nią na kolana i kłaniać się jak głupiec, zwłaszcza że w ostatnich czasach zbrzydła tak bardzo. Niechże „Księżę” ma ją sobie... smacznego! Przyjdzie niedługo dzień, kiedy dumnie przejdę obok niej nie spojrzawszy nawet. Uczynię to, choćby nawet miała czerwoną suknię i patrzyła na mnie znacząco. He... he... tak się może stać i będzie to mój triumf! Znałem się przecież i byłem pewny, że w ciągu tygodnia mogę skończyć dramat, a wówczas pokonam niezawodnie tę damę... wraz z wszystkimi jej wdziękami... tak... tak... z wszystkimi wdziękami!

– Do widzenia! – powiedziałem krótko znajomemu.

Ale zatrzymał mnie jeszcze pytaniem:

– Co pan robi po całych dniach?

– Co robię? Piszę! Cóż innego miałbym robić. Z tego żyję przecież. W tej chwili tworzę wielki dramat pod tytułem „Znak krzyża” z wieków średnich.

– Do kroćset tysięcy! – zawołał szczerze. – Jeśli się panu powiedzie, to wówczas...

– Czemu się nie ma powieść? – odpowiedziałem.

– Posłyszysz pan coś o tym za tydzień!

Pożegnałem go i poszedłem.

W domu zwróciłem się zaraz do gospodyni z prośbą o lampę. Zależało mi bardzo, jak mówiłem, na tej lampie, gdyż nie chciałem się kłaść spać mając zamiar pracować aż do rana. Prosiłem bardzo skromnie, gdyż spostrzegłem, że na mój widok zrobiła bardzo niezadowoloną minę. Powiedziałem jej, że jest to niezwykły dramat, który niewątpliwie zostanie wystawiony w którymś z teatrów, a brak kilku scen zaledwie. Ponowiłem potem prośbę o tę wielką przysługę...

Ale gospodyni nie miała lampy. Dumiała przez chwilę nie mogąc sobie przypomnieć o lampie, powiedziała w końcu, że jeśli chcę czekać do północy, to mogę wziąć lampę kuchenną, a wreszcie spytała, czemu sobie nie kupię świecy.

Zmilczałem. Nie miałem dziesięciu drów na świecę, a ona wiedziała o tym dobrze. Oczywiście, znowu wszystko musiało runąć. Posługaczka siedziała teraz we wspólnej izbie, a lampy w kuchni nie zapalano wcale. Rozważyłem to wszystko nic nie mówiąc.

Nagle dziewczyna powiedziała do mnie:

– Niedawno wrócił pan zdaje się z zamku? Czy pan tam był na obiedzie? – Roześmiała się z własnego dowcipu.

Siadłem, dobyłem papiery i postanowiłem spróbować pracować mimo wszystko. Patrzyłem ciągle w podłogę, by niczym nie rozrywać myśli i pisałem na kolanach. Ale nie szło mi. Weszły córki gospodyni i zaczęły hałaśliwie bawić się z kotem, dziwnie chorym, niemal całkiem bezwłosym stworzeniem. Dmuchały mu w oczy, tak że wypływały z nich łzy i spływały mu po nosie.

Gospodarz wraz z kilku znajomymi siedział przy stole i grał w karty. Gospodyni szła pracowicie jak zawsze. Wiedziała dobrze, że w tym chaosie nie mogę pisać, nie troszczyła się jednak o mnie, a nawet uśmiechnęła się słysząc wzmiankę służącej o mym rzekomym obiedzie na zamku.

Wszyscy zachowywali się wobec mnie wrogo. Zostałem uznany za natręta doznawszy hańby wyrugowania przez innego z pokoju. Drwiła ze mnie nawet służąca, ulicznica ciemnooka o czole zarosłym włosami i płaskiej piersi, wypytując, gdzie jadłem, gdyż nigdy nie widziała, bym szedł do „Grandu”. Znała oczywiście me smutne położenie i radowało ją, że może mi to dać do poznania.

Wszystkie te fakty uświadomiłem sobie na raz, tak że nie mogłem w ogóle ruszyć z dalszym ciągiem dialogu. Czyniłem daremne wysiłki, ale zaczęło mi dziwnie szumieć w głowie, tak że musiałem zrezygnować z pisania. Schowałem papiery do kieszeni i podniosłem oczy.

Dziewczyna siedziała tuż przede mną, widziałem jej pochylony grzbiet i dziecięce jeszcze, nierozrosłe ramiona. Nie wiadomo, dlaczego mnie napastowała. Cóż by jej szkodziło, gdybym jadał w zamku? Przed kilku dniami wyśmiewała mnie, ponieważ potknąłem się na schodach i rozdarłem surdut o gwóźdź. Wczoraj podjęła odrzucone kartki rękopisu, czytała wszystkim w izbie, przedrzeźniała i drwiła ze mnie. Nie zrobiłem jej nic złego i nigdy, o ile wiem, nie korzystałem z jej usług. Przeciwnie, sam sobie słałem na podłódze, by jej oszczędzić trudu. Drwiła z tego, że mi wypadają włosy. Znajdowała je rano w miednicy i śmiała się złośliwie. Moje trzewiki były w smutnym stanie, zwłaszcza ucierpiał jeden, zmiażdżony kołem wozu piekarza. Drwiła i z tego również. – Niech Bóg ma w opiece pana i pańskie trzewiki! – mówiła. – O, jakie ogromne, jak psia buda! – W istocie, były strasznie wydeptane i niekształtne, ale czyż mogłem sobie w tej chwili kupić inne?



Rozmyślałem nad tym wszystkim i dziwiłem się jawnej złośliwości dziewczyny, a tymczasem córki gospodyni zaczęły drażnić starca siedzącego na łóżku. Skakały dokoła niego zaabsorbowane całkiem tą zabawą. Każda miała w ręku źdźbło słomy i kłuła chorego w uszy. Przez chwilę siedziałem nie wtrącając się w to. Starzec nie czynił nic dla swej obrony, spoglądał tylko z wściekłością na dręczycielki i potrzasał głową, ile razy źdźbło utkwilo mu w uchu.

Drażniło mnie to coraz bardziej i nie mogłem odwrócić oczu. Ojciec patrzył znad kart, uśmiechał się do córek i zwracał uwagę graczy na ich zabawę. Czemuż starzec się nie ruszał, czemu nie odpędził dzieci rękami? Ruszyłem w stronę łóżka.

– Daj pan spokój! Dajże pan spokój! On sparaliżowany !  
– zawołał gospodarz.

Wróciłem na swoje miejsce bez słowa po prostu ze strachu, by nie podrażnić gospodarza interwencją. Czyż mogłem ryzykować mieszkanie i kromki chleba z masłem przez wtrącanie się w te sprawy rodzinne? Nie warto popełniać głupstw z powodu półmartwego starca! Siedziałem mając uczucie, że jestem wspaniale twardy, jak głąz.

Dziewczęta nie przestawały dręczyć swej ofiary. Gniewało je, że starzec rusza głową i kłudy go również po oczach i nosie. Patrzył na nie z wściekłością, a nie mógł ruszyć ręką. Nagle uniósł się trochę i plunął jednej z nich w twarz. Uniósł się ponownie i plunął w drugą, ale nie trafił. Na to zerwał się gospodarz, rzucił karty i przyskoczył do łóżka czerwony z gniewu.

– Stary wieprzu! Jak śmiesz pluć dzieciom w oczy!

– krzyknął.

– Na miłość boską! – zawołałem nie mogąc wytrzymać. –

Przecież one strasznie go dręczą!...

Bojąc się wyrzucenia na bruk wyrzekłem to niezbyt głośno, drżałem przy tym na całym ciele.

Gospodarz zwrócił się do mnie.

– A to co? – spytał. – Cóż, u diabła, masz pan tu do gadania? Stulże pysk i czyni, co ja mówię, będzie to dla pana najzdrowiej!

Teraz rozległ się głos gospodyni i cały dom zahuczał wyzwiskami.

– Zdaje się, jak mi Bóg miły, żeście wszyscy razem powariowali! – zawołała. – Jeśli wam miły dach nad głową, to siedźcież obaj cicho! Zapowiadam, to nie żarty! Ha... nie dość, że się hołocie daje jedzenie i mieszkanie, człowiek musi znosić jeszcze pyskowanie, bezczelność i cały sąd ostateczny?! Milczeć, powiadam! Cicho mi być zaraz! Stulcie gęby, dzieci, i obetrzyjcie nosy, bo inaczej sama to zrobię! Nie widziałam dotąd takich ludzi! Przyłazi to z ulicy bez öra na maść od wszy, rozbija się po nocy i robi kram w domu. Dość tego, powiadam! Może się wynosić natychmiast każdy, kto tu nie ma prawa być! Chcę mieć spokój we własnym mieszkaniu, wiedzcie to nareszcie!

Nie rzekłem słowa, siadłem tylko przy drzwiach i słuchałem zgiełku. Krzyczeli wszyscy, nawet dzieci, zaś służąca objaśniała, jak się wszystko zaczęło.

Nie doszłoby do tego, gdybym ja był milczał; wszystko minęłoby na pewno, gdybym się jeno nie był wtrącił. Cóż miałem w ogóle mówić? Wszakże była zima i zbliżała się w dodatku noc. Czyż to pora bić pięścią w stół i wybierać się na ulicę? – Nie! – powiedziałem sobie. – Nie róbże głupstw! – Siedziałem cicho i nie wychodziłem, chociaż mnie niemal wyrzucano. Z wielkim uporem gapiłem się na ścianę, gdzie wisiał oleodruk wyobrażający Chrystusa, i pomijałem milczeniem wybuchy gospodyni.

– Jeśli się pani chce mnie pozbyć – powiedział jeden z graczy – to nic nie stoi na przeszkodzie.

Wstał, a zaraz wstał też drugi.

– Nie ciebie się chcę pozbyć! – odparła. – I nie ciebie także. Już ja powiem, gdy przyjdzie co do czego, kogo mam na myśli. Tak, powiem... Pokaże się, kto to taki...

Mówiła z przerwami, miotała we mnie ciosy jeden po drugim przeciągając je jak należy, bym lepiej zrozumiał, że o mnie właśnie idzie. – Spokojnie! Spokojnie! – mówiłem sobie. – Nie kazała mi jeszcze iść precz, nie powiedziała tego wyraźnie, nie użyła właściwych słów, nie trzeba się unosić niewczesną dumą ani pychą... Cicho, sza!... – Ach, cóż za dziwne zielone włosy ma ten Chrystus na obrazie. Całkiem podobne do trawy... można by powiedzieć z wielką ścisłością, że wyglądają jak gęsta, zielona trawa. Jest to nader trafne spostrzeżenie... tak... tak... ogromnie gęsta trawa...

Błysło mi szybko kilka skojarzeń ideowych. Zaczęło się od trawy, potem wspomniałem słowa Pisma, że wszelakie życie jest jako trawa, która zostanie spalona... Dalej zauważyłem, że w dzień Sądu Ostatecznego wszystko spłonie, następnie zboczyłem ku trzęsieniu ziemi w Lizbonie, w końcu zaś zamajaczyło mi coś jakby hiszpańska spluwaczka z mosiądzu i hebanowa obsadka do piór, widziana u Ylajali. Ach, wszystko to było tak znikome! Zupełnie jak ta trawa, która zostanie podpalona! Skończy się czterema deskami i bielizną dla umrzyków... od panny Andersen ulica Wałowa, po prawej stronie...

Wszystko to wywróciło jednak zaraz koziołka w krytycznym momencie, w którym gospodyni postanowiła wygnać mnie precz.

– Nie słyszy! – zawołała. – Ma się pan wynosić, powiadam! Ten człowiek zwariował, przysięgam na Boga! Słyszy pan? Masz się wynosić, i to już, natychmiast!

Spojrzałem na drzwi, ale nie po to, by wyjść, przeciwnie, oładnęła mną zuchwała myśl. Gdyby był w drzwiach klucz, przekreśliłbym go i zamknął się wraz z wszystkimi, byle nie być zmuszony odchodzić. Uczułem histeryczny lęk przed znalezieniem się na ulicy. Ale klucz nie tkwił w zamku, wstałem tedy... nie było rady.

Naraz gospodarz zabrał głos i sprzeciwił się żonie. Stałem zdziwiony. Ten sam człowiek, który mnie przed chwilą zwymyślał, stawał teraz w mej obronie Powiedział:

– Nie wolno ci wyganiać ludzi na noc. Za to jest kara!

Nie byłem pewny, czy groziła za to kara, może zresztą było tak. Gospodyni podumała, uspokoiła się i przestała do mnie mówić. Położyła nawet przede mną dwie kromki chleba z masłem na kolację, ale nie przyjąłem ich z czystej wdzięczności dla gospodarza oświadczywszy, że jadłem w mieście.

Gdym się udał na nocleg do przedpokoju, przyszła do mnie gospodyni, stanęła w progu, wystawiła swoje ogromne brzuszysko i powiedziała głośno:

– Wiedz pan jednak, że śpisz tu ostatnią noc! Proszę pamiętać!

– Tak, tak... – odparłem.

Na pewno, myślałem, znajdę sobie jutro jakieś schronisko, gdy się jeno wezmę do rzeczy serio. Na razie byłem bardzo rad, że nie muszę iść.

Spałem do piątej czy szóstej. Nie było jeszcze całkiem jasno, ale zaraz wstałem. Z powodu zimna spałem w ubraniu, byłem więc całkiem gotów do drogi. Napiliśmy się wody, otworzyłem cicho drzwi i wyszedłem prędko z obawy spotkania gospodyni.

Jedyną żywą istotą na ulicy był policjant, pełniący służbę nocną, po chwili kilku ludzi zaczęło gasić latarnie gazowe. Włóczyłem się bez celu, znalazłem się w ulicy Katedralnej i ruszyłem w dół, ku twierdzy. Przemarży, zaspany, z obolałymi kolanami i grzbietem, znużony daleką wędrówką, a nade wszystko bardzo głodny siadłem na ławce i zdrzemnąłem się na dobrą chwilę. Przez trzy tygodnie żyłem wyłącznie chlebem z masłem, który rano i wieczorem dawała mi gospodyni, a teraz minęła właśnie doba od ostatniego posiłku. Gryzło mnie w żołądku, musiałem koniecznie znaleźć jakąś radę. Powziąwszy to postanowienie zasnąłem ponownie na ławce.

Ktoś tuż obok mnie głośno przemówił i to mnie zbudziło. Otrząsnąwszy się spostrzegłem, że jest już jasny dzień, że wszyscy na nogach, wstałem przeto i poszedłem. Słońce świeciło przez rzadkie chmury, niebo było białe i lśniące, toteż rozradowany pogodą po tylu ciemnych tygodniach zapomniałem o troskach i pocieszyłem się myślą, że nieraz było mi dużo gorzej. Uderzyłem się po piersiach i zanuciłem jakąś piosenkę. Ale głos mój brzmiał ochryple, taki był zmieniony, że mnie to do łez rozczuliło. Także Wspaniały dzień i białe, promieniujące światłość niebo podziały na mnie silnie i omal nie wybuchnąłem głośnym szlochem.

– Co panu jest? – spytał jakiś mężczyzna.

Nie odpowiedziałem, odszedłem tylko kryjąc twarz przed ludźmi.

Dotarłem do spichrzów portowych. Przy brzegu stała duża barka z rosyjską flagą i wyładowywała węgiel. Z boku widniała jej nazwa: „Kopegoro”. Przez jakiś czas obserwowałem z zaciekawieniem, co się działo na pokładzie tego cudzoziemskiego statku. Pozostało już widocznie niewiele ładunku, bo linia zanurzenia wystawała mimo zwykłego balastu jakieś dziewięć stóp ponad wodę, a pomost dudnił głucho pod ciężkimi butami robotników znoszących węgiel.

Słońce, światło, słony powiew morza, wesoły ruch wokoło orzeźwiły mnie na nowo i wprawiły krew w szybszy obieg. Nagle przyszło mi na myśl, że mógłbym może napisać tu kilka scen mego dramatu i dobyłem papiery.

Chciałem sformułować replikę mnicha, przepojoną na wskroś nietolerancją, ale mi się nie powiodło. Pominąwszy mnicha zacząłem komponować mowę sędziego, skierowaną do kobiety, która zhańbiła dom boży. Napisawszy pół kartki ustałem. W mych słowach nie było właściwego ducha. Ruch panujący tutaj, przyśpiewki, łoskot bloków i nieustanny brzęk łańcuchów, wszystko to nie godziło się z otępiałym, zmurszałym średniowieczem, obejmującym całość akcji ponurym nastrojem. Zebrałem papiery i wstałem.



Mimo to ruszyłem z pracą naprzód i miałem pewność, że ją dokończę, byle mi coś nie przeszkodziło znowu. Gdzież znaleźć spokojny kącik? Rozwahałem to stojąc pośrodku ulicy i nie mogłem wyszukać w całym mieście odpowiedniego miejsca, by bodaj przez krótki czas móc pracować. Nie było innej rady jak wracać do „pokojów dla przyjezdnych”. Wiłem się wprost na tę myśl, powtarzałem sobie, że nie wypada, ale mimo to szedłem przed siebie zbliżając się ciągle do zabronionego miejsca. Zaiste, była to nikczemność, przyznawałem szczerze, był to wielki bezwstyd, szkaradny, ale cóż miałem zrobić? Nie czułem cienia zarozumiałości, mogłem zaręczyć, że jestem najmniej zarozumiałym człowiekiem swego czasu. I szedłem wciąż dalej.

Zatrzymałem się u bramy niepewny, co czynić. Niech się dzieje, co chce... musiałem się wziąć na odwagę. Zresztą szło o drobnostkę, o kilka może jeno godzin... potem zaś niech mnie Bóg broni, bym miał w tym domu szukać przytułku. Wszedłem na podwórze. Idąc po wyboistych kamieniach byłem jeszcze niezdecydowany i omal nie zawróciłem od samych drzwi. Zaciąłem zęby. Precz z fałszywą dumą! W najgorszym razie mogłem się wymówić tym, że przybyłem, by się pożegnać przyzwoicie i ułożyć sprawę zapłaty mojego niewielkiego długu. Otwarłem drzwi do przedpokoju.

Nagle stanąłem jak skamieniały. Tuż przed sobą, o dwa kroki zobaczyłem gospodarza. Nie miał surduta ani kapelusza i zaglądał przez dziurkę od klucza do izby mieszkalnej. Gestem nakazał milczenie i podglądał dalej śmiejąc się ustawicznie.

– Chodź pan tu! – szepnął mi.

Zbliżyłem się na palcach.

– Spójrz no pan! – powiedział i buchnął silnym, porywczym śmiechem. – Spójrz pan! Leżą tam... hi... hi... hi... Patrz pan na starego... Czy pan go widzisz?

W łóżku, tuż pod oleodrukiem wyobrażającym Chrystusa ujrzałem dwie osoby – gospodynię i młodego kandydata na sternika. Nogi ich odcinały się biało na ciemnej pierzynie. A po drugiej stronie, pod ścianą, siedział ojciec, sparaliżowany starzec, pochylony jak zawsze, skulony, niezdolny do wykonania ruchu...

Obróciłem się do gospodarza. Czynił ogromne wysiłki, by się nie roześmiać głośno. Ścisnął palcami nos.

– Widziałeś pan starego? Czyś go pan widział? Siedzi i przygląda się! – powiedziawszy to nachylił się i znów patrzył.

Podszedłem do okna i usiadłem. Widok ten przewrócił mi niemiłosiernie wszystkie myśli i zniweczył podniosły nastrój. Zresztą cóż mnie to obchodzi, myślałem. Jeśli mąż nie tylko się godzi, ale nawet bardzo się z tego raduje, co się dzieje, to cóż mi to może szkodzić? A starzec... to wszakże tylko starzec. Widywał pewnie nieraz to samo... może zasnął... Bóg jeden wie... może nawet umarł już? Nie dziwiłbym się nawet, gdyby siedział umarły, i nie miałbym z tego powodu wyrzutów sumienia.

Dobyłem papiery starając się wyzbyć myśli nie mających łączności z tematem. Utknąłem w środku mowy sędziego: „...Nakazuje mi Bóg i prawo, nakazuje rada mądrych ludzi, nakazuje mi własne sumienie...” Spojrzałem w okno dumając, co mu mogło nakazywać sumienie. Z izby dolatywał jakiś słaby głos. Ach, to nie moja rzecz... Starzec zresztą nie żyje, pewnie zmarł rano, około czwartej. Zgoła obojętne było mi znaczenie tego odgłosu, czemuż tedy myślałem o nim? Cicho, sza!

„Nakazuje mi własne sumienie...”

Ale wszystko się przysięgło przeciw mnie. Gospodarz nie stał spokojnie przy dziurce od klucza, od czasu do czasu śmiał się z cicha, widziałem, jak się trzęsie, a także na ulicy działo się niejedno, co mi rozpraszało myśli. Na przeciwległym chodniku siedział mały chłopak i grzejąc się na słońcu, zabawiał się niewinnie zwijaniem dwu kawałków papieru nie zważając nikomu. Nagle skoczył i zaczął kląć. Cofnął się na środek ulicy i zobaczył mężczyznę, który wychylił się z okna pierwszego piętra i napluł mu na głowę.

Malec wył ze złości i klął bezsilnie, patrząc w okno, zaś rudobrody śmiał mu się w nos. Trwało to z pięć minut. Obróciłem się, by nie widzieć, jak chłopak płacze.

„Nakazuje mi własne sumienie... by...”

Ani rusz dalej. Zaczęły mi latać czarne płatki przed oczyma, a jednocześnie uczułem, że wszystko, com napisał, jest ostatnim głupstwem. Jakże mówić o sumieniu w wiekach średnich, skoro sumienie odkrył dopiero nauczyciel tańca, Szekspir? Cała mowa była tedy nonsensem. W całym rękopisie nie było nic rozsądnego! Przebiegłem go oczyma i zaraz znikły wątpliwości. Przekonałem się, że stworzyłem doskonale ustępy, a całe partie były wprost przedziwne. Uczułem ponowny przypływ zapału i postanowiłem wbrew wszystkiemu doprowadzić rzecz do końca.

Wstałem i ruszyłem ku drzwiom nie zważając na gesty wściekłości gospodarza. Zdecydowany zupełnie wyszedłem do sieni i udałem się schodami na pierwsze piętro do mego dawnego pokoju. Nie było tu marynarza, nic mi tedy nie przeszkadzało posiedzieć chwilę. Nie miałem zamiaru ruszać jego rzeczy, nie chciałem nawet używać stołu, poprzestałem jeno na stołku pod drzwiami... Rozłożyłem szybkim ruchem papiery na kolanach.

Przez kilka minut szło mi wyśmienicie. Replika za repliką jawiła się gotowa w mej głowie, tak że pisałem bez ustanku. Mnożyły się kartki, jechałem pełną parą skomląc z lekka z zachwytu nad własnym natchnieniem i nie wiedząc, co się wkoło dzieje. Słyszałem jeno własne skomlenie. Wpadł mi doskonały efekt z dzwonem kościelnym, który umyśliłem wprowadzić w danym momencie. Wszystko szło jak najlepiej.

Nagle usłyszałem kroki na schodach. Zadrżałem i doznałem ogromnego wzburzenia. Siedziałem jak na węglach trwożny, czujny, bojąc się wszystkiego, a przy tym nękanym głodem. Nasłuchiwałem z ołówkiem w ręku, niezdolny do pisania. W końcu otwarły się drzwi i weszła para z izby na parterze.

Zanim jeszcze zdążyłem wyrzec kilka słów przeproszenia, gospodyni zawołała, jakby zobaczyła ducha:

– Boże, bądź miłościw! Boże, ratuj! On tu siedzi, widzę, znowu?

– Proszę wybaczyć! – powiedziałem nie wiedząc, co rzecz dalej.

Gospodyni otworzyła na ścieżaj drzwi i wrzasnęła:

– Jeśli pan się nie wyniesie natychmiast, jak mi Bóg miły, wezwę policję!

Wstałem.

– Chciałem się jeno pożegnać... – bąknąłem – i musiałem na panią czekać. Nie tknąłem niczego, siedziałem tylko na stołku...

– Nic nie szkodzi... – powiedział marynarz. – Cóż, u licha, zrobił złego? Daj mu pani pokój!

Zeszedłszy ze schodów uczułem wielki gniew na tę oto grubą, napuchłą babę, która mi następowała na pięty chcąc przynaglić do odejścia. Stałem, a na usta cisnęły mi się okropne klątwy, którymi chciałem ją obrzucić. Ale rozmyśliłem się z wdzięczności dla młodego marynarza, który szedł za nią i mógł usłyszeć. Gospodyni ściagała mnie ciągle i wyzywała na wszelkie sposoby, a za każdym jej krokiem gniew wzbierał.

Zeszliśmy na podwórze. Kroczyłem powoli dumając, czy nie należałoby rozprawić się z jędzą. W tej chwili ogarnięty pasją zamierzałem dokonać krwawej zemsty, chciałem ją położyć trupem uderzeniem pięści lub kopnięciem w brzuch. Nagle zobaczyłem w bramie posługacza. Zbliżył się i skłonił, ale ja nie odpowiedziałem na pozdrowienie. Zwrócił się do gospodyni i usłyszałem, że pyta o mnie, ale nie obróciłem się.

Posługacz dogonił mnie kilka kroków za bramą, pozdrowił znowu i zatrzymał podając list. Rozerwałem gwałtownie kopertę i zobaczyłem banknot dziesięciokoronowy. Prócz tego nie było nic.

Spojrzałem na oddawcę i spytałem:

– Co za głupie żarty? Od kogóż to?

– Nie wiem – odparł – jakaś dama poleciła oddać panu kopertę.

Stałem w milczeniu, a posługacz odszedł. Włożyłem banknot z powrotem w kopertę, zmiąłem wszystko razem w jedną kulę, zawróciłem do gospodyni, patrzącej jeszcze za mną i cisnąłem jej zwitek w twarz. Nie powiedziałem nic, nie wyrzekłem jednego słowa, zauważyłem jeszcze przed odejściem, że obejrzała rzucony papier.

To się zwie postąpić wspaniale! Nic nie mówić, nie odzywać się do kanalii, tylko zmiąć wielki banknot i cisnąć prześladowcy pod nogi. To postępek pełen godności... nieprawdaż? Tak zawsze trzeba traktować to bydło!...

Gdym doszedł do rogu Tomtestraede i placu Kolejowego, ulica zaczęła mi się nagle kręcić w oczach, zahuczało mi w głowie i padłem na ścianę kamienicy. Nie mogłem już iść dalej ani stanąć prosto na nogach. Pozostałem w pozycji, w jakiej padłem i poczułem, że tracę zmysły. Wściekłość wzrosła jeszcze przez świadomość bezsiły, podniosłem nogę i zacząłem tupać gwałtownie. Próbowałem różności, by przyjść do siebie, zaciskałem zęby, marszczyłem czoło, przewracałem oczyma i... w końcu pomogło jakoś. Rozjaśniło mi się w głowie, zrozumiałem, że zaczynam konać. Wyciągnąłem ręce i odepchnąłem się od ściany. Ulice tańczyły jeszcze przede mną. Zacząłem płakać ze złości, toczyłem mocarny bój ze słabością i dokonałem tego, że nie upadłem. Chciałem umrzeć stojąco. Opodal siebie ujrzałem dwukołowy wóz towarowy pełen ziemniaków, widziałem, że to ziemniaki, ale powiedziałem sobie ze wściekłości i uporu, że to kapusta, i uroczyście przysięgłem, że tak jest oczywiście. Słyszałem dobrze, co mówię, ale ustawicznie zaprzysięgałem to kłamstwo, by doznać miłego uczucia, że dopuszczam się ordynarnego krzywoprzysięstwa, by poić się tym niesłychanym grzechem. Podniosłem trzy palce i drżącymi wargami przysięgałem w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego... że to kapusta!



Czas mijał. Siadłem na jakichś schodach, otarłem pot z czoła i karku, wciągnąłem haust powietrza i zmusiłem się do spokoju. Słońce zaczęło zstępować, miało się ku wieczorowi. Dumiałem nad położeniem, głód stał się wprost bezwstydnym, a za parę godzin miała nadejść noc. Trzeba było obmyśleć coś zawczasu.

Krążyłem przez jakiś czas w dumaniach koło „pokojów dla przyjezdnych”, skąd mnie wygnano. Nie chciałem tam wracać, a myśleć musiałem nadal. Gospodyni wykonała jeno swoje prawo. Jakże mogła tolerować kogoś, kto nie płacił? Dawała mi ponadto jeść, a wczoraj jeszcze poczęstowała mnie z dobroćmi dwoma kromkami, gdyż wiedziała, że mi tego potrzeba. Nie mogłem się przeto na nic uskarżyć, siedząc teraz na schodach uczułem wielki żal i jąłem przeproszać za swe postępowanie. Żałowałem zwłaszcza, że się okazałem niewdzięczny i rzuciłem jej w twarz dziesięć koron.

Dziesięć koron! – gwizdnąłem głośno. Skądże jednak pochodził list wręczony przez posługacza? Teraz dopiero pomyślałem nad tym jasno i zaraz zrozumiałem całą rzecz. Pełen bólu i wstydu potrząsając głową wyrzekłem kilka razy ochryłym głosem: – Ylajali!

– Wszakże wczoraj dopiero postanowiłem przejść obok niej dumnie w razie spotkania i okazać zupełną obojętność. Miast tego pobudziłem jeno jej litość i wyłudziłem zapomogę. Ach, kiedyż się skończy mój upadek? Nawet wobec niej nie mogłem się zachować przyzwoicie; spadałem, spadałem pod każdym względem i zawsze, gdziekolwiek się zwróciłem, padałem na kolana, tonąłem w fali bezczelności i nie było sposobu wynurzyć się na powierzchnię. Trudno o większą hańbę! Jakżeż mogłem przyjąć jałmużnę i nie oddać jej tajemniczemu dobroczyńcy, jak śmiałem chwycić oburącz podany sobie grosz i użyć go na opłatę mieszkania mimo wewnętrznego wstrętu?...

Czyżby nie dało się uzyskać w jakiś sposób owych dziesięciu koron? Nie sposób chyba iść i żądać zwrotu od gospodyni. – Musi się znaleźć – powiedziałem sobie – jakiś sposób, byle porządnie pomyśleć. – Nie starczyło tu zwykłego myślenia, należało wytężyć się tak, by czuć to w całym ciele. I uczyniłem ten wysiłek.

Było około czwartej i gdybym miał skończony dramat, mógłbym jeszcze dziś udać się do dyrektora teatru. Dobyłem rękopis i wziąłem się na gwałt do kilku ostatnich scen. Myślałem, pocilem się, czytałem od początku, ale nie mogłem ruszyć. Tylko bez głupstw i uporu! – Tak sobie powiedziałem i jąłem pisać bez namysłu, utrwalając niezwłocznie, co mi tylko wpadło, byle dobić do końca. Wmawiałem w siebie, że przyszła wielka chwila natchnienia, okłamywałem się i zwodziłem jawnie, pisałem dalej, jakby mi nie trzeba było szukać słów. – To doskonałe! To istny skarb!... Zapisz to zaraz! – tak szeptałem raz po raz.

W końcu jednak ostatnie repliki wydały mi się podejrzane, odbijały zbyt jaskrawo od poprzednich, poza tym w słowach mnicha nie było ducha średniowiecza. Rozgryzłem ołówek, zerwałem się, potargałem rękopis kartkę za kartką, potem zaś rzuciłem kapelusz na ulicę i zacząłem po nim deptać. – Przepadłem! – szeptałem do siebie. – Panowie i panie... przepadłem z kretesem! – Powtarzałem te słowa tańcząc ciągle po kapeluszu...

Na koniec zauważyłem, że o kilka kroków dalej stoi policjant i obserwuje mnie. Stał pośrodku ulicy i patrzył wyłącznie na mnie. Odrzuciłem wstecz głowę i spojrzenia nasze spotkały się. Musiał mnie już od dłuższego czasu obserwować. Wziąłem kapelusz, wsadziłem go na głowę i podszedłem doń.

– Czy wie pan, która godzina? – spytałem.

Przez chwilę stał nie odwracając ode mnie oczu, potem dobył zegarek i rzekł:

– Dochodzi czwarta.

– To prawda! – zawołałem. – Zupełna prawda! Widzę, że pan zna się na swoich obowiązkach... nie zapomnę o panu!

To powiedziawszy odszedłem, on zaś niezmiernie zdziwiony został z otwartą gębą i zegarkiem w ręku. Doszedłszy do „Royalu” obróciłem się i zobaczyłem, że stoi dalej w tej samej pozycji i gapi się na mnie.

– He... he... – powiedziałem głośno. – Tak należy traktować bydło! Z całą bezczelnością! To imponuje, to przeraża bydło... – Uczułem wielkie zadowolenie z siebie i zanuciłem piosenkę. Owładnięty wzburzeniem nie czując bólu ani żadnej niedyspozycji przeszedłem lekki jak piórko cały plac Targowy i siadłem pod kościołem Zbawiciela na ławce.

Wydawało mi się teraz zupełnie obojętne, czy odeślę owe dziesięć koron, czy też nie! Dostałem je, były tedy moje, a ofiarodawca nie ucierpiał przez to wcale. Wszakże były wyraźnie skierowane do mnie, a nie mogłem ich zostawić posługaczowi. Ponadto nie wypadało zwracać innego banknotu jak tylko otrzymany. Nie było tedy rady.

Usiłowałem obserwować ruch na placu i zająć myśli rzeczami obojętnymi, ale nadaremnie. Nie schodził mi z myśli ten banknot. W końcu zacisnąłem ze złości pięści. Po cóż odsyłać? Dotknęłoby ją to. Czyż miałem zawsze robić minę pyszałka lepszego ponad wszystko, potrząsać głową i odmawiać? Do czegoż to prowadzi? Oto znów jestem na ulicy. Mając najlepszą sposobność zatrzymania ciepłego mieszkania, uniesiony dumą wpadłem za pierwszym słowem w pasję, rzuciłem w prawo i lewo po dziesięciokoronówce i porwawszy się poszedłem sobie precz! Odbyłem nad sobą ostry sąd z powodu porzucenia przytułku i postawienia się w trudnej sytuacji.

Zresztą napłuć na wszystko! Nie prosiłem o tych dziesięć koron, dotknąłem ich zaledwie, potem zaraz dałem obcym, zgoła obcym ludziom, których już nigdy nie zobaczę. Taki już jestem... płacę wszystko do ostatniego grosza, jeśli przyjdzie płacić.

Znałem Ylajali na tyle, by wiedzieć, że nie żałuje pieniędzy, po cóż tedy siedziałem tu i użerałem się sam z sobą? Mogła chociaż tyle dla mnie uczynić, by mi od czasu do czasu posłać dziesięć koron. Wszakże dziewczyna była we mnie zakochana, na śmierć zakochana... niezawodnie! Pomyślawszy to nadałem się wielce. Tak, to nie ulega kwestii, że była po uszy zakochana... ta biedna dziewczyna!

Wybiła piąta. Po długim podnieceniu przyszedł opad sił i znowu uczułem szum i pustkę w głowie. Spojrzałem przed siebie w powietrze, potem zaś w stronę „Apteki pod Słońcem”. Głód mnie żarł i cierpiałem bardzo. Siedziałem gapiąc się w niebo, po chwili zamajaczyła mi przed oczyma jakaś postać, potem zaś wyraźnie zobaczyłem i poznałem pod apteką ciastkarę.

Drgnąłem, wyprostowałem się i zacząłem myśleć. Tak... tak... wszystko w porządku, to ta sama kobieta, przy tym samym stole i na tym samym miejscu. Gwizdnąłem kilka razy, strzepnąłem palcami, wstałem i podszedłem do apteki. – Tylko bez głupstw! – Nic mnie teraz nie obchodziło, czyją własnością były owe srebrne kongoperskie monety... Nie powinno się przesadzać w dumie, może to bowiem przyprawić o śmierć...

Zbliżyłem się do narożnika, wycelowałem wprost na przekupkę i stanąłem przed nią. Uśmiechnąłem się, skinąłem głową jak znajomy i zacząłem w ten sposób, jakby mój powrót musiał jej się wydawać naturalny.

– Dobry wieczór! – rzekłem. – Widzę, że mnie pani nie poznaje?

– Nie! – odparła z wolna, patrząc na mnie.

Uśmiechnąłem się ponownie jakby uradowany jej doskonałym żartem, że niby to mnie nie poznaje, i powiedziałem:

– Musi pani chyba pamiętać, że przed jakimś czasem wręczyłem kilka koron. Wówczas, o ile wiem, nie powiedziałem nic, taki bowiem już mam zwyczaj. Mając do czynienia z porządnymi ludźmi nie potrzeba za każdą drobnostką spisywać kontraktów... He... he... nieprawdaż... Tak, to ja dałem pani pieniądze!

– To pan? Ach, prawda, teraz poznałam pana doskonale... Gdy o tym pomyślę...

Nie chcąc dopuścić do tego, by mi dziękowała za dar, spuściłem oczy na dół szukając czegoś dla siebie i powiedziałem:

– Teraz przyszedłem po swoje ciastka.

Nie zrozumiała.

– Przyszedłem zabrać sobie kupione swego czasu ciastka... czyli część ich... pierwszą ratę... nie potrzebuję dziś wszystkiego...

– Przyszedł pan po ciastka? – spytała.

– Oczywiście, przyszedłem! – zawołałem ze śmiechem, by zrozumiała tę prostą rzecz, że przyszedłem. Wziąłem też zaraz coś w rodzaju chlebowego piernika i zacząłem jeść.

Zobaczywszy to przekupka zerwała się z siedzenia w głębi straganu, zaczęła machać rękami dla obrony swej własności i dawać mi do poznania, że nie spodziewała się mego powrotu w celach rabunkowych.

– Jak to, nie? – spytałem. – Niezrównana z pani kobieta. Czyż zdarzyło się, by ktoś dał na przechowanie moc pieniędzy, nie zgłaszając się potem po nie Z Ano, widzi pani! Może pani myśli, że to były pieniądze kradzione? Pewnie nie, i bardzo słusznie! Jest to, że tak rzekę, wielka uprzejmość z pani strony, że uważa mnie pani za człowieka uczciwego... Ha... ha... to naprawdę coś niezwykłego!

Spytała, z jakiego powodu dałem jej pieniądze.

Wyjaśniłem głosem przyciszonym, ale z naciskiem, że przywykłem do tego rodzaju postępowania, albowiem uważam wszystkich ludzi za dobrych. Ile razy ktoś mi proponuje pokwitowanie czy umowę, potrząsam głową i mówię. – Nie... dziękuję! – Świadczę się Bogiem, że tak jest.

Ale przekupka nie rozumiała jeszcze.

Jąłem się innych środków, zacząłem mówić ostro i zastrzegłem się przed głupstwami. Spytałem, czy nikt w ten sposób nie dał jej dotąd zaliczki.

– Mam na myśli – rzekłem – ludzi zamożnych, na przykład konsulów... nie... nigdy? Nie moja wina, że tego rodzaju postępowanie jest pani obce. Za granicą zawsze się tak robi. Pewnie nie przekroczyła pani nigdy granic państwa. Nie? A otóż to właśnie! Dlatego nie może pani zabierać głosu w tej sprawie... – mówiąc to wziąłem kilka ciastek ze stołu.



Mruczała ze złości, wzbraniała się wydać mi towar, a nawet wyrwała z ręki ciastka i położyła na poprzednim miejscu.

Rozgniewany uderzyłem w stół i zagroziłem policją. Zaraz jednak zmiękłem i oświadczyłem tylko, że jeśli mi nie wydała co moje, mogę ją zniszczyć całkiem, bowiem dałem jej swego czasu moc pieniędzy, ale nie będę nastawał i zadowolę się połową należności. Poza tym nie przyjdę już powtórnie, nie, broń Boże, nie przyjdę, przekonałem się, jak jest niedobrą kobietą.

Na koniec podsunęła mi kilka ciastek, cztery czy pięć, nałożywszy bezwstydną, jak tylko mogła najwyższą cenę, poleciła mi zabrać je i wynosić się.

Zacząłem się kłócić twierdząc, że mnie oszukuje co najmniej o koronę, a w dodatku kładzie lichwiarską cenę. Spytałem, czy wie, jaka za to grozi kara.

– Możesz się dostać na całe życie do więzienia, ty stara łupo! – zawołałem. Rzuciła mi jeszcze jedno ciastko i zgrzytając niemal zębami poprosiła, by jej już dać spokój.

Odszedłem.

Ha... tak nikczemnej przekupki nie widziałem dotąd! Szedłem przez plac, pożerałem ciastka, przez cały czas mówiłem głośno o tej babie, jej bezczelności, i powtórzywszy niemal dosłownie cały dialog doszedłem do przekonania, że zwyciężyłem. Jadłem na oczach wszystkich ludzi ciastka i nie przestawałem mówić.

Ciastka nikły jedno po drugim, nie doznawałem skłonności do wymiotów mimo nadmiaru, byłem ogłodzony do cna. Oby tylko nie trzeba było oddać! Chłonałem tak chciwie jedzenie, że omal nie pożarłem ostatniego ciastka, przeznaczonego z góry dla malca, którego opluł rudobrody w Wognmandsstraede.

Nie mogłem zapomnieć miny chłopca w chwili, gdy się zerwał, zaczął kląć i płakać. Obrócił się także ku memu oknu, by zobaczyć, czy i ja się z niego śmieję... Bóg raczy wiedzieć, czy go zastanę o tej porze. Z wysiłkiem i możliwie szybko dążyłem ku Wognmandsstraede, minąłem miejsce, gdzie potargałem dramat i gdzie leżało jeszcze kilka kartek, obszedłem z dala policjanta, którego zadziwiłem niedawno swym zachowaniem, i dotarłem w końcu do bramy, gdzie siedział chłopiec.

Nie było go, ulica świeciła pustką, ciemno się przy tym zrobiło, nie zobaczyłem też malca, który musiał już wrócić do domu. Ostrożnie położyłem ciastko, oparłem je o drzwi, zastukałem silnie i odbiegłem prędko. Znajdzie je niezawodnie, pomyślałem, gdy tylko wyjdzie. Oczy mi napęłniły łzy głupiej radości, że dziecko znajdzie przysmak.

Wróciłem do portu.

Nie byłem już głodny, ale połknięte słodczyce wywołały nudności. Na nowo zahuczało mi w głowie od szaleńczych myśli. Co by się stało, gdybym tak cichaczem poprzecinał liny okrętów albo nagle wrzasnął: – Gore!?

Kroczyłem wybrzeżem, siadłem na jakiejś skrzyni, założyłem ręce i uczułem, że coraz bardziej kręci mi się w głowie. Ale nie ruszyłem się i nie czyniłem wysiłków, by walczyć z osłabieniem.

Zapatrzony w barkę „Kopegoro” z rosyjską flagą, ujrzałem na tylnym pomoście jakiegoś mężczyznę. Czerwone latarnie u lewej burty oświecały jego twarz. Wstałem i przemówiłem doń. Nie miałem żadnego celu, nie spodziewałem się też odpowiedzi. Spytałem:

– Czy pan rusza dziś w drogę, kapitanie?

– Tak... niedługo! – odparł. Mówił po szwedzku. Musi być Finlandczykiem, pomyślałem.

– Hm... może panu potrzeba człowieka? – spytałem.

Było mi w tej chwili obojętne, że prawdopodobnie spotkam się z odmową. Nie zależało mi na odpowiedzi. Ale czekałem patrząc nań.

– Nie – odrzekł – chyba gdyby to był ktoś młody...

Młody! – błysło mi, zdjąłem szybko okulary, włożyłem je w kieszeń, wstąpiłem na kładkę i stanąłem na pomoście.

– Nie jeździłem dotąd – powiedziałem – ale mogę robić każdą rzecz. Dokąd pan płynie?

– Jadę z balastem do Leeds po węgiel dla Kadyksu.

– Dobrze! – odparłem narzucając mu się. – Mnie jest obojętny kierunek. Będę pełnił przeznaczoną robotę i basta!

Spoglądał na mnie przez chwilę i dumał.

– Nie jeździłeś dotąd jeszcze? – spytał.

– Nie! Ale powtarzam, mogę robić co bądź, nawykłem do wszystkiego.

Zadumał się znowu. Postanowiłem sobie, że pojedę, bałem się tedy odprawienia na ląd.

– Nad czym pan дума, panie kapitanie? – spytałem. – Ręczę, że podołam każdej pracy, choćby najcięższej. Co mówię? Musiałbym być niewdzięcznikiem, gdybym nie robił więcej, niż nakazuje obowiązek! W razie potrzeby mogę stać dwa razy, raz po raz na straży. To mi doskonale zrobi, a wytrzymam na pewno.

– Ano, zobaczymy! – odparł uśmiechnąwszy się z lekka na moje ostatnie słowa. – Jeśli się nie powiedzie, możemy się rozstać w Anglii.

– Naturalnie! – zawołałem uradowany i powtórzyłem, że możemy się doskonale rozstać w Anglii w najgorszym razie.

Zaraz dał mi robotę...

Gdyśmy wypłynęli na fiord, wyprostowałem się mimo gorączki i znużenia, spojrzałem ku miastu i pożegnałem Chrystianię, połyskującą światłem niezliczonych okien.

# Posłowie

## 1.

W latach osiemdziesiątych minionego stulecia w literaturze norweskiej powoli wygasa realizm krytyczny. Tendencje budzielskie i oskarżycielskie w twórczości Ibsena, Bjornsona, Kiellanda i Lie osłabły i wyblakły, dawni nauczyciele i duchowi przywódcy społeczeństwa norweskiego zastygli w pomnikowych gestach, pogodzeni z życiem posągowieli godnie na kamiennych cokołach.

Ich następcy, pisarze debiutujący pod znakiem Emila Zoli, zdołali się natomiast zaledwie zdobyć na agresywny atak na mieszczańską moralność w dziełach Amalii Skram, prowokować burżuazyjne wyobrażenia erotyczne pochwałą prostytucji w książkach Christiana Krogha lub naruszać obowiązujące powszechnie mniemania o porządku społecznym anarchistycznymi ideami Hansa Jaegera. Płaski naturalizm norweski wywołuje jednak rychłą reakcję neoromantyczną, pojawiają się kolejne tomy liryczne dawnych wyznawców Zolowskiej doktryny naukowego opisu życia, jak Nilsa Colletta Vogta, Vilhelma Kraga, Sigbjorna Obstfeldera i innych, poetów opiewających przyrodę, wolność i głębokie uczucia człowieka.

W tym też czasie wstępują do literatury Knut Hamsun i Hans Ernst Kinck, dwaj najwybitniejsi przedstawiciele nowoczesnej prozy norweskiej, prozaicy odnawiający w swym piśmarstwie dobre tradycje zakorzenienia twórczości w życiu społecznym, ale formujący równocześnie nowego bohatera, pogłębionego psychologicznie, nerwowca, wyposażonego w bogatą wewnętrzną biografię, skłóconego i rozdartego między świat a własne ideały życiowe. Ich twórczość – zwłaszcza piśmarstwo Knuta Hamsuna – wyznacza granicę nowej epoki w literaturze norweskiej, rozszerza jej wpływ na cały współczesny świat.

## 2.

Knut Hamsun, jego właściwe nazwisko brzmiało Knud Pedersen, urodził się 4 sierpnia 1859 roku w Lom (środkowa Norwegia). Pochodził z niezamożnej rodziny chłopskiej z Gudbrandsdal, wychował się natomiast na północy, w Nordlandzie, którego surowa lecz piękna przyroda na zawsze wywarła wpływ na jego twórczość. Najpiękniejszy dar złożył północy w hymnie o jej urodzie, w dziele najwybitniejszym, w wielkim eposie chłopskim zatytułowanym *Błogosławieństwo ziemi*, wyróżnionym w roku 1920 nagrodą Nobla.

Jak wielu pisarzy skandynawskich przeszedł najpierw bezlitosną szkołę życia; pracował jako kupiec, robotnik portowy, nauczyciel wędrowny, brukarz, uczył się szewstwa, próbował pisać artykuły, wykładać, usilnie dążył do otwarcia sobie drogi do literatury. Samouk, jak wielu autodydaktyw pozostawał pod przemożnym urokiem filozofii, a Skandynawia jego czasów pasjonowała się piórem Jerzego Brandesa i Oli Hanssona myślą filozoficzną Fryderyka Nietzschego.

Wielki myśliciel niemiecki zrywał brutalnie zasłony i obalał wygórowane aspiracje moralne filozofii liberalnej, ukazując ideologiczną istotę władzy mieszczaństwa, unaoczniał bezwzględnie jego wolę mocy. Czynił to z pozycji arystokratycznych marzeń o przyszłościowym władztwie jednostek wybitnych i wysoce ukształconych, ale przecież obnażał przy tym złudzenia dziewiętnastowiecznych wyznawców postępu, wygodny humanizm i wiarę mieszczaucha w automatyczną selekcję gatunku w imię interesów jednostek najlepszych, którym społecznym wysiłkiem trzeba stworzyć szansę dla realizacji ich zdolności.



W okresie dramatycznego przechodzenia Norwegii ze stadium zapóźnionego i prowincjonalnego kapitalizmu w jego fazę wysoko rozwiniętą i zorganizowaną, w czasach ostrych sprzeczności społecznych targających społeczeństwem norweskim, w fazie olbrzymich ruchów migracyjnych ze wsi do miast olbrzymiejących wokół portów i kopalń, ziarna pesymistycznej filozofii Nietzschego padały na urodzajną glebę. Świadomość sfrustrowanych i wyalienowanych inteligentów norweskich łatwo przyjmowała prorocтва przywódcy zbuntowanych generacji Europejczyków. Moralność w ich doświadczeniu stawała się tylko formą niemoralności, filozofia oszustwem, rozum i wolność kupiono za olbrzymią cenę, a człowiek rządzący się intelektem wcale nie okazał się panem własnego przeznaczenia.

Uczniem Fryderyka Nietzschego był młody Knut Hamsun, zgorzkniały inteligent, skrachowany i spauperyzowany intelektualista, poszukujący swej drogi do wielkości w społeczeństwie drapieżnym i obojętnym. Zmory egzystencji inteligenckiego proletariusza, jego dumne gesty niezależności i wisielczą grę z własną nędzą, z sytym otoczeniem, z losem przeciwnym, z niezrozumieniem mieszczanina dla jego aspiracji, dla jego pragnień, poznajemy w najwybitniejszym dziele Knuta Hamsuna, w powieści *Głód* (*Sult*, 1890), która przyniosła mu światowy rozgłos.

### 3.

W chwili, kiedy kończył *Głód*, miał Knut Hamsun niewiele ponad trzydzieści lat i był zmęczony życiem. Pracował ciężko jako robotnik, dwukrotnie emigrował za chlebem do Stanów Zjednoczonych (w latach 1882-1884 i 1886-1888) i pracował tam ciężko w wielu zawodach, poznawał środowiska nędzy i bezwzględnego wyzysku. Na własnej skórze doznawał tego, czego rówieśnicy dowiadywali się na ławach uniwersyteckich lub z uważnych lektur bibliotecznych prac Marksa i Engelsa, Henry George'a (*Postęp i ubóstwo*), Williama Beveridge'a (*Bezrobocie*), mianowicie autopsyjnie doświadczał sprzeczności między ideałami humanizmu głoszonymi przez wiek dziewiętnasty, takimi jak szacunek dla pracy, wartość jednostki, a postępującą dehumanizacją i alienacją klasy pracującej. Młodemu Hamsunowi, autodydakcie pozbawionemu wiedzy o mechanizmach społecznych i żyjącemu na pograniczu klasowym, wszystkie sprzeczności liberalizmu, cała pustka ideałów humanistycznych, rozziew pomiędzy równością międzyludzką w teorii a jej nieludzkim zaprzeczeniem w rzeczywistości, cały świat uprzemysłowiony i uprzemysławiający się wydawał się realizacją apokalipsy, wyzwaniem rzuconym zdrowemu rozsądkowi.

Rozczarowany i zdruzgotany pisze książkę *Z życia duchowego Ameryki nowoczesnej* (*Fra det moderne Amerikas Aandsliv*, 1889), ostry pamflet na społeczeństwo wysoko cywilizowane, przygotowujące fazę życia konsumpcyjnego. Ameryki nie rozumiał i nie aprobował; kolosa gospodarczego ówczesnego świata nienawidził z pasją ideowego konserwatysty. Wszystko, co złe w organizmie straszliwego Lewiatana, składał na karb charakteru narodowego Anglosasów, męki i udręki cywilizacji uznawał za dzieło ich rąk. Niechęć ta pogłębiła się później, w miarę wzrostu sympatii pisarza do Niemiec, do kultury niemieckiej, poprzez którą wchodził na światowy rynek czytelniczy, i stanie się z czasem jednym z motywów zdrady narodowej, tragicznej kolaboracji zbłąkanego starca z okupantami jego ojczyzny<sup>1</sup>.

---

1 Por. B. Suczkov: Knut Hamsun. W: K. Hamsun: *Izbr. proizvedenija*. T.I. Moskwa 1970, s. 3-39; zbiorowa: *Osnovnyje proizvedenija innostrannoj chudożestviennoj literatury*. Moskwa 1973, s. 326-327; Nettum R.N.: *Konflikt og vision. Hovedtemaer i Knut Hamsuns forfatterskap 1890-1912*. Oslo 1970.

Do literatury norweskiej wchodził Knut Hamsun w ostrej opozycji do dawnej tradycji realizmu krytycznego; swych poprzedników literackich, zwłaszcza Ibsena, atakował bezwzględnie w cyklu odczytów, które wygłosił w roku 1891. Za jedyne i największe uznawał Fiodora Dostojewskiego i pod jego wpływem rozpoczął w literaturze ojczystej i w innych literaturach skandynawskich epokę wielkiej spowiedzi duszy z jej przeklętych problemów. Jak u wielkiego rosyjskiego poprzednika, również we wczesnych powieściach Hamsuna spotykamy bohaterów samotnych, nie umiejących nawiązać solidarnych stosunków z bliźnimi, współpracować z nimi, nie odnajdujących pośród bliźnich ludzi godnych ich wielkich uczuć i wrażliwego serca. W perfekcyjnej analizie osobowości swych bohaterów, w ujawnianiu gry sprzecznych motywów ich postępowania – skrajnie egzotycznego lub zdecydowanie indywidualistycznego, widać olbrzymi wpływ autora *Zbrodni i kary*. Głęboki związek z życiem kraju pozwolił mu również ukazać ich losy w tle realistycznym, osadzić ich dzieje w sytuacjach typowych dla norweskich przemian społecznych i ideowych.

Najwybitniejsze dzieła Knuta Hamsuna powstały u schyłku minionego stulecia oraz w pierwszym dwudziestoleciu naszego wieku. Powieści *Misterie* (*Mysterier*, 1892), *Pan* (*Pan*, 1894), *Wiktoria* (*Victoria*, 1898), *Błogosławieństwo ziemi* (*Markens Grøde*, 1917), *August Powsinoga* (*August*, 1930) są kolejnymi etapami rozwoju wielkiego i samodzielnego talentu. Knut Hamsun przeprowadza w nich subtelne analizy przeżyć miłosnych, tropi ślady najbardziej skrytych przeżyć ludzkich – zdrady, miłości, erotycznego oczarowania, sławi przyrodę i głosi konieczność powrotu człowieka do życia w warunkach naturalnych. W literaturze norweskiej są te powieści także świadectwem nieustannego wzbogacania i wysubtelniania języka literackiego; dla Norwegów mają rewolucyjne znaczenie językowe i artystyczne.

Niepostrzeżenie jednak w pisarstwie wnikliwego badacza duszy ludzkiej przeważać zaczyna tonacja ciemna; powieści pisane na przedpolu pierwszej wojny światowej i pod bezpośrednim wpływem ujrzanych skutków spustoszeń wojennych stają się wariacjami na temat złych sił władających świadomością człowieka. Dawny optymista, zwolennik ludzi mocnych i nie poddających się losowi, coraz częściej śpiewać zaczyna *carmen horrendum* rodzaju ludzkiego.

Już w powieści *Ostatnia radość* (*Den siste Glæde*, 1912) główny bohater (noszący zresztą nazwisko Knud Pedersen) rozlicza się na progu starości z latami młodymi i męskimi, ironicznie odkrywając swą radość ostatnią w samotności i bezpośrednim doświadczaniu przyrody. Ale nie tylko nadchodząca starość ma wpływ na przemiany światopoglądowe autora: Hamsun coraz mniej rozumie swoją epokę, staje się coraz bardziej konserwatywny, czego najbardziej bezpośrednim świadectwem są powieści *Rosa* (1908) i *Benoni* (1908), w których z sarkazmem i niewiarą obserwuje wysiłki ludzi krzątających się wokół społecznego postępu.

Pisarstwo Knuta Hamsuna coraz wyraźniej nie współbrzmi z nowymi czasami, które idą nieprzerwanie naprzód na oczach długowiecznego starca i przynoszą coraz to inne rozwiązania społeczne i polityczne. Hamsun zdobywa się jeszcze na sarkastyczne ukazanie industrializacji i jej skutków w powieściach *Dzieci epoki* (*Børn av Tiden*, 1913) i *Miasto* (*Segelfoss by*, 1915), ale jest to już tylko śmiech i grymas konserwatysty, który nie chce i nie może już zrozumieć wszystkiego, co niesie nowe. Powrót w czasy bezkonfliktowej egzystencji chłopskiej na północy w *Błogosławieństwie ziemi*, zwrot w dokonany w wielkiej wiejskiej epopei w czasy nieskażone wpływem cywilizacji, to już właściwie ostatni pean humanistyczny na cześć przyrody i człowieka. Po pierwszej wojnie światowej Hamsun w coraz znacześniejszym stopniu objawia niemożność zrozumienia świata, bezmoc, udręczającą bezsilność w rozumieniu tego, co się dzieje wokoło. Dowodów poszukajmy w powieściach *Kobiety u studni* (*Konerne ved Vandposten*, 1920) *Ostatni rozdział* (*Siste Kapitel*, 1929). Odżywają również wyrażone już w latach wcześniejszych (w utworach dramatycznych: *U bram cesarstwa* – *Wed rigets port* i *Gra życia* – *Livets spilt* pisanych w latach 1895-1890) nastroje niechęci do proletariatu i demokracji. Nietzscheanizm wyraża się nadzieją na rządy silne, dyktatorskie, na odnowę Europy, coraz też bardziej konserwatywna staje się pochwała wsi i

jej czystości moralnej. Niebezpieczne konsekwencje ideowe indywidualizmu i przywódczych marzeń jednostki ukazuje powieść *Zamknięty krąg* (*Ringens sluttet*, 1936).

W okresie międzywojennym, w czasie znacznej dyferencjacji politycznej i społecznej życia norweskiego, w okresie zjadłych walk o demokrację przeciw siłom reakcyjnym, pisarstwo Knuta Hamsuna stało się nadzieją wszystkich grup skrajnie prawicowych i konserwatywnych. Nie tylko w kraju, również w Niemczech objętych już pożarem faszyzmu, gdzie jego twórczość – irracjonalna, posługująca się mitem ziemi i krwi, stawała się coraz bardziej popularna i była stawiana za przykład. Prymitywizm, irracjonalizm, naiwnie i prostacko pojęty nietzscheanizm, zaprowadziły starca na pozycje kolaboranckie w okupowanej przez hitlerowców Norwegii. Stary pisarz poniósł konsekwencje swego irracjonalizmu; naród ukarał zdradę wiekowego człowieka wysoką grzywną pieniężną po głośnym i smutnym procesie. Knut Hamsun zdał sprawę ze swej tragedii, pomyłek i decyzji hańbiących jego starość w książce opublikowanej w roku 1949 pod tytułem *Po zarośniętych ścieżkach* (*Paa gjengrodde Stier*).



Nie była to książka przekonująca; naród sam oddzielił w jego życiu i twórczości plewę od ziarna. Knut Hamsun ze swych lat młodych i dojrzałych, piewca optymizmu i radości życia, znawca duszy ludzkiej i świadek epoki, jest ciągle obecny w europejskim krwioobiegu literackim. Jego powieści czytają Rosjanie, Niemcy, Francuzi, Anglicy, Czesi, Słowacy, Polacy – sztuka zwyciężyła pisarza. Okazała się silniejsza niż jego konserwatywna i irracjonalna filozofia, niż jego ślepe zaufanie do ciemnych i złowrogich sił historii. Pouczające i optymistyczne to zwycięstwo.

*Witold Nawrocki*